

ANDRE NORTON

BUNT AGENTÓW

TOM III CYKLU ROSS MURDOCK

(Tłumacz: Hanna Szczerkowska)

I

Ani jedno okno nie zaburzało płaszczyzny czterech ścian pomieszczenia. - Na biurku nie było ani jednej plamki słonecznego światła. A jednak obecnym wydawało się, że zestaw pięciu dysków na jego powierzchni lśni. Być może piekielny żar katastrofy jaką mogli spowodować... czy też spowodowali... emanował z nich samych.

Tajemnicze lśnienie dawało się złożyć na karb wyobraźni, nic jednak nie zdołało ukryć wymowy nagich, niezaprzeczalnych faktów. Doktor Gordon Ashe, jeden z czterech mężczyzn spoglądających ze smętnym wyrazem twarzy na zademonstrowane przedmioty, potrząsnął lekko głową, jakby chciał uporządkować chaos, jaki ogarnął jego myśli.

Stojący po prawej stronie Gordona pułkownik Kelgarries pochylił się do przodu i zapytał szorstko:

- Czy można stwierdzić z całą pewnością, że nie zaszła tutaj jakaś pomyłka?

- Widziałeś detektor - odpowiedział chłodno siwy, wyprężony jak struna mężczyzna za biurkiem. - Nie, błąd należy wykluczyć. Zawartość tych pięciu kaset została z pewnością przekopiowana.

- A wśród nich te dwie najważniejsze - wymamrotał Ashe.

- Myślałem, że były pilnie strzeżone - zwrócił się ostro Kelgarries do siwego mężczyzny.

Wyraz twarzy Floriana Waldoura świadczył o głębokim zamyśleniu. - Podjęto wszelkie możliwe środki ostrożności. Był tam ukryty śpionch - podstawiony przez nich agent.

- Kto nim był? - zapytał Kelgarries.

Ashe popatrzył na swoich trzech towarzyszy: Kelgarries, pułkownik, dowódca jednego z sektorów Project Star, Florian Waldour, szef ochrony stacji, doktor James Ruthven...

- Camdon! - powiedział, choć sam nie mógł w to uwierzyć. Taką odpowiedź jednak podsuwała mu logika. Waldour kiwnął głową,

Po raz pierwszy odkąd poznał Kelgarriesa i współpracowali ze sobą, Ashe zobaczył, że pułkownik nie kryje zdumienia.

- Camdon? Przecież przysłał go nam... - Oczy pułkownika zwięzły się. - Podobno przysłał go nam... Sprawdzono go zbyt dokładnie, by mógł podać się za kogo innego!

- O, został przysłany, tak jest. - W głosie Waldoura pojawiła się nuta emocji. - Przyczaił się, czatował od bardzo dawna. Musieli podstawić go dobre dwadzieścia pięć, trzydzieści lat temu.

- Cóż, z pewnością był wart ich czasu i zachodu, no nie? - głos Jamesa Ruthvena przypominał zdławione warknięcie. Zaciśnął cienkie wargi i wpatrywał się w dyski. - Kiedy je skopiowano?

Ashe przestał zastanawiać się nad możliwymi skutkami zdrady i skupił uwagę na tym istotnym szczególe. Kwestia czasu - oto podstawowe zagadnienie teraz, kiedy jest już po szkodzie. Wiedzieli o tym wszyscy.

- Tego jednego właśnie nie wiemy - odpowiedział Waldour z ociąganiem, jakby nie mógł się z tym faktem pogodzić.

- Dla większej pewności należy przyjąć, że stało się to na samym początku.

Ze stwierdzenia Ruthvena wynikały wnioski równie koszmarnie jak szok, którego doznali, kiedy Waldour oznajmił im o katastrofie.

- Osiemnaście miesięcy temu? - zachnął się Ashe.

Ruthven pokiwał głową.

- Camdon miał dostęp do dysków od samego początku. Taśmy zabierano do studiowania, po czym chowano je z powrotem, a nowy detektor jest w użyciu dopiero od dwóch tygodni. Sprawa wyszła na jaw podczas pierwszej kontroli, prawda? - zapytał Waldoura.

- Zgadza się - odparł szef ochrony.- Camdon opuścił bazę przed sześcioma dniami. Pełnił obowiązki łącznika, od początku więc wyjeżdżał stąd i wracał.

- Za każdym razem przecież musiał przechodzić przez punkty kontrolne - zaprotestował Kelgarries. - Sądziłem, że przez nie nawet mysz się nie prześliznie. - Twarz pułkownika rozjaśniła nadzieja.- Może zrobił filmy, a potem nie mógł przerzucić ich na zewnątrz. Czy przeszukano jego kwaterę?

Waldour skrzywił usta w grymasie złości.

- Pułkownik... - powiedział ze znużeniem. - To nie jest zabawa przedszkolaków. A na potwierdzenie, że wyczyn zakończył się sukcesem... posłuchajcie... - Nacisnął guzik na biurku i z eteru dobiegł ich beznamiętny głos prezentera wiadomości.

- Obawy o bezpieczeństwo Lassitera Camdona wysłannika do Rady Zachodniej Konferencji Kosmicznej, potwierdziły się. W górach odkryto spalony wrak. Pan Camdon wracał z misji do Gwiezdnego Laboratorium, kiedy jego statek stracił łączność z Polem Monitorującym. Raporty mówiące o burzy w tym rejonie natychmiast wzbudziły czujność...

Waldour wyłączył radio.

- Czy stało się tak naprawdę, czy to zasłona dymna dla jego ucieczki? - zastanawiał się głośno Kelgarries.

-Nie można wykluczyć żadnej ewentualności. Mogli go celowo zlikwidować, kiedy już dostali to, czego chcieli - przyznał Waldour. - Wróćmy jednak do naszych problemów. - Doktor Ruthven słusznie obawia się najgorszego. Uważam, że możemy realizować nasze przedsięwzięcie, przyjmując, że taśmy zostały skopiowane w przedziale czasowym od osiemnastu miesięcy wstecz do zeszłego tygodnia. I stosownie do tego musimy działać!

Wszyscy zaczęli intensywnie rozmyślać nad sytuacją i w pomieszczeniu zapadła cisza. Ashe opadł na krzesło, a jego myśli zaczęły błądzić w przeszłości. Najpierw była Operacja Retrograde, kiedy specjalnie wyszkoleni "agenci czasu" penetrowali dzieje od najdawniejszych do najnowszych, starając się zlokalizować tajemnicze źródło wiedzy stworzonej przez obcych z kosmosu. Okazało się bowiem, że nagle zaczęły ją wykorzystywać wschodnie państwa komunistyczne. Sam Ashe razem ze swoim młodszym partnerem, Rossem Murdockiem, brał udział w końcowej akcji, która przyniosła rozwiązanie tajemnicy. Stwierdzono, że wiedza ta nie wywodzi się z wczesnej, zapomnianej cywilizacji ziemskiej, lecz zdobyto ją, badając wraki statków kosmicznych z galaktycznego imperium istniejącego w epoce eonu. Rozkwit tego imperium przypadł w okresie, gdy większą część Europy i północnej Ameryki pokrywał lodowiec, a Ziemianie byli prymitywnymi istotami zamieszkującymi jaskinie. Murdock, schwytany na jednym z owych rozbitych statków przez Czerwonych, przypadkowo wezwał pierwotnych właścicieli pojazdu, którzy wylądowali, by śledzić - poprzez rosyjskie stacje czasu-rabusiów grasujących w swoich wrakach. Przy okazji zniszczyli cały, należący do Czerwonych, system podróży w czasie.

Obcy nie zaryzykowali zrobienia tego samego z równoległym systemem zachodnim. A rok później został on włączony do Projektu Folsom. Ashe, Murdock oraz nowy członek ekipy-Apacz Travis Fox cofnęli się do epoki paleolitu. Gdy przybyli do Arizony w poszukiwaniu śladów kultury Folsom, odkryli to, na co liczyli - dwa stada, z których jeden był

rozbity, drugi natomiast nietknięty. A kiedy cały wysiłek ekspedycji koncentrował się na przeniesieniu statku w teraźniejszość, przez przypadek uruchomiono urządzenie kontrolne znalezione obok martwego dowódcy statku. Cała czwórka. Ashe. Murdock. Fox oraz technik, wyruszyła w nieplanowaną podróż w kosmos, zahaczając po drodze o trzy światy, na których zostały tylko ruiny galaktycznej cywilizacji z dalekiej przeszłości.

Taśma ekspedycyjna, wprowadzona do urządzeń sterowniczych statku, zabrała mężczyzn w podróż, a po przewinięciu jej w drugą stronę, jakimś cudem pozwoliła im wrócić na Ziemię z ładunkiem podobnych taśm odkrytych w budynku znajdującym się w świecie, który mógł stanowić centrum, skąd zarządzano nie krajami czy też światami, lecz systemami słonecznymi. Każda z tych taśm była kluczem do innej planety.

Ta właśnie starożytna galaktyczna wiedza okazała się skarbem, o jakim posiadaniu Ziemianie nigdy nie marzyli, chociaż towarzyszyły temu obawy, że odkrycie to może stać się bronią w ręku wroga. Urządzono wielkie losowanie, niczym na loterii, i dokonano podziału taśm pomiędzy wszystkie kraje. Mimo że podziałem tym rządził przypadek i każdemu z państw mogły przypaść w udziale niewyobrażalne bogactwa, każde z nich było przekonane, że rywalowi powiodło się lepiej. Właśnie wtedy, Ashe nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, znaleźli się w jego właśnie grupie zdrajcy zdecydowani wykonać według planu Czerwonych dokładnie to, co zrobił Camdon. Nie pomogło to jednak rozwalić ich obecnego dylematu dotyczącego Operacji Cochise, która stanowiła tylko część ich projektu, chyba obecnie najbardziej istotną.

Niektóre taśmy nie nadawały się do użytku. Były albo za bardzo zniszczone, żeby mogły się na coś przydać, albo nakierowane na światy wrogie Ziemianom, którzy nie mieli takiego wyposażenia, jakim dysponowały wcześniejsze pokolenia gwiazdnych podróżników. Z pięciu taśm, które, jak już wiedzieli, zostały skopiowane, trzy okazały się dla wroga całkowicie bezużyteczne.

Ale jedna z dwóch pozostałych... Ashe skrzywił się. Ta właśnie taśma wskazywała drogę do celu, jaki chcieli osiągnąć. Pracowali nad tym gorączkowo przez pełne dwanaście miesięcy. Zamierzano bowiem założyć za zatoką kosmiczną dobrze prosperującą kolonię, która miała stanowić odskocznnię do innych światów...

-Musimy być szybsi - przez strumień myśli dotarło do umysłu Ashe'a podsumowanie Ruthvena.

- Sądziłem, że potrzebujesz jeszcze trzech miesięcy, żeby dokończyć szkolenie załóg - powiedział Waldour.

Ruthven podniósł tłustą rękę i paznokciem potężnego kciuka odruchowo podrapał dolną wargę. Ashe wiedział z doświadczenia, że ten gest nie wróży nic dobrego. Zmobilizował się wewnętrznie, zbierając siły na wojnę nerwów. Dostrzegł, że również Kelgarries przeczuwa, co się święci. Pułkownik był gotów, przynajmniej od czasu do czasu, przeciwstawić się żądaniom Ruthvena.

-Testujemy i testujemy - powiedział grubas. - Wiecznie testujemy. Ruszamy się jak żółwie, kiedy należałoby gnać do przodu niczym charty. Jak już stwierdziłem na początku, istnieje coś takiego jak zbytnia ostrożność. Można by pomyśleć - tu objął oskarżycielskim spojrzeniem Ashe'a i Kelgarriesa - że w tego typu przedsięwzięciach nie ma miejsca na improwizację, że wszystko zawsze odbywało się zgodnie z podręcznikiem. Twierdzą, że nadszedł czas, by podjąć ryzyko, w przeciwnym wypadku może okazać się, że nie ma już dla nas miejsca w kosmosie. Niech tamci odkryją chociaż jeden obiekt należący do obcych, a następnie zdołają go opanować, wówczas - odjął kciuk od ust i wykonał gest, jakby zgniatał na

powierzchni biurka zuchwałego, lecz całkowicie pozbawionego znaczenia owada - wówczas jesteśmy skończeni, zanim jeszcze na dobre zaczęliśmy.

Ashe wiedział, że wielu ludzi uczestniczących w realizacji projektu przyklasnęłoby temu. Wszyscy przyzwyczaili się do lekkomyślnego podejmowania ryzyka, co w ostatecznym rezultacie zazwyczaj się opłacało. W przeszłości znalazło się bowiem wielu śmiazków, którzy dostarczyli efektywnych; argumentów na poparcie takiego punktu widzenia. Nie mógł jednak wyrazić zgody na pośpiech. Latał już w kosmos i tylko cudem udało mu się uniknąć katastrofy, spowodowanej niedostatecznym wyszkoleniem załogi.

- Wyślę raport, w którym będę wnioskował o start w ciągu tygodnia - ciągnął Ruthven. - Co do Rady, to...

- Nie zgadzam się kategorycznie! - przerwał mu Ashe. Spoglądał na Kelgarriesa licząc na natychmiastowe poparcie, ale zamiast niego zapadła przedłużająca się cisza. Po chwili pułkownik rozłożył ręce i powiedział ponuro:

- Ja również się nie zgadzam, ale nie do mnie należy ostatecznie słowo. Ashe, co jest potrzebne do przyspieszenia startu?

W odpowiedzi wyręczył Ashe'a Ruthven.

- Jak już mówiłem od początku, możemy wykorzystać redax.

Ashe wyprostował się, zacisnął wargi. Oczy zalśniły mu gniewem.

- A ja się temu sprzeciwię wobec Rady! Człowieku, tu chodzi o istoty ludzkie - wybranych ochotników, tych, którzy nam ufają, a nie o króliki doświadczalne!

Ruthven wyduł grube wargi w szyderym uśmiechu.

- Jesteście sentymentalni jak zawsze, wy, eksperci od przeszłości! Niech no pan mi powie, doktorze Ashe, czy zawsze tak bardzo się pan troszczył o swoich ludzi, wysyłając ich jako agentów w przeszłość? A lot w przestrzeń kosmiczną jest z pewnością mniej niebezpieczny niż podróże w czasie. Ci ochotnicy wiedzą, do czego się zgłosili. Są gotowi...

- Proponuje pan zatem, by poinformować ich o zastosowaniu redaxu, o tym, jak oddziałuje na ludzki umysł? - odparował Ashe.

- Oczywiście. Otrzymają wszelkie niezbędne instrukcje. Niezadowolony z takiego przebiegu dyskusji Ashe chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz przeszkodził mu Kelgarries.

- W tej kwestii nikt z nas nie ma prawa podejmować ostatecznych decyzji. Waldour przesłał już raport dotyczący szpiegostwa. Musimy poczekać na rozkazy Rady.

Ruthven podniósł się z krzesła; jego tłuste cielsko z trudem mieściło się w uniformie.

- Ma pan rację, pułkowniku. Sugerowałbym jednak, by tymczasem wszyscy sprawdzili, co można zrobić dla przyspieszenia prac na każdym stanowisku. - Uznając dyskusję za zakończoną, skierował się do wyjścia.

Waldour spoglądał na pozostałych dwóch mężczyzn z narastającą niecierpliwością. Było oczywiste, że miał mnóstwo pracy i chciał, żeby już sobie poszli. Ashe ociągał się jednak. Miał poczucie, że sprawy wymykają mu się spod kontroli, że wkrótce będzie musiał stawić czoło dramatycznym sytuacjom gorszym niż najpoważniejszy przeciek. Czy wróg zawsze musi znajdować się po drugiej stronie świata? A może nosi ten sam mundur, a nawet dąży do tych samych celów?

Kiedy znalazł się już w zewnętrznym korytarzu, nadal się wahał, a Kelgarries, który wyprzedził go mniej więcej o krok, oglądał się niecierpliwie za swoje ramię.

- Walka z nim nic nie da, mamy związane ręce. - Jego słowa brzmiały niewyraźnie, jakby nie chciał ich uznać za własne.

- A więc zgodzisz się na użycie redaxu? - Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny Ashe

poczuł się tak, jakby twardy grunt pod jego stopami zmieniał się w grząski, ruchomy piasek.

- Tu nie chodzi o moją zgodę. Zdaje się, że stoimy przed dylematem: teraz albo nigdy. Jeśli tamci mieli osiemnaście miesięcy, a nawet dwanaście...! - Pułkownik zacisnął pięść. - A oni nie będą zwlekać z powodu jakichś tam humanitarnych skrupułów.

- A więc uważasz, że Ruthven uzyska aprobatę Rady?

- Przerażeni ludzie są głusi na wszystko, poza tym, co chcą usłyszeć. Zresztą, nie potrafimy dowieść, że redax naprawdę może okazać się szkodliwy.

- Stosowaliśmy go jedynie w ściśle kontrolowanych warunkach. Przyspieszenie tego procesu oznaczałoby całkowite zlekceważenie tych... Gwałtowne cofnięcie grupy kobiet i mężczyzn z powrotem w ich rasową przeszłość i przetrzymywanie ich tam przez długi okres... - Ashe potrząsnął głową.

- Bierzesz udział w Operacji Retrograde od początku i, jak dotąd, odnosiliśmy spore sukcesy.

- Działaliśmy innymi metodami, uczyliśmy wybranych ludzi, jak cofnąć się do określonych punktów historii. Ich temperament oraz inne cechy były dopasowane do ról, jakie mieli do odegrania. I nawet wówczas nie obyło się bez niepowodzeń. Ale porywać się na coś takiego - cofać ludzi w przeszłość nie tylko fizycznie, lecz kazać im wcielać się zarówno umysłowo, jak i emocjonalnie w prototypy przodków - to coś zupełnie innego. Apacze zgłosili się na ochotnika i przeszli pomyślnie badania psychologiczne oraz pozostałe testy. Niemniej jednak są to współcześni Amerykanie, a nie plemię nomadów sprzed dwustu czy trzystu lat. Jeśli raz złamiemy pewne zasady, skończy się na całkowitym chaosie.

Kelgarries zachmurzył się.

- Czy masz na myśli to, że mogą przeistoczyć się całkowicie i na dobre stracić kontakt z terażniejszością?

- O to właśnie chodzi. Edukacja i szkolenie - tak, lecz pełne przebudzenie pamięci rasowej - to całkiem inna sprawa. Te dwa elementy przygotowań powinny postępować wolno, jedno w parze z drugim, w przeciwnym wypadku - będą kłopoty!

- Rzecz w tym, że na taki tryb nie mamy już czasu. Jestem przekonany, że Ruthvenowi uda się to przeforsować, gdy podeprze się raportem Waldoura.

- Musimy więc przestrzec Foxa oraz innych. W tej sprawie powinni mieć prawo wyboru.

- Ruthven przewidział, że tak będzie - powiedział pułkownik z nutką powątpiewania w głosie.

Ashe zachnął się.

- Uwierzę, jeśli na własne uszy usłyszę, jak ich informuje.

- Nie wiem, czy możemy...

Ashe zwrócił się do pułkownika, marszcząc brwi.

- Co masz na myśli?

- Sam stwierdziłeś, że nam także zdarzały się pewne niedociągnięcia podczas podróży w czasie. Spodziewaliśmy się ich, zgadzaliśmy się na nie, nawet wtedy, kiedy błędy okazywały się bolesne w skutkach. Gdy szukaliśmy ochotników, którzy wzięliby udział w tym przedsięwzięciu, uświadomiliśmy im, że związane jest z nim duże ryzyko. Trzy zespoły nowo zwerbowanych - Eskimosi z Point Barren, Apacze oraz Islandczycy - wszyscy zostali wybrani, by zostać kolonistami na różnego rodzaju planetach, ponieważ ich przodków cechowała długowieczność. No cóż, Eskimosi ani Islandczycy nie pasują do żadnego ze światów z tych skopionych taśm, lecz na Apaczy planeta Topaz spokojnie czeka. A my mielibyśmy

przemieścić ich tam w pośpiechu. Jak by na to nie spojrzeć, paskudne ryzyko!

- Odwołam się bezpośrednio do Rady.

Kelgarries wzruszył ramionami.

- Dobrze. Masz moje poparcie.

- Ale uważasz, że to nic nie da?

-Znasz handlarzy czerwoną taśmą. Będziesz musiał działać szybko, jeśli chcesz pokonać Ruthvena. Prawdopodobnie w tej chwili ma bezpośrednie połączenie ze Stantonem, Reese'em i Margatem. Na to właśnie czekał!

- Są jeszcze syndykaty informacyjne, poprzez nas opinia publiczna. ..

- Oczywiście, sam w to nie wierzysz. - Kelgarries stał się nagle zimny i obcy.

Ashe zaczerwienił się pod mocną opalenizną, pokrywającą jego twarz o regularnych rysach. Groźenie ujawnieniem sprawy było tutaj nieomal bluźnierstwem. Przesunął obiema rękami po tkaninie okrywającej mu uda, jakby chciał wytrzeć dłonie z jakiegoś brudu.

- Nie - odparł z wysiłkiem, chrapliwie brzmącym głosem. - Chyba nie. Skontaktuję się z Houghiem i mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Na razie - powiedział z przytupieniem energii Kelgarries - spróbujmy zrobić to, co możemy, by w obecnym stanie rzeczy przyspieszyć program. Proponuję, żebyś w ciągu najbliższej godziny wyleciał do Nowego Jorku.

- Dlaczego ja? - zapytał Ashe lekko podejrzliwym tonem.

- Ponieważ mój wyjazd oznaczałoby wyraźne sprzeciwienie się rozkazom, co z miejsca postawiłoby nas w niekorzystnej sytuacji. Spotkasz się z Houghiem i porozmawiasz z nim osobiście - wyłożysz mu kawę na ławę. Jeśli zechce skontrolować jakikolwiek ruch Stantoną przed Radą, musi zgromadzić wszelkie fakty. Znasz nasze argumenty i dowody, jakie możemy przedstawić, i masz autorytet, z którym powinni się liczyć.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. - Ashe był podniecony i gotów do działania. Pułkownik, widząc zmianę nastroju w wyrazie jego twarzy, poczuł się spokojniejszy.

Kelgarries stał jeszcze przez chwilę, patrząc na Ashe'a, który pośpieszył bocznym korytarzem. Potem udał się wolnym krokiem do swojego boksu biurowego. Kiedy znalazł się w środku, usiadł na dłuższą chwilę; wpatrywał się w ścianę i nie widział nic prócz obrazów tworzonych przez własne myśli. Następnie nacisnął guzik i odczytał symbole, błyskające na małym ekranie wmontowanym w biurko. Przycisnął kolejny guzik i wziął do ręki mikrofon, by przekazać rozkaz, który mógł na chwilę odsunąć nieszczęście. Wzburzone emocje mogły zawieść Ashe'a prosto w przepaść, a był człowiekiem zbyt cennym, by pozwolić na tę stratę.

- Bidwell, zmień harmonogram grupy A. Zamiast do rezerwy, mają w ciągu dziesięciu minut udać się do hipnolaboratorium.

Wyłączył mikrofon i znowu zaczął wpatrywać się w ścianę. Nikt nie ośmielił się przerwać sesji hipnotreningu, a ta miała trwać trzy godziny. Przed wyruszeniem do Nowego Jorku Ashe nie zobaczy się więc prawdopodobnie z trenującymi. Dzięki temu nie zostanie wystawiony na pokusę, która mogłaby pojawić się na jego drodze - i nie będzie gadał w niewłaściwym momencie.

Kelgarries skrzywił się jak po wypiciu soku z cytryny. Nie czuł się wcale dumny z tego, co robił. Poza tym był całkowicie pewien, że Ruthven postawi na swoim i że obawy Ashe'a dotyczące redaxu miały poważne podstawy. Wszystko to przypominało o podstawowej zasadzie służby, a ta brzmiała: cel uświęca środki. Muszą zastosować wszelkie możliwe sposoby i zmobilizować wszystkich ludzi, którymi dysponowali, by planeta Topaz pozostała własnością Zachodu, mimo że to dziwne ciało niebieskie krążyło teraz gdzieś daleko poza nieboskłonem

osłaniającym zarówno zachodnie, jak i wschodnie sojusze ziemskie. Czas biegł zbyt szybko - musieli grać tymi kartami, które trzymali w rękach, mimo że mogły to być same blotki. Kelgarries miał nadzieję, że Ashe wróci dopiero wtedy, gdy kwestia zostanie już rozstrzygnięta, tak lub inaczej. Nie wcześniej, niż ta zabawa się skończy.

Skończy! Kelgarries zerknął na ścianę. Niewykluczone, że oni byli także skończeni. Tego nie dowie się nikt, dopóki statek transportowy nie wyląduje na owym innym świecie, który pojawiał się na taśmie ekspedycyjnej, symbolizowany przez podobny do klejnotu złotobrazowy dysk. To dlatego nadano mu imię Topaz.

Urodzonych w powietrzu strażników było dwunastu. Każdy z nich podążał własną orbitalną ścieżką w atmosferycznej powłoce planety, która świeciła niczym wielki złotobrazowy klejnot w układzie żółtej gwiazdy. Cztery globy, mające tworzyć ochronną sieć wokół Topazu, wystrzelono przed sześcioma miesiącami, a dla ich wytworzenia wspięto się na wyżyny technologicznych możliwości. Tak jak miny kontaktowe rozsiane w porcie uniemożliwiały lądowanie statkom, nie znającym tajnego kanału, podobnie ten świat miał pozostawać niedostępny dla wszystkich pojazdów kosmicznych nie wyposażonych w sygnał, który ustrzegłby je przed kulistymi pociskami.

Tak brzmiała teoria przeznaczona dla nowych pozaświatowych osadników. Kule miały ich chronić. Teorię tę sprawdzono tak dobrze, jak to tylko możliwe, chociaż nie została jeszcze poddana praktycznej próbie. Małe, świecące globy wirowały bez przeszkód po niebie, na którym nocą pojawiały się dwa księżyce, w dzień zaś sygnalizowały swoją obecność uspokajającymi błyskami na ekranie instalacyjnym.

Nagle pojawił się nowy migający obiekt i rozpoczął schodzenie po spiralnym torze, przybliżając się coraz bardziej. Kulisty, przypominający strażnicze globy, był od nich sto razy większy, a orbitę pojazdu starannie kontrolowały urządzenia, nad którymi czuwały oko i ręka pilotującego człowieka.

W kabinie kontrolnej statku Western Alliance znajdowało się czterech mężczyzn, przypiętych do miękkich podwieszonych siedzeń. Dwóch wisało w miejscu, z którego mogli dosięgnąć przycisków i drążków, pozostali byli jedynie pasażerami - ich praca miała się rozpocząć, kiedy już osiądą na obcym gruncie Topazu. Przed nimi, widoczna na ekranie, unosiła się piękna planeta, pyszniąca się bursztynowymi odcieniami złota, coraz większa i bliższa, tak, że mogli rozróżnić kontury mórz, kontynentów, łańcuchy gór, które studiowali z taśm tak długo, aż stały się znajome. Teraz jednak wydawały się dziwnie obce.

Jeden z kulistych strażników zareagował, zawahał się na swojej stałej ścieżce, zawirował szybciej, a delikatne mechanizmy jego wnętrza odpowiedziały na impuls, który wysyłał go w niszczycielską misję. Przekaznik kliknął, ale o minimalną część milimetra chybił z ustawieniem się na właściwym kursie. Znajdujące się dużo niżej urządzenie, kontrolujące nowy tor globu, nie zanotowało tego błędu.

Ekran na statku, zbliżającym się po spiralnym torze do planety Topaz, zarejestrował kurs, prowadzący pojazd do gwałtownej kolizji ze strażnikiem. Znajdowali się jeszcze w odległości kilkuset mil, kiedy odezwał się dzwonek alarmu. Pilot zacisnął rękę na przyrządach sterowniczych, jednak z powodu nieznośnego ciśnienia, wywołanego opadaniem, niewiele mógł zrobić. Zagięte palce osunęły się bezsilnie po przyciskach i drążkach. Kiedy dźwięk sygnału nasilił się, usta wykrzywił mu grymas wściekłości.

Jeden z pasażerów zmusił do obrotu spoczywającą na wyściełanym oparciu głowę, usiłował wydobyć z siebie słowa, przemówić do towarzysza. Ten wpatrywał się w ekran przed sobą, a jego grube wargi, wydały okrzyk pełen gniewu.

- One... są... tutaj...

Ruthven nie zwrócił uwagi na oczywistość stwierdzoną przez drugiego naukowca. Podsycana bezsilnością furia pulsowała mu w środku. Świadomość, że jest unieruchomiony tutaj, tak blisko celu, przyszpilony jak tarcza dla nieożywionej, lecz przemyślnie skonstruowanej broni, zżerała go jak strumień śmiercionośnego kwasu. Hazardowa gra

znajdzie swój finał w błysku ognia, który rozświetli niebo Topazu, nie pozostawiając po sobie nic, absolutnie nic. Wpijał się głęboko paznokciami w podpórkę podwieszanego siedzenia.

Czterech mężczyzn w kabinie sterowniczej mogło tylko siedzieć i obserwować, czekać na owo rendez-vous, które ich unicestwi. Wybuch gniewu Ruthvena był całkowicie bezsilny. Jego towarzysz na miejscu dla pasażera zamknął oczy, poruszające się bezgłośnie wargi dawały wyraz rozproszonym myślom. Pilot oraz jego asystent dzielili uwagę pomiędzy ekran, przekazujący przerażającą wiadomość, a nieprzydatne przyrządy sterownicze, w tych ostatnich chwilach poszukując gorączkowo wyjścia z tej sytuacji.

Pod nimi, w czasie statku, zebrani w jednej komorze, znajdowali się ci, którzy nie dowiedzą się, jaki spotkał ich koniec. W wyściełanej klatce poruszyła się, spoczywająca na przednich łapach, głowa ze sterczącymi uszami, błysnęły szparki oczu, świadomych nie tylko najbliższego otoczenia, ale także lęku i uczuć, emanujących z umysłów ludzi znajdujących się kilka poziomów wyżej. Ostry nos podniósł się, a w porośniętej gęstym, płowoszarym włosom szyi uwiązał skowyt.

Ten dźwięk zbudził drugiego podobnego więźnia. Rozumne żółte oczy spotkały się z drugimi żółtymi oczami. Inteligencja, z pewnością nie przystająca do zwierzęcego ciała, które ją kryło, zwalczyła szalejące instynkty, pchające oba te ciała do rzucania się na pręty bliźniaczych klatek. Od niepamiętnych czasów hodowano w nich ciekawość i zdolność adaptowania się. A potem do tych sprytnych, przemyślnych mózgów dodano coś jeszcze. Zrobiono krok naprzód, by zespolić inteligencję ze sprytem, dołączyć do instynktu myśl.

Przed laty ludzkość wybrała jałową pustynię - białe piaski Nowego Meksyku - na poligon doświadczalny dla eksperymentów z energią atomową. Istotom ludzkim można było zakazać wstępu, ustrzec przed napromieniowanym terenem, ale naturalnych, czworonożnych i skrzydlatych mieszkańców pustyni nie dało się w ten sposób powstrzymać.

Od tysięcy lat mieszkał tam, polujący na otwartych przestrzeniach, mniejszy kuzyn wilka. Odkąd z gatunkiem tym spotkały się pierwsze wędrujące na południe indiańskie plemiona, jego naturalne zdolności robiły na ludziach ogromne wrażenie. Opowiadały o nim niezliczone indiańskie legendy jako o Krętaczu, Oszuście; czasami był przyjacielem, czasami zaś wrogiem. Dla niektórych plemion stał się bóstwem, dla innych - ojcem wszelkiego zła. W wielu legendach kojot zajmował wśród zwierząt poczesne miejsce.

Zagoniony naporem cywilizacji w kamienne pustkowia i pustynie, zwalczany trucizną, strzelbami i sidłami przetrwał, przystosowując się do nowych warunków dzięki swojemu legendarnemu sprytowi. Ci, którzy traktowali go jako szkodnika, niechcący przydali mu rozgłosu, snując opowieści o okradzionych pułapkach i chytrych ucieczkach. Nadal był oszustem, śmiejącym się w księżycowe noce na kamiennych grzbietach wzgórz z tych, którzy chcieliby go upolować.

Wówczas, pod koniec XX wieku, kiedy zostały już wysmiane wszystkie mity, historyjki o sprycie kojota zaczęły się znowu pojawiać niezwykle często. Aż wreszcie zjawisko to zaintrygowało naukowców na tyle, że zaczęli badać owo stworzenie, gdyż wydawało się ono rzeczywiście przejawiać nadzwyczajne zdolności, które prekolumbijskie plemiona przypisywały jego nieśmiertelnemu przodkowi.

To, co odkryli, było rzeczywiście porażające dla niektórych ciasnych umysłów. Kojot nie tylko zaadaptował się do krainy białych piasków, ale ewoluował w istotę, której nie można było zlekceważyć jako po prostu zwierzęcia, inteligentnego i sprytnego, lecz mieszczącego się w ramach swojej grupy. Sześć szceniąt, które przywiozła pierwsza ekspedycja, było kojotami pod względem fizycznym, jednak ich umysły rozwijały się inaczej. Wnuki tamtych szceniąt

znajdowały się teraz w klatkach na statku, ich zmutowane zmysły pobudziły się, czyhając na najmniejszą szansę ucieczki. Posłane na Topaz w charakterze oczu i uszu ludzi mniej hojnie obdarzonych przez naturę nie były przez nich zdominowane całkowicie. Ich możliwości umysłowe nie zostały do końca poznane przez tych, którzy zwierzęta hodowali, tresowali i pracowali z nimi od dnia, kiedy szczenięta otworzyły ślepie, zaczęły stawiać pierwsze chwiejne kroki i oddaliły się od swoich matek.

Samiec zaskowyczał znowu, a potem wydał groźne warknięcie, kiedy strach emanujący z ludzi, których nie mógł widzieć, osiągnął apogeum. Nadal warował z brzuchem rozplaszczonym na ochronnych obiciach klatki. Usiłował teraz przysunąć się bliżej drzwiczek, a jego towarzyszka czyniła takie same wysiłki.

Pomiędzy zwierzętami a ludźmi w kabinie sterowniczej leżało czterdziestu innych w stanie uśpienia. Ich ciała były amortyzowane i chronione za pomocą wszelkich przemysłowych urządzeń znanych tym, którzy umieścili ich tam wiele tygodni wcześniej. Nie docierało do ich świadomości, że statek wędruje w miejsca, gdzie nie stanęła dotąd stopa człowieka, na terytorium potencjalnie bardziej niebezpieczne niż jakikolwiek inny stały ląd.

Operacja Retrograde przeniosła ciała ludzi w przeszłość. Wysłano ich jako agentów, by polowali na mamuty, podążali szlakami kupców z epoki brązu, jeździli konno z Attylą i Czyngis-chanem, naciągali ciężkiy łuków wraz z łucznikami ze starożytnego Egiptu. Redax natomiast cofnął na ścieżki przodków ich umysły, w każdym razie tak miało być w teorii. Ci zaś, śpiący tu i teraz w wąskich pudłach, znajdowali się w jego władaniu. Ludzie, którzy arbitralnie zadecydowali o ich losie, mogli tylko zakładać, że tamci faktycznie przeżywają na nowo swoje życie jako wędrowni Apacze na szerokich południowo-zachodnich pustkowiach w końcu XVII i na początku XIX wieku.

Ręka pilota, walcząc z naporem ciśnienia, wyciągnęła się, by dosięgnąć jednego, szczególnego przycisku, stanowiącego dodatek z ostatniej chwili i przetestowanego zaledwie fragmentarycznie. Wykorzystanie go było posunięciem ostatecznym, pilot właściwie nie wierzył w użyteczność tego wynalazku.

Bez wiary, z nikłą nadzieją na skutek, wcisnął krążek metalu w pulpit. I nikt z żyjących nie potrafiłby wyjaśnić, co stało się potem.

Znajdująca się na planecie instalacja, która sterowała pociskami, rozbłysła na ekranie tak jasno, że w jednej chwili oślepiła strażnika, a jej urządzenie śledzące zeszło z toru kuli. Kiedy powróciło na linię kursu, nie było już tym samym podniebnym okiem, chociaż nadzorujący je nie zdawali sobie z tego sprawy przez minutę lub dwie.

Kiedy niekontrolowany już statek pędził w oszałamiającym tempie w kierunku Topazu jego silniki walczyły ślepo, by ustabilizować swoje funkcje. Niektórym się to udało, inne balansowały na pograniczu strefy bezpieczeństwa, dwa się zepsuły. A w kabinie sterowniczej kręcili się bezwładnie trzej mężczyźni, uwięzieni na podwieszonych siedzeniach.

Doktor James Ruthven, z którego ust z każdym płytkim oddechem wydobywała się bulgocząca krew, walczył z falami ciemności zalewającymi jego mózg. Siłą woli chwycił się skrawków świadomości, nie dopuszczając do siebie bólu, jaki przesywał śmiertelnie ranne ciało.

Orbitujący statek znajdował się na niewłaściwym torze. Maszyny powoli korygowały kurs z klikiem przekaźników, usiłujących przestawić pojazd na lądowanie sterowane automatycznym pilotem. Cała inteligencja wbudowana w mechaniczny mózg koncentrowała się obecnie na lądowaniu.

Lądowanie okazało się bardzo złe, ponieważ kula zawadziła o zbocze góry, straciła w

dół kilka skał, tracąc przy tym część zewnętrznej masy. Teraz, pomiędzy nią i bazą, z której wysyłano pociski, znajdowała się zaporą gór. Katastrofa nie została zanotowana przez urządzenie śledzące; według tego, co wiedzieli odlegli o wieśset mil kontrolerzy, podniebny strażnik wykonał to, czego się po nim spodziewano. Pierwsza linia obrony sprawdziła się i żadne niepożądane lądowanie na Topazie nie miało miejsca.

We wraku kabiny sterowniczej Ruthven sięgał do umocowań swojego podwieszono krzesła. Nie próbował już tłumić jęków, wydawanych przy każdym wysiłku. Czas naglił, popędzał go. Sturlał się z krzesła na podłogę. Leżał tam i ciężko dyszał, znowu walczył z zawzięciem, by nie utonąć w zbliżających się szybko falach ciemnej niemocy.

Jakoś udawało mu się pełznąć, czołgać się wzdłuż przekrzywionej powierzchni, dopóki nie dotarł do studni, w której wisiała, teraz pod ostrym kątem, drabinka prowadząca do niższej części. Właśnie to nachylenie pozwoliło mu dostać się na następny poziom.

Był zbyt oszołomiony, by zdać sobie sprawę ze znaczenia połamanych wręg. Kiedy przesuwiał się wśród poskręcanych kawałków metalu, pod rękami wyczuwał fragment nagiej skały. Jęki przemieniły się w bulgotliwy, gulgoczący, niemal ciągły krzyk, kiedy wreszcie osiągnął swój cel - małą, nietkniętą kabinę.

Na długą, pełną udręki chwilę zatrzymał się obok krzesła. W obawie, że nie będzie w stanie dokonać tego ostatniego wysiłku, podniósł swój niemal nieruchomy tułów do punktu, w którym mógł dosięgnąć zwalnicza redaxu. Przez sekundy niezwykłej jasności umysłu zastanawiał się, czy istnieje jakikolwiek powód tej ciężkiej próby, czy kogokolwiek z uspiionych uda się rozbudzić. Może był to już statek śmierci?

Jego prawa ręka, ramię, a wreszcie tułów znalazły się ponad siedzeniem. Zebrał wszystkie siły i podniósł lewą ręką. Nie miał władzy w żadnym z palców, odnosił wrażenie, że podnosi drętwe, ciężkie odważniki. Pochylił się do przodu, oparł pozbawioną czucia grude zimnego ciała o zwalnicz w geście, o którym wiedział, że to jego ostatni ruch. Kiedy upadł na podłogę, doktor Ruthven nie mógł być pewien, czy udało mu się, czy nie. Usiłował przekręcić głowę, skoncentrować wzrok na owym przełączniku. Czy został przesunięty w dół, czy też tkwił uparcie w dolnym położeniu, zatraskując śpiących w więzieniu? Ale przestrzeń pomiędzy nim a dźwignią zasnuła mgła, nie mógł dojrzeć ani drążka, ani w ogóle czegokolwiek.

Światło w kabinie zamigotało i zgasło, kiedy wysiadł drugi obwód w uszkodzonym statku. Ciemno było także w małym kąciku mieszczącym dwie klatki. Uderzenie, który zgubiło dziesiętnastu pasażerów kosmicznej kuli, nie zdołało rozpruć tej kabiny, znajdującej się po stronie góry. W odległości pięciu jardów w dół korytarza zewnętrzna powłoka statku była szeroko rozerwana. Do środka wpadło rześkie powietrze Topazu i niesło, dzięki połączeniu zapachów przenikających teraz wrak, wiadomość dwóm niecierpliwym nosom.

Kojot-samiec przystąpił do działania. Już przed wieloma dniami zdołał obluzować niższy koniec siatki, zamykającej klatkę z przodu, lecz rozum podpowiedział mu, że przedostanie się do wnętrza statku jest bezużyteczne. Dziwny kontakt, jaki nawiązywał z ludzkimi umysłami bez ich wiedzy, miał sprawić, by nadal uważano go za sprytnego szachraja. W przeszłości uratowało to niezliczonych przedstawicieli jego gatunku od nagłej i gwałtownej śmierci. Teraz, posługując się zębami oraz łapami, przystąpił pilnie do pracy, popędzany skomleniem swojej towarzyszki. Dręczący zapach napływający z zewnątrz łaskotał ich nozdrza - rozciągał się tam dziki świat, nie skażony ludzką obecnością.

Przecisnął się pod obluzowaną siatką i stanął, zaczepiając łapą o przód klatki samicy. Jedną łapą zahaczył zasuwę i pociągnął ją do dołu, a drzwi ustąpiły pod jego ciężarem.

Uwolnieni, mogli teraz razem dostać się do korytarza i zobaczyć przed sobą przyćmione światło dziwnego księżyca, kuszące ich do wyjścia na otwartą przestrzeń.

Samica, jak zawsze ostrożniejsza od swojego towarzysza, biegła z tyłu, podczas gdy on truchtał do przodu, z ciekawością nadstawiając uszu. Od małego byli szkoleni w jednym celu - by penetrować i poszukiwać, ale zawsze w towarzystwie i na rozkaz człowieka. To, co robili teraz, nie było zgodne ze znajomym schematem i samica stała się nieufna. Zapach statku drażnił wrażliwe nozdrza, lecz nie kusiły jej podmuchy wiatru. Samiec już przecisnął się przez szczelinę i szczeptał z podniecenia i zadziwienia, pobiegła więc truchtem, by do niego dołączyć.

Powyżej zaś redax, chociaż nie przewidywano, że ma sprostać trudnym warunkom, ucierpiał w katastrofie mniej niż inne urządzenia. Prąd elektryczny mruczał w sieci przewodów, uaktywniając wiązki, wyłączając i włączając kolejne elementy instalacji w owych łózkach-trumnach. W przypadku pięciu uśpionych - bez rezultatu. Kabina, w której się znajdowali, rozpląszczyła się o zbocze góry. Trzej następni na wpół się rozbudzili, zakrztusili, walczyli o życie i oddech w ciemnościach. Koszmar ten trwał litościwie krótko, po czym ulegli.

W kabinie położonej najbliżej dziury, przez którą uciekły kojoty, młody człowiek usiadł gwałtownie, patrząc w ciemność szeroko otwartymi, pełnymi grozy oczami. Uczepił się gładkiej krawędzi skrzyni, w której leżał, w jakiś sposób udało mu się uklęknąć, przesuwał się po trochu do tyłu i do przodu, po czym na wpół upadł, na wpół oparł się o podłogę; mógł ustać, jedynie trzymając się skrzyni.

Jego ręka uderzała boleśnie o pionową powierzchnię - poszukujące palce zidentyfikowały ją niepewnie jako wyjście. Nieświadomie skrobał powierzchnię drzwi, aż ustąpiły pod tym słabym naciskiem. Następnie znalazł się na zewnątrz, kręciło mu się w głowie, oślepiało go światło wpadające przez dziurę.

Posuwał się w jej kierunku. Czołgał się i wdrapywał, torując sobie drogę przez rozbitą skorupę kuli. A potem wpadł z łomotem w kopiec ziemi, którą statek pchał przed sobą podczas zsuwania się w dół. Osunął się bezwładnie w niewielkiej kaskadzie grudek ziemi i piasku, uderzając o luźny kamień z siłą wystarczającą, by głaz stoczył się po jego grzbiecie i ogłuszył go znowu.

Drugi, mniejszy księżyc Topazu wędrował w blasku po niebie. Jego dziwne, zielone promienie sprawiały, że zalana krwią twarz przybysza wyglądała jak maska kosmity. Zbliżył się już mocno do horyzontu, a jego duży, żony towarzysz wzeszedł, gdy wśród słabych odgłosów nocy rozległo się ujadanie.

Dźwięki te narastały i człowiek zadrżał, przykładając jedną rękę do głowy. Otworzył oczy oszołomiony, rozejrzał się wokół i usiadł. Za nim znajdował się zdruzgotany i rozpruty statek, lecz rozbitek nie obejrzał się za siebie, by go zobaczyć.

Podniósł się natomiast na nogi i, zataczając się, zaczął iść prosto w stronę księżyca. W głowie miał kołowrót myśli, wspomnień, uczuć. Być może Ruthven lub któryś z jego asystentów mógłby wyjaśnić, skąd wzięła się ta chaotyczna mieszanina. Lecz ze względu na wszystkie praktyczne cele Travis Fox - indiański agent czasu, członek Zespołu A, Operacja Cochise - stał się teraz mniej wart niż myślące zwierzę, niż dwa kojoty odprawiające swój rytuał do księżyca, innego niż ten, który świecił w ich utraconej ojczyźnie.

Travis zadrżał. Dziwnie pociągał go ten skowyt. Był jakby znajomy, stanowił realny wątek w rupieciami, w którą zamieniła się jego głowa. Potknął się, upadł, znowu zaczął się czołgać, ale nie ustawał.

Ponad nim samica kojota pochyliła głowę, wciągnęła na próbę powiew nowego zapachu. Uznała go za fragment właściwej drogi życia. Szczeknęła w kierunku swojego

towarzysza, lecz ten był zajęty swoją nocną pieśnią: siedział z pyskiem skierowanym ku księżycowi i wydawał wysoki skowyt.

Travis potknął się i runął do przodu na ręce i kolana. Wstrząs wywołany takim uderzeniem poruszył jego zeszywniałymi przedramionami. Usiłował wstać, ale jego ciało tylko się obróciło. Wylądował na plecach i leżał tak, wpatrując się w księżyc.

Mocny, znajomy zapach... a potem cień wylaniający się ponad nim. Poczul gorący oddech na policzku i szybkie liźnięcie zwierzęcego języka na twarzy. Podniósł rękę, uchwycił gęste futro i trwał tak, jakby odnalazł jedyną ostoję normalności na całkowicie oszalałym świecie.

Travis oparł się jednym kolaniem o czerwoną glebę, zamrugał i odsłonił ostrożnie palcami zasłonę rdzawobrazowej trawy, by spojrzeć na dolinę. Krajobraz w większej części przysłaniała złocista mgła. W głowie czuł tępy, uporczywy ból, wzmagany w jakiś sposób przez jego dezorientację. Badanie rozciągającego się przed nim obszaru przypominało próbę zobaczenia czegoś na wskroś przez obraz, który nakładał się na drugi, całkiem odmienny. Wiedział, co powinno się tu znajdować, lecz widok, jaki miał przed oczami, bynajmniej tego nie przypominał.

Przez wysoką zasłonę trawy przemknął szarawy kształt i Travis sprężył się. *Mba' a* - kojot? Czy też jego towarzyszymi były obecnie *ga-n* duchy, mogące przybierać dowolne kształty, a tym razem, co dziwne, przybrały postać chytrego wroga człowieka? A może byli to *ndendai* - wrogowie albo *dalaanbiyat'* - sojusznicy? Nie mógł się zorientować w tym szalonym świecie.

Ei' dik'e? Umysł rozbitka sformułował słowo, którego nie wymówiły usta: przyjaciel?

Żółte ślepie spojrzały prosto w jego oczy. Mimo że obudził się w tej osobliwej, dziwnej okolicy niejasno wyczuwał, że czworonogie stworzenia, drepczące razem z nim podczas pozbawionej celu wędrówki, miały niezwykłe cechy. Nie tylko spoglądały mu prosto w oczy, lecz wydawało się, że jakimś sposobem czytają jego myśli.

Marzył o wodzie, by złagodzić pieczenie w gardle i nieustanny ból w głowie, a stworzenia szturchnęły go, by ruszył w innym kierunku i doprowadziły do zbiornika. Tam napił się wody o dziwnie słodkim, ale całkiem przyjemnym smaku.

Nadał im po tym imiona, które wyłoniły się z zamętu snów, przyćmiewających jego kulawą podróż przez dziwną krainę.

Nalik'ideyu (Panna Spacerująca po Grzbiecie Wzgórza) była samicą. Wciąż doglądała go, nigdy nie oddalając się zbyt daleko od jego boku. Naginita (Ten, co Idzie na Zwiady), samiec, po prostu wykonywał swoje zadanie, znikając na długie okresy, a następnie powracał, by spojrzeć w oczy człowiekowi i swojej towarzysze, jakby przekazywał jakieś informacje niezbędne dla dalszej podróży.

To właśnie Nalik'ideyu odszukała teraz Trávisa, dysząc z wywieszonym czerwonym jęzorem. Nie dyszała z wysiłku, był tego pewien. Nie, wyglądała na podekscytowaną i gotową... zapolować! Niewątpliwie chodziło o polowanie!

Travis oblizał się, bo to wrażenie uderzyło go z dziką mocą. Na wprost niego znajdowało się mięso - smakowite i świeże, a nawet jeszcze żywe - i czekało tylko, by je zabić. Narastał w nim głód, wrywając go ze skorupy snu.

Ręce powędrowały do talii, lecz, macając palcami, nie znalazł niczego. Zgodnie z tym, co podpowiadała mu mętne pamięć, powinien tam być ciężki pas z nożem w pochwie.

Dokładnie zbadał własne ciało, by stwierdzić, że jest ubrany odpowiednio, w spodnie bladobrazowego koloru, który dobrze wtapiał się w barwę otaczającej go roślinności. Poza tym miał na sobie luźną koszulę, przepasaną w szczupłej talii udrapowanym pasem materii. Końce szarfy swobodnie trzepotały. Stopy tkwiły w wysokich butach. Cholewy osłaniały do pewnej wysokości łydki, palce nóg spoczywały w zaokrąglonych zagłębieniach.

Niektóre części garderoby przypominał sobie jak przez mgłę, ale w umyśle znowu nakładały się na siebie dwa obrazy. Jednej rzeczy był pewien - nie miał żadnej broni. Ta konstatacja przeraziła go. Poczł prawdziwy, potworny strach. To pomogło mu przezwyciężyć

oszołomienie, przesłaniające jego umysł.

Nalik'ideyu niecierpliwiła się. Postąpiwszy krok lub dwa do przodu, spojrzała na niego ponad barkiem, żółte ślepią zwęziły się. Jej żądanie pod adresem człowieka było nagłe i tak realne, jakby wypowiadała niesłyszalne słowa. Zdobycz czekała, a ona była głodna. I spodziewała się, że Travis pomoże w polowaniu - natychmiast.

Chociaż nie mógł nadążyć za Nalik'ideyu, poruszającą się z płynną gracją poprzez trawy, Travis ruszył jej śladem, ubezpieczając ją, mimo że każdy ruch przypłacał ukłuciem bólu. Zwracał baczna uwagę na otoczenie. Grunt pod jego stopami, trawa dookoła, dolina wypełniona złocistą mgłą- wszystko to było najwyraźniej rzeczywistością, nie snem. Wynikało stąd, że ten drugi krajobraz, który przez cały czas stał przed jego oczami niczym zjawą, był halucynacją.

Nawet powietrze, które wciągał w płuca i wydychał, miało dziwny zapach, a może smak? Nie miał pewności. Wiedział, że hipnotrening może spowodować dziwne skutki uboczne, ale...

Travis zatrzymał się, patrząc niewidzącymi oczami na trawę, kołyszącą się jeszcze po przejściu kojota. Hipnotrening! Co to takiego? Teraz już trzy obrazy walczyły ze sobą w jego umyśle: dwa nie pasujące do siebie pejzaże i trzeci, przymglony widok. Znowu potrząsnął głową i przyłożył ręce do skroni. To, tylko to, było rzeczywiste: ziemia, trawa, dolina, drąjący go głód, czekające polowanie...

Zmusił się do skupienia uwagi na terażniejszości i tym fragmencie świata, który mógł zobaczyć, dotknąć, poczuć, który leżał tu i teraz wokół niego.

Trawa stała się niższa, kiedy szedł śladem Nalik'ideyu. Ale mgła nie rzedła. Wydawało się, że wisi w kłębach, a kiedy przechodził granicę takiego zagęszczenia, było to jak pełzanie przez mgławicę złotych, tańczących pyłków, wśród których gdzieś pojawiały się błyszczące drobinki, wirujące i pędzące naprzód jak żywe istoty. Pod ich osłoną Travis doszedł do granicy gęstwiny i pociągnął nosem.

Poczuł ciepłą woń, ciężki zapach, którego nie mógł zidentyfikować, ale wiedział, że pochodzi od żyjącej istoty. Przytulając się do ziemi, przepychał głowę i ramiona pod niskimi gałęziami krzaków, by spojrzeć przed siebie.

Była tam nie objęta mgłą przestrzeń, czysty płat ziemi oświetlony porannym słońcem. Pasty się na nim zwierzęta. Kolejny szok sprawił, że zdezorientowany umysł Travisa znowu pozbył się części balastu.

Zauważył, że zwierzęta są mniej więcej wielkości antylopy i, ogólnie rzecz biorąc, przypominają ssaki: posiadają cztery smukłe nogi, zaokrąglone tułowia oraz głowy. Ale miały także zupełnie niezwykle cechy, tak niezwykle, że aż otworzył usta ze zdumienia.

Na ich korpusach dostrzegł gdzieś gdzieś nagie plamy oraz łaty czegoś kremowego. Futro? Czy sierścią było to coś, co zwisało w pasmach, tak jakby zwierzęta zostały przez nieostrożność częściowo oskubane? Miały długie szyje, poruszające się węzowym ruchem, jakby ich kręgosłupy były elastyczne niczym u gadów. Na końcu tych długich i krętych szyj znajdowały się głowy, które także wydawały się bardziej odpowiednie dla innego gatunku - szerokie, raczej płaskie, o szczególnym, przypominającym ropuchę wyglądzie i wyposażone w umieszczone w połowie nosa rogi. Zaczynały się one jako pojedyncza odnoga, a następnie rozgałęziały się na dwa ostre szpikulce.

Były nieziemskie! Travis mrugnął znowu, podniósł rękę do czoła i dalej wbijał wzrok w pasące się stworzenia. Widział trzy: dwa większe, z rogami, oraz jedno niewielkie, porośnięte mniejszą ilością poszarpanego futra oraz z zaczątkiem zaledwie wypukłości na nosie -

najprawdopodobniej młode.

Mentalny sygnał ze strony kojotów przerwał jego kontemplację. Nalik'ideyu nie zainteresował dziwny wygląd pasących się istot, chodziło jej wyłącznie o ich użyteczność - Jako pełnego, satysfakcjonującego posiłku - i znów niecierpliwiła się niemrawą reakcją Trávisa.

Czynione przez niego obserwacje nabrały bardziej praktycznego charakteru. Obroną antylopy jest prędkość, z jaką potrafi uciekać, chociaż można ją zwabić na obszar polowania dzięki niepohamowanej ciekawości zwierzęcia. Smukłe nogi tych stworzeń sugerowały podobne możliwości, a Travis nie miał żadnej broni.

Umiejscowione na nosach rogi wyglądały szpetnie i świadczyły o przystosowaniu zwierzęcia raczej do walki niż do ucieczki. Ale sugestia przesłana przez kojota zaowocowała. Travis był głodny, był myśliwym, a tutaj znajdowało się mięso spacerujące na kopytach, równie dziwnych, jak całe zwierzę.

Znów otrzymał sygnał. Naginlta znajdował się po przeciwnej stronie owego skrawka ziemi. Jeśli stworzenia istotnie umiały szybko biegać mogłyby, jak sądził Travis, prawdopodobnie prześcignąć nie tylko jego, lecz i kojoty - wobec czego pozostawał mu spryt i wymyślenie jakiegoś planu.

Travis spozierał na zasłonę, gdzie, jak wiedział, przycupnęła Nalik'ideyu i skąd dochodził ów sygnał wyrażający zgodę. Zadrzał. To naprawdę nie były zwierzęta, lecz potężne ga-n, ga-n. Dlatego musi traktować je jak ga-n i zgadzać się z ich wolą. Zachęcony tym Apacz poświęcał teraz mniej uwagi pasącym się stworzeniom, jednocześnie badając tę część krajobrazu, gdzie nie było mgły.

Nie dysponując bronią ani szybkością, musieli obmyślić jakąś zasadzkę. Travis znowu wyczuł tę zgodę, stanowiącą magię ga-n, a wraz z nią nieodparty impuls, pchający go w prawą stronę. Posuwał się naprzód z wprawą, z jakiej nie zdawał sobie sprawy, nie wiedząc także, iż się tego nauczył.

Rosnące tu krzaki oraz małe drzewka o opuszczonych konarach nie miały listowia, tylko czerwonawe, szczeciniaste porośla sterczące wprost z ich gałązek. Tworzyły mur, częściowo otaczający niewielką łąkę. Zasłona ta sięgała skalistej szczeliny, w której skłębiła się mgła. Gdyby tak pokierować pasącymi się zwierzętami, by weszły w tę szczelinę...

Travis rozejrzał się wokół siebie i zacisnął w ręce najstarszą broń swoich przodków, kamień wyciągnięty z ziemi i pasujący jak ulał do jego dłoni. Szansa powodzenia nie była wielka, lecz nie potrafił wymyślić nic lepszego.

Apacz uczynił pierwszy krok na nowej, przerażającej drodze. Owe ga-n wniosły swoje myśli lub swoje pragnienia do jego umysłu. Czy on także mógłby kontaktować się z nimi w ten sposób?

Zaciskając w dłoni kamień, z ramionami opartymi o krzaczastą ścianę w niewielkiej odległości od szczeliny, starał się przemyśleć jasno i prosto ten najprostszy plan. Nie wiedział, że reagował tak, jak powinien był reagować zgodnie z nadziejami odległych o cały kosmos naukowców. Nie odgadł również, że pod tym względem zaszedł już znacznie dalej, niż sięgały oczekiwania ludzi, którzy wyhodowali i wyszkolili dwa zmutowane kojoty.

Myślał tylko, że może to jest jedyny sposób, aby stać się posłusznym życzeniom dwóch duchów, które uważał za znacznie potężniejsze od jakiegokolwiek człowieka. A więc stworzył w swoim umyśle obraz szczeliny, biegnących stworzeń i role, jakie mogły odegrać ga-n, gdyby zechciały.

Wyczuł zgodę - na swój sposób głośną i wyraźną, jakby wykrzychaną. Mężczyzna

wziął kamień w palce, zważył go. Prawdopodobnie, by uzyskać zamierzony efekt, zdoła użyć go tylko jeden raz, musi więc być gotowy.

Od tej chwili Travis nie patrzył już na niewielką łąkę, gdzie pasły się zwierzęta. Ale wiedział, równie dobrze, jakby obserwował tę scenę, że były tam przyczajone kojoty, z brzuchami przypłaszczonymi do ziemi, do swojego sprytu przydające koci instynkt i cierpliwość.

Teraz! - drgnęło w głowie Trávisa. Otrzymał sygnał do działania. Sprężył się, ściskając kamień.

W odpowiedzi na szczekanie usłyszał dźwięk nie do opisanía, hałas, który nie był ani kaszlem, ani też chrząkaniem, lecz czymś pośrednim. Znowu, jap... jap...

Ropusza głowa przemknęła przez zaslonę zarośli, z podwójnym rogiem na nosie przystrojonym żdźbłem trawy wyrwanej z korzeniami. Szeroko otwarte oczy - mleczone i na pozór pozbawione źrenic - wbiły się w Trávisa, lecz nie był pewien, czy stworzenie widziało go, gdyż pędziło naprzód i zbliżało się do szczeliny z coraz większą szybkością. Za nim biegło młode, to z jego szerokich, płaskich warg wydobywał się ów gardłowy krzyk.

Długa szyja dorosłego zwierzęcia wiła się, żabia głowa przybliżyła się do ziemi tak, że bliźniacze szpikulce rogów pochyliły się, celując teraz w Trávisa. Miał rację, podejrzewając je o śmiercionośne właściwości, cała postawa stworzenia świadczyła bowiem o zamiarze zamordowania go.

Cisnął kamień, a potem rzucił się w bok, potykając się i staczając w zarośla. Tam odbył szaleńczą walkę, by znów stanąć na nogi, w obawie, że w każdej chwili może poczuć na sobie deptające kopyta i kłujące rogi. Z drugiej strony dał się słyszeć trzask, a krzewy i trawa zatrzęsły się wściekle.

Apacz wycofał się, pełznąć na rękach i kolanach. Odwracał głowę, by obserwować, co dzieje się z tyłu. Zobaczył trójkątny ogon dyndający w gardzieli szczeliny. Młode uciekło. Kotłowanina w krzakach ucichła.

Czy stworzenie chciało go podejść? Podniósł się, nadal słysząc szczekanie, jakby walka trwała. Nagle ukazało się drugie z dorosłych zwierząt. Wycofywało się i skręcało. Pochyloną głowę z groźnym podwójnym rogiem kierowało cały czas w stronę kojotów wykonujących drażniący, irytujący taniec dookoła niego.

Jeden z kojotów podniósł głowę, spojrział w górę i zaszczekał. Wówczas jak jeden mąż ruszyły oba na nacierającą bestię, ale po raz pierwszy z jednej strony, zostawiając jej otwartą drogę odwrotu. Stworzenie wykonało jeszcze próbę ataku, przed którym łatwo uciekły, a następnie zrobiło zwrot z szybkością i gracją, jaka nie pasowała do niezgrabnego, nieproporcjonalnie zbudowanego ciała, i skoczyło w kierunku szczeliny. Kojoty nie uczyniły najmniejszego wysiłku, by utrudnić mu ucieczkę.

Travis wyszedł z ukrycia i podszedł do zarośli, ukrywających klęskę drugiego zwierzęcia. Zachowanie kojotów upewniło go, że nie ma już niebezpieczeństwa, nigdy nie pozwoliłyby na ucieczkę swojej ofiary, gdyby jedno stworzenie nie znajdowało się w opałach.

Kamień, jak stwierdził Apacz chwilę później, badając drgające, powyginane ciało, musiał uderzyć zwierzę w głowę i ogłuszyć je. Wówczas pęd jego szarży sprawił, że wpadło na skałę i zginęło. Ślepy traf - czy też moc ga-n? Odsunął się, kiedy ramię w ramię podeszły kojoty, by obejrzeć zdobycz. Z pewnością należała w większym stopniu do nich niż do niego.

Łup dostarczył im nie tylko pożywienia, lecz także broni dla Trávisa. Zamiast przypasanego noża, który, jak sobie przypominał, niegdyś posiadał, był obecnie wyposażony w dwa. Podwójny róg dało się łatwo oddzielić od zmiażdżonej czaszki, a posługując się ostrożnie

kamieniami, zdołał wyłamać jeden ząb dokładnie pod takim kątem, pod jakim chciał. Obecnie miał krótkie i dłuższe narzędzie, służące do obrony. Było to lepsze od kamienia, z którym rozpoczynał polowanie.

Nalik'ideyu przeszła obok niego, by poplaskać się trochę w wodzie. Potem usiadła na zadzie, obserwowała Trvisa wygładzającego róg za pomocą kamienia.

- Nóż - powiedział do niej. - Zrobię z tego nóż. A potem - spojrzał do góry, mierząc wartość drewna, którego mogły dostarczyć drzewa i krzaki - łuk. Za pomocą łuku łatwiej będzie nam polować.

Samica kojota ziewnęła, na wpół przymrużając żółte ślepia, cała jej poza wyrażała satysfakcję i zadowolenie.

- Nóż - powtórzył Travis - i łuk.

Potrzebował broni, musiał ją mieć!

Po co? Ręka przestała skrobać. Po co? Żabiogłowy dwurożec był szybki w ataku, lecz Travis mógłby się ukryć, a zwierzę nie zapolowałoby na niego pierwsze. Dlaczego kierował nim strach i przekonanie, że nie wolno pozostawać nieuzbrojonym?

Zanurzył rękę w zbiorniku utworzonym przy źródle i nabrał wody, by ochłodzić spoconą twarz. Kojot poruszył się, obrócił dookoła w trawie, przygniatając rośliny, by utworzyć gniazdo. Zwinął się w nim w kłębek, kładąc głowę na łapach. Travis siedział na piętach, beczynne już ręce zwisały pomiędzy kolanami. Usiłował uporządkować splątane wspomnienia.

Ten krajobraz był zły, ale rzeczywisty. Travis pomógł zabić obce stworzenie. Zjadł mięso na surowo. Róg zwierzęcia leży teraz w zasięgu ręki. Wszystko to jest rzeczywiste i niezmienne, co oznacza, że cała reszta, ten świat, po którym wędrował ze swoimi współplemieńcami, jeździł na koniach, atakował najeźdźców innej rasy, nie był realny, albo był odległy, niezmiernie odległy od miejsca, gdzie przebywał dziś.

A jednak pomiędzy tymi dwoma światami nie istniała uchwytna granica. W pewnej chwili znajdował się w pustynnej okolicy i wracał z udanego najazdu na Meksykanów. Meksykanów! Travis przypomniał to sobie i próbował potraktować jak nić, która przywiedzie go bliżej źródeł własnej tajemnicy.

Meksykanie... On zaś był Apaczem, jednym z ludzi Orła, i jeździł z Cochise. Nie!

Pot znowu zalał mu twarz schłodzoną dzięki wodzie. Nie należał do tej przeszłości. Był Travisem Foxem, z samego końca dwudziestego wieku, nie zaś nomadem z połowy wieku dziewiętnastego! Należał do Zespołu A realizującego projekt!

Pustynia Arizony, a potem to! W jednej chwili stamtąd tutaj. Rozejrzał się wokoło z narastającym przerażeniem. Zaraz, zaraz! Zanim wydostał się na pustynię, znajdował się w ciemności, leżał w skrzyni. Gdy wygrzebał się stamtąd, wyczołgał się przez pasaż, by znaleźć się w księżycowym świetle, dziwnym księżycowym świetle.

Pudło, w którym leżał, pasaż o gładkich metalowych ścianach i obcy świat na jego końcu...

Kojot nastawił uszy, podniósł głowę, patrzył na wymizerowaną twarz człowieka, w jego oczy pełne przerażenia. Zaskomlał.

Travis chwycił dwa kawałki rogów, wsadził je za szarfę, która stanowiła jego pas, i podniósł się na nogi. Nalik'ideyu siadła, z głową przekrzywioną nieco w jedną stronę. Kiedy mężczyzna odwrócił się, by poszukać swojego śladu wiodącego z powrotem, wstała po cichu i zawyła, wołając Naguiltę. Ale Travis był w tej chwili bardziej skoncentrowany na tym, czego musi dowieść samemu sobie, niż na działaniach dwojga zwierząt.

Szlak ich wędrówki był wyraźny. Teraz nie wąpił już w swoją umiejętność bezbłędnego podążania tym tropem. Słońce paliło. Z krzewów dochodziło brzęczenie jakichś skrzydlatych istot, małe stworzonka drepcząc uciekały przed nim przez wysokie trawy. Naginita warknęła ostrzegawczo, więc wszyscy musieli zboczyć z trasy. Travis nie odnalazłby właściwego śladu, gdyby kojot-tropiciel nie doprowadził go do niego.

- Kim ty jesteś? - zapytał i pomyślał, że należałoby raczej powiedzieć: - Czym ty jesteś? Nie były to zwierzęta, a raczej coś więcej niż zwierzęta, jakie kiedykolwiek znał. I część jego, ta część, wskrzeszająca w pamięci wioski wśród pustkowi, którymi rządził Cochise, powiedziała, że to duchy. A jednak druga jego część... Travis potrząsnął głową, przyjmując je teraz takimi, jakimi były - mile widzianymi towarzyszami w obcym miejscu.

Dzień chylił się już ku zachodowi, a Travis wciąż szedł wędrównym szlakiem. Gnający go przymus sprawiał, że nie ustawał w podążaniu przez surowy kraj wzgórz i rozpadlin. Mgła podniosła się teraz nad gigantyczne góry, które znajdowały się bardzo blisko niego, chociaż nie były to tamte góry, zapamiętane z przeszłości. Te tutaj były bladobrazowe, o nieprzystępnym wyglądzie, niczym wysuszone w słońcu czaszki szczerzące zęby, co miało stanowić ostrzeżenie dla wszystkich przybywających.

Z wielkim trudem Travis wszedł na wzniesienie. Przed nim, na tle linii nieba, stały oba kojoty. Kiedy dołączył do nich człowiek, jeden, a później drugi podniósł głowę i wydał płaczliwy, przejmujący zew, który był częścią tego innego życia.

Apacz spojrział w dół. Nurtująca go zagadka została częściowo rozwiązana. Rozpoznał roztrzaskany o górskie zbocze wrak - był to statek kosmiczny! Ścisnęło go lodowate przerażenie i odchylił do góry głowę. Spomiędzy ściśniętych warg wydobył się krzyk, równie żałosny i rozpaczliwy jak ten, który wydawały z siebie zwierzęta.

Ogień - najstarszy sojusznik człowieka, jego broń i narzędzie, wzbijał się wysoko w pobliżu kamiennego, nagiego zbocza góry. Wokół ogniska siedzieli ze skrzyżowanymi nogami mężczyźni, było ich piętnastu. Za nimi, strzeżone przez płomień i ów ponury krąg, zebrały się kobiety. Zgromadzeni tu ludzie byli do siebie podobni. Wszyscy pochodzili z tej samej rasy, średniego wzrostu, krępi, wyglądali na silnych i wytrzymałych. Mieli brązową skórę i czarne, sięgające ramion włosy. Byli też młodzi - poniżej trzydziestki, a kilkoro nie skończyło jeszcze dwudziestu lat. Kiedy słuchali Trávisa, w ich oczach i na wymizerowanych twarzach widniało napięcie.

- Musimy znajdować się na Topazie. Czy ktoś z was przypomina sobie, jak wchodził na statek?

- Nie. Tylko to, że obudziliśmy się w nim. - Jeden z zebranych przy ognisku podniósł podbródek i wbił wzrok w Trávisa z głębokim, tłącym się gniewem. - To jeszcze jedno oszustwo Pinda-lick-oyi. Białych Oczu. Nigdy nie postępowali z nami fair. Złamali obietnicę, tak jak człowiek łamie nadgniły kij, bo ich słowa to zgnilizna. I to ty, Fox, nakłoniłeś nas do wysłuchania ich.

W kręgu powstało poruszenie, kobiety zamruczały coś pod nosem.

- A czyja także nie siedzę z wami w tej osobliwej dzicy? - odparował.

- Nic nie rozumiem. - Inny mężczyzna trzymał rękę z dłonią uniesioną do góry w pytającym geście - Co się z nami stało? Byliśmy w starym świecie Apaczów. Ja, Jil-Lee, jeździłem na koniu wraz z Cuchillo Negro, pojechaliśmy schwycić Ramosa. A potem znalazłem się tutaj, w rozbitym statku, a obok mnie leżał martwy mężczyzna, który kiedyś był moim bratem. Jak dostałem się z przeszłości naszego ludu poprzez gwiazdy do innego świata?

- Sztuczki Pinda-lick-o-yi! - Ten, który odezwał się pierwszy, splunął w ogień.

- Myślę, że był to redax - odrzekł Travis. - Słyszałem, jak mówił o tym doktor Ashe. Nowa maszyna, która sprawia, że człowiek przypomina sobie nie własną przeszłość, lecz przeszłość swoich przodków. Przebywając na statku, musieliśmy znajdować się pod jego wpływem, żyliśmy więc tak, jak żył nasz lud przed stu lub więcej laty.

- A jaki byłby cel takiego postępowania? - zapytał Jil-Lee.

- Chodziło zapewne o to, żebyśmy bardziej przypominali naszych przodków. Mówiono nam o tym, jako o części przedsięwzięcia. Podróż w nowe światy wymaga innego rodzaju człowieka niż ten obecnie żyjący na planecie Ziemia. By stawić czoło niebezpieczeństwom czyhającym w dzikich miejscach, potrzebne są te cechy, które już utraciliśmy.

- Ty, Fox, byłeś już wcześniej wśród gwiazd, czy natknąłeś się tam na tego rodzaju niebezpieczeństwa?

- Tak. Słyszałeś o trzech światach, które zobaczyłem, kiedy statek z dawnych dni bez naszej wiedzy zabrał nas w gwiazdną podróż. Czy wy wszyscy nie zgłosiliście się na ochotnika, by zostać pionierami i także zobaczyć dziwne i nowe rzeczy?

- Nie zgodziliśmy się jednak, żeby cofnięto nas w przeszłość w narkotycznym śnie i wysłano bez naszej wiedzy w kosmos! Travis kiwnął głową.

- Deklay ma rację. Ale w kwestii, dlaczego zostaliśmy wysłani w ten sposób i dlaczego statek uległ katastrofie, nie wiem nic więcej niż wy. W kabinie, w której znajdowała się ta nowa instalacja, znaleźliśmy ciało doktora Ruthvena. Nie odkryliśmy nic innego, co mogłoby nam powiedzieć, z jakiego powodu zostaliśmy tu sprowadzeni. Ponieważ statek się rozbił, niestety,

musimy tu zostać.

Zapadła cisza, milczeli i mężczyźni, i kobiety. Mieli za sobą wiele wypełnionych pracą dni oraz nocy, kiedy męczyły ich koszmarne sny. Przy ścianie klifu leżały pakunki z uratowanym z wraku zaopatrzeniem. Wszyscy zgodzili się na odejście od zniszczonej kuli, zgodnie ze starym zwyczajem, nakazującym szybkie opuszczenie miejsca naznaczonego śmiercią.

- Czy ten świat jest pozbawiony ludzi? - chciał wiedzieć Jil-Lee.

- Jak dotąd znaleźliśmy jedynie ślady zwierząt, a przed niczym innym ga-n nas nie ostrzegali.

- To diabelskie nasienie! - Deklay znowu splunął w ogień. - Uważam, że nie powinniśmy się z nimi zadawać. Mba 'a nie jest przyjacielem Ludu!

W odpowiedzi na ten wybuch znowu odezwał się pomruk, jak się wydawało, oznaczający zgodę. Travis zeszytywniał. Aż taki wpływ wywarł na nich redax? Sam doświadczał czasami dziwnej podwójnej reakcji - dwóch różnych uczuć, które doprowadzały go niemal do torsji, kiedy uderzały jednocześnie. Zaczynał podejrzewać, że dla niektórych towarzyszy powrót do przeszłości był znacznie głębszy i bardziej trwały. Teraz Jil-Lee miał zrozumieć, co się rzeczywiście stało. Deklay przemienił się w przodka, który jeździł z Yictorem lub Magnusem Colorado! Travis doznał olśnienia: w jakimś stopniu przewidział czas, kiedy przeszłość i teraźniejszość mogą w fatalny sposób ich poróżnić.

- Diabeł albo ga-n. - Mężczyzna o spokojnej twarzy i zapadniętych głęboko oczach przemówił po raz pierwszy. - Na skutek działania tego redaxu mamy podwójną mentalność, a więc nie róbmy niczego w pośpiechu. W pustynnym świecie Ludu spotkałem mba 'a i okazał się on bardzo inteligentny. Chodził polować z borsukiem, a kiedy borsuk wykopał sznurze gniazdo, mba 'a czekał po drugiej stronie ciemnego krzaka i łapał szczury, które próbowały uciec. Nie było wojny pomiędzy nim a borsukiem. Te dwa stworzenia siedzące teraz obok tamtego człowieka także są myśliwymi i wydaje się, że są do nas przyjaźnie nastawione. W tym obcym miejscu człowiek potrzebuje wszelkich przyjaciół, jakich może znaleźć. Nie przywołujmy nazw ze starych podań, bo w rzeczywistości mogą one nic nie znaczyć.

- Buck mówi słusznie - zgodził się Jil-Lee. - Szukamy obozu, w którym można się będzie bronić. Być może żyją tutaj ludzie i wkroczyliśmy na ich teren łowiecki, chociaż nie widzieliśmy jeszcze nikogo. Jest nas mało i jesteśmy sami. Poruszajmy się delikatnie, bo tutejsze szlaki są obce naszym stopom.

Travis w głębi ducha odetchnął z ulgą. Buck, Jil-Lee... Przez chwilę wydawało się, że ich rozsądne słowa wpłyną na stanowisko grupy. Jeśli któryś z nich zostałby ustanowiony *haldzilem* lub przywódcą klanu, wszyscy poczuli by się bezpieczniejsi. Sam nie miał aspiracji w tym kierunku i nie chciał naciskać zbyt mocno. Na początku to właśnie jego namowy sprawiły, że zgłosili się na ochotnika, by wziąć udział w projekcie. Teraz był więc podwójnie podejrzany, szczególnie przez tych, którzy myśleli tak jak Deklay i uważali, że jego rozumowanie jest zbyt dalekie od ich dawnego sposobu myślenia.

Jak dotąd protestowali słabiej, niż przewidywał. Chociaż bracia i siostry połączyli się w grupę, zgodnie z odwiecznym pragnieniem Apaczy, by utrzymywać więzy rodzinne, nie byli prawdziwym klanem, którego jedność stanowiłaby dla nich oparcie, lecz jedynie przedstawicielami plemienia.

Tam, na Ziemi, należeli do najbardziej postępowych w takim znaczeniu tego słowa, jakie nadał mu biały człowiek. Travis uświadamiał sobie swój niegdyśjszy sposób myślenia. On także został naznaczony przez redax. Wszyscy otrzymali wykształcenie zgodnie z

wymogami nowoczesności i posiadali awanturniczą żyłkę, wyróżniającą ich spośród pozostałych członków plemienia. Zgłosili się do zespołu na ochotnika i z powodzeniem przeszli testy, które pozwalały wykluczyć niedopasowanie charakterologiczne lub brak hartu ducha. Ale dotyczyło to czasu, zanim zaczął działać redax...

Dlaczego poddano ich takiej próbie? I czemu miał służyć ten lot? Co skłoniło doktora Ashe i Murdocka oraz pułkownika Kelgarriesa, agentów czasu, których znał i którym ufał, do wysłania ich bez ostrzeżenia na Topaz? Musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że doktor Ruthven zyskał przewagę na tamtymi i wysłał ich w tę szaloną podróż.

Travis był świadom zamieszania wokół ognistego kręgu. Mężczyźni wstawali, wchodzili w cień, wyciągali się na kocach znalezionych pomiędzy innymi rzeczami na statku. Odkryli tam też broń - noże, łuki, kołczany strzał, wszystko, w czego użyciu szkolono ich podczas intensywnych przygotowań do realizacji projektu i co nie wymagało innych reperacji niż te, których mogli dokonać sami. Jedyną żywność, jaką posiadali, stanowił suchy prowiant w bardzo niewielkich ilościach. Następnego dnia musieli zacząć polować na serio...

- Dlaczego zrobiono nam coś takiego? - Buck znajdował się obok Trávisa, spokojne oczy prześliznęły się po nim, by znowu poszukać ogniska. - Nie sądzę, żeby tobie to powiedziano, skoro pozostali nic nie wiedzą.

Travis podchwycił temat.

- To znaczy, iż ktoś twierdzi, że ja wiedziałem, tak?

- Właśnie. Kiedyś znajdowaliśmy się w tym samym punkcie czasu - w naszych myślach, naszych pragnieniach. Teraz stoimy w wielu miejscach, tak jakbyśmy wspinali się, każdy w swoim własnym tempie, po schodach, na które wysłał nas Pinda-lick-o-yi. Kilku tu, kilku tam, kilku jeszcze dalej u góry... - Narysował kilka schodkowatych kształtów w powietrzu. - I na tym polega kłopot.

- To prawda - zgodził się Travis. - Prawdą jest też, iż nic nie wiedziałem o tym, że razem z wami wspinał się na owe schody.

- Również tak sądzę. Ale nadszedł czas, kiedy nie należy być kobietą, mieszkającą w garnku wrzący gulasz, lecz raczej tą, która stoi spokojnie w pewnej odległości.

- Tak myślisz? - naciskał Travis.

- Myślę, że jako jedyny spośród nas byłeś przedtem wśród gwiazd, dlatego łatwiej ci zrozumieć nowe zjawiska. A my potrzebujemy zwiadowcy. Kojoty także chodzą krok w krok za tobą, a ty nie obawiasz się ich.

To wydawało się rozsądne. Wypuścić go przodem jako zwiadowcę, który zabierze ze sobą kojoty. Przez pewien czas miałyby pozostawać poza obozem i jak najmniej mówić - dopóki ludzie na schodach Bucka nie skonsolidują się bardziej.

- Wyruszę rano - zgodził się Travis. Mógł wymknąć się dzisiejszego wieczora, lecz właśnie teraz nie potrafił zmusić się do odejścia od ognia, od towarzystwa.

- Możesz wziąć ze sobą Tsoaya - ciągnął Buck. Travis czekał, aż powie coś więcej w związku z tą sugestią. Tsoay był jednym z najmłodszych w grupie, kuzynem, niemal bratem Bucka.

- To dobrze - wyjaśnił Buck - iż poznajemy ten kraj; zgodnie z naszym zwyczajem młodszy zawsze szedł śladem starszego. Poza tym trzeba poznać nie tylko tutejsze szlaki, należy też poznać ludzi.

Travis zrozumiał, co kryło się za tymi słowami. Być może, dzięki wyznaczaniu młodszych mężczyzn na zwiadowców, jednego po drugim, udałooby się zdobyć pewnego rodzaju poparcie. U Apaczów przywództwo było całkowicie sprawą osobowości. Aż do

okresu, kiedy plemiona zostały umieszczone w rezerwach, wodzowie uzyskiwali swoją pozycję wyłącznie dzięki sile charakteru, chociaż mogli pochodzić jeden po drugim z jednego klanu rodzinnego przez wiele pokoleń.

Nie chciał, by tutaj pojawiło się przywództwo. Nie chciał także, by wokół niego narastały pomówienia, których celem było odcięcie go od własnych ludzi. Dla każdego Apacza zerwanie z klanem oznaczało małą śmierć. Musi zdobyć takich, którzy poparliby go, gdyby Deklay lub ci, co myśleli podobnie jak on, przeszli od szemrania do otwartej wrogości.

- Tsoay szybko się uczy - zgodził się Travis. - Wyruszymy o świcie.

- Wzdłuż łańcucha gór? - zapytał Buck.

- Skoro szukamy obronnego miejsca na osadę, tak. W górach zawsze znajdowały się dobre twierdze dla ludzi.

- Czy sądzisz, że potrzebujemy fortu?

Travis drgnął.

- Przez jeden dzień wędrowałem po tym świecie. Nie widziałem nic oprócz zwierząt. Ale to nie znaczy, że nie ma tu żadnych wrogów. Planetę opisano na taśmach, przywiezionych przez nas z innego świata, była więc znana innym, którzy kiedyś podróżowali od gwiazdy do gwiazdy, tak jak my podróżujemy pomiędzy ranchem a miastem. Skoro istniał ten świat na taśmie ekspedycyjnej, to znaczy, że był ku temu powód, który nadal może być aktualny.

- Ale ludzie ci podróżowali tak dawno temu, więc... - dumął Buck. - Czy ten powód utrzymałby się tak długo?

Travis pamiętał dwa inne światy, jeden pustynny i dziwny, zamieszkiwany przez jakieś stworzenia podobne do zwierząt, które w nocy wyszły z piaskowych nor i zaatakowały statek kosmiczny. Czy były one niegdyś ludźmi i posiadały inteligencję? A drugi świat, gdzie stały ruiny gigantycznego miasta, pochłaniane przez roślinność dżungli? Tam właśnie z metalowych nierdzewnych rurek zrobił strzelbę, dar dla małych skrzydlatych istot. Ale czy byli to ludzie? I miasta, i oni to zapewne dziedzictwo po starożytnym galaktycznym imperium.

- Coś mogło pozostać - odpowiedział trzeźwo. - Jeśli ich znajdziemy, musimy być ostrożni. Ale najpierw potrzebujemy dobrego miejsca na rancho.

- Dla nas nie ma już powrotu do domu - stwierdził stanowczo Buck.

- Dlaczego tak mówisz? Może później przybędzie statek ratowniczy.

Buck podniósł oczy na Travisa.

- Kim byłeś, kiedy spałeś pod wpływem redaxu?

- Wojownikiem. Napadałem... żyłem...

- A ja byłem tym z go' ndi - odparł Buck po prostu.

- Ale...

- Lecz biały człowiek zapewnił nas, że coś takiego jak władza wodza nie istnieje. Owszem, Pinda-lick-o-yi powiedział nam wiele różnych rzeczy. Jest zajęty swoimi narzędziami, swoimi maszynami, wiecznie zajęty. A tych, którzy myślą inaczej i nie można ich mierzyć wedle jego zasad, uważa za głupich marzycieli. Nie wszyscy biali ludzie tak sądzą. Na przykład doktor Ashe - ten zaczynał coś rozumieć.

- Może i ja nadal stoję w połowie schodów wiodących z przeszłości. Ale jednego jestem pewien: nie ma dla nas powrotu. I przyjdzie czas, kiedy z ziarna przeszłości wyrośnie coś nowego. Konieczne jest więc, żebyś stał się jednym z dogląających tego wzrostu. Nalegam zatem, weź Tsoaya, a następnym razem Lupe'a. Bo tym młodym, którzy przechylają się raz w jedną, raz w drugą stronę jak małe drzewka ulegające byle podmuchowi, trzeba dać mocne korzenie.

W Travisie instynkt walczył z wykształceniem, podobnie jak obraz, wywołany w jego umyśle przez redax, zmagał się po przebudzeniu z widokiem obcego krajobrazu. Tym razem jednak uznał, że musi kierować się tym, co czuje. Wiedział, że żaden człowiek jego rasy nie powoływałby się na go' ndi, moc ducha, znanego tylko wielkiemu wodzowi, gdyby rzeczywiście nie czuł, że ów duch go przenika. Mogła to być halucynacja z przeszłości, lecz jego aura była obecna tu i teraz. Travis nie miał wątpliwości, że Buck bez zastrzeżeń wierzy w to, co powiedział, i że ta wiara zostanie przyjęta przez innych.

- To jest mądrość. *Nantan*.

Buck potrząsnął głową.

- Nie jestem *nantan*, tu nie ma wodza. Lecz niektórych rzeczy jestem pewien. I ty bądź pewien tego, co znajduje się w tobie, młodszy bracie!

Trzeciego dnia, wędrując na wschód wzdłuż podstawy górskiego łańcucha, Travis znalazł miejsce, które uznał za odpowiednie na założenie obozu. Był to kanion z dobrym źródłem wody, poprzecinany wyraźnie zaznaczonymi szlakami zwierzyny. Kolejne półki skalne zaprowadziły go na małą płaszczyznę, gdzie drewno pozyskane z zarośli mogłoby posłużyć do budowy wigwamów. Woda i żywność znajdowały się w pobliżu, a dojście po półkach skalnych ułatwiało obronę. Nawet Deklay i podobni do niego malkontenci musieli uznać, że jest to bardzo dobre miejsce.

Kiedy Travis wypełnił swój obowiązek wobec klanu, zajął się tym, co stanowiło przedmiot jego własnej troski, trapiącej go od wielu dni. Topaz został umieszczony na taśmie przez ludzi pochodzących z nieistniejącego gwiazdowego imperium. Planeta była więc ważna, ale z jakiego powodu? Jak dotąd nie natrafił na żaden ślad, który mógłby świadczyć o tym, że znajdują w tym świecie cokolwiek przewyższającego poziomem inteligencji dwurożce. Dręczyła go jednak pewność, że istniało tutaj coś, coś czekało... Pragnienie, by dowiedzieć się, co to jest, przeszywało go dokuczliwie niczym ból.

Być może przybył tu, by zbyt ściśle podążać drogą wyznaczoną przez Pinda-lick-o-yi, o co oskarżał go Deklay. Travis cieszył się bowiem, że może iść na zwiady, mając za jedyne towarzystwo kojoty, i nie uważał, że samotność na nieznanym planecie jest tak straszna, jak sądziła większość towarzyszy.

Czwartego dnia po tym, jak osiedli na półce skalnej, sprawdzał właśnie swój mały podróżny ekwipunek, kiedy przykucnęli obok niego Buck i Jil-Lee.

- Idziesz na polowanie? - przerwał milczenie Buck.

- Nie chodzi o mięso.

- Czego się obawiasz? Że *ndendai* - nieprzyjaźni ludzie - oznaczyli to miejsce jako swoje terytorium? - zapytał Jil-Lee.

- Może to prawda, ale teraz zapoluję na to, czym ten świat niegdyś był. Poszukam powodu, dla którego starożytni gwiazdowi ludzie oznaczyli go jako własny.

- Sądzisz, że ta wiedza może nam się na coś przydać? - zapytał powoli Jil-Lee. - Czy da żywność naszym ustom, schronienie naszym ciałom? Będzie oznaczała dla nas życie?

- Wszystko jest możliwe. To niewiedza jest zła.

- Racja. Niewiedza jest zawsze zła - zgodził się Buck. - Ale łuk dopasowany do jednej ręki i siły ramienia może nie być odpowiedni dla innych. Pamiętaj o tym, młodszy bracie. Pójdiesz więc sam?

- Z Naginitą i Nalik'ideyu nie jestem sam.

- Weź ze sobą także Tsoaya. Te czworonożne stworzenia są rzeczywiście ga-n na usługach tych, których lubią, ale nie jest dobrze, kiedy człowiek idzie sam, bez nikogo ze

swoich.

Znowu pojawiło się to poczucie solidarności klanowej, które Travis nie zawsze dzielił. Z drugiej strony Tsoay nie byłby zawadą. W trakcie poprzednich zwiadów chłopiec dowiedział, że ma dobre oko i lubi eksperymenty, co nie było zaletą występującą powszechnie, nawet wśród chłopców w jego wieku.

- Pójdę poszukać drogi przez góry, to może potrwać - bez przekonania zaprotestował Travis.

- Sądzisz, że to, czego szukasz, może leżeć na północy?

Travis wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Skąd mógłbym wiedzieć? Ale tam jeszcze nie byłem.

- Tsoay pójdzie z tobą. Zachowuje milczenie wobec starszych wojowników, jak przystoi komuś niedoświadczonemu, lecz jego myśli są wolne, podobnie jak twoje - odrzekł Buck. - W nim także tkwi ta potrzeba zobaczenia nowych miejsc.

- O to chodzi - Jil-Lee podniósł się na nogi. - Nie idź zbyt daleko, bracie, możesz potem mieć trudności ze znalezieniem drogi powrotnej. To szeroki kraj, a na tej ziemi jesteśmy tylko garstką ludzi.

- Tak, o tym także pamiętam. - Travis pomyślał, że w słowach Jil-Lee można znaleźć więcej niż to jedno ostrzeżenie.

Byli już dwa dni drogi od obozu i wspinali się pod górę, kiedy na przełęczy natknęli się na coś, na czego istnienie liczył Travis.

Przed nimi znajdowało się strome zbocze, wiodące ku czemuś, co wydawało się otwartym równinnym krajem, otulonym w przymglony bursztyn. Travis już wiedział, że to gęsta trawa. Trafił na nią w południowych dolinach. Tsoay wyciągnął brodę w tym kierunku.

- Szeroki kraj. Dobry dla koni, bydła, domostw... Wszystko to leżało za otaczającą ich czarną przestrzenią. Travis zastanawiał się, czy były tu jakieś zwierzęta, które mogłyby posłużyć ludziom zamiast koni.

- Zejdziemy na dół? - zapytał Tsoay.

Z punktu, w którym stali, Travis nie mógł dostrzec niczego, co przerywałoby płaszczyznę bursztynowej równiny, najmniejszego śladu budowli czy innego elementu zakłócającego gładką pustkę. Mimo wszystko pociągał go ten kraj.

- Idziemy - zdecydował.

Równina, która wydawała się blisko, kiedy patrzyli na nią z przełęczy, okazała się jednak odległa o dzień i noc drogi. Przebyli ją, na zmianę obserwując uważnie okolicę. Był ranek drugiego dnia, kiedy opuścili pogórze i na otwartym terenie trawa sięgała im do pasa. Travis widział, jak jej powierzchnia marszczy się w miejscach, gdzie przodem podążają kojoty. Słyszał bezustanne brzęczenie, odgłos ten najpierw trochę go irytował. Wreszcie postanowił dotrzeć do jego źródła. Trawa była zdeptana, a szlak złamanych łodyg wiodł ze środka płaszczyzny. Z jednej strony znajdowała się brzęcząca, rojąca się masa owadów o połyskujących skrzydełkach, które Travis zdążył już poznać jako zjadaczy padliny. Kiedy podszedł bliżej, odrzucił niechętnie. To, co tam leżało, było tak niewiarygodne, że nie mógł uwierzyć własnym oczom. Tsoay wydał krótki okrzyk, przykląkł na jedno kolano, by zbadać rzecz z bliska, po czym spojrzał przez ramię na Travisa szeroko otwartymi oczami i powiedział podekscytowanym głosem:

- Końskie łajno - do tego świeże!

Szedł tędy koń, niepodkutym, ale z jeźdźcem na grzbiecie. Przybył tu z równiny i poruszał się z trudem, kulejąc. Tutaj odpoczywali, być może zaraz po świtanie - podsumował Travis to, czego dowiedzieli się na podstawie starannego badania terenu.

Nalik'ideyu, Naginita oraz Tsoay patrzyli i słuchali, jakby kojoty, podobnie jak chłopiec, rozumiały każde słowo.

- Znalazłem następny! - Tsoay wskazał na ślad pozostawiony przez nieznanego jeźdźca. Miał wrażenie, jakby próbowano go ukryć.

- Jeździec jest mały i lekki. Myślę też, że się boi.

- Idziemy za nim? - zapytał Tsoay.

- Idziemy - zgodził się Travis. Spojrzał na kojoty, jak się tego nauczył, i przekazał im w myślach polecenie, aby podążały tylko tym śladem. Kiedy jeździec znajdzie się w zasięgu wzroku, miały dać znać o tym, gdyby Apacze jeszcze się nie zorientowali.

Bez potwierdzenia, że zrozumiały, kojoty po prostu zniknęły za murem traw.

- Są tu więc także inni - powiedział Tsoay, kiedy wraz z Travisem ruszyli w drogę z powrotem do podnóża gór.

- Może przybył drugi statek.

- Ten koń... - powiedział Travis, potrząsając głową. - Projekt nie przewidywał zabrania w kosmos koni.

- Możliwe, że zawsze tu były.

- Z pewnością nie. Każdy świat ma inne gatunki zwierząt. Poznamy prawdę, kiedy zobaczymy tego konia i jego jeźdźca.

Po tej stronie gór było ciepłej, uderzyło w nich rozgrzane powietrze równin. Travis pomyślał, że koń, jeśli by mu pozwolono, zapewne szukałby wody. Skąd się tutaj wziął? I dlaczego jego jeździec uciekał w strachu i pośpiechu?

Był to surowy, nierówny obszar i zmęczony, kulejący koń wydawał się wybierać najłatwiejszą drogę, bez najmniejszej przeszkody ze strony jadącego na nim człowieka. Travis dostrzegł miękką plamę ziemi z wrytym głęboko śladem. Tym razem nikt nie próbował go zatrzeć, odcisk buta był wyraźny. Jeździec zszedł z konia i prowadził go - lecz poruszał się szybko. Travis i Tsoay podążyli śladami dokoła płytkiego zagłębienia i znaleźli czekającą na nich Nalik'ideyu.

Pomiędzy jej przednimi łapami znajdowało się zawiniątko, przykryte miękką ziemią, a za nią znajdowały się ślady ciągnięcia czegoś od jamy czerniejącej pod nawisem krzaka. Kojot najwyraźniej właśnie odgrzebał znalezisko. Travis przykucnął, by zbadać je, najpierw wzrokiem, a dopiero później rękoma.

Była to torba sporządzona ze skóry, prawdopodobnie zdartej z jednego z dwurożców, sądząc po kolorze i pasmach długiej sierści, pozostawionych jako proste dekoracyjne frędzle dookoła spodu. Brzegi zeszył ktoś dobrze wprawiony w skórzany rzemieślniczy, zamykająca kłapka była przywiązana ciasno za pomocą plecionych rzemiennych pętelek.

Apacz pochylił się nad torbą i poczuł mieszaninę nieznanego mu zapachów. Rozpiął zapięcia i wyciągnął zawartość.

Znajdowała się tam koszula, z długimi rękawami, z szarej wełny, w naturalnym kolorze runa owczego. Następnie bardzo obszerna, krótka kurtka. Po dociekliwym zbadaniu jej palcami, Travis stwierdził, że jest zrobiona z filcu. Została pracowicie ozdobiona kolorowym

haftem, a wzór bez najmniejszej wątpliwości przedstawiał ziemskiego jelenia o rozłożystym porożu w śmiertelnej walce z innym zwierzęciem - mogła to być puma. Brzegi wykończono pięknym, dziwnie znajomym wzorem. Travis rozprostował kurtkę na kolanie i usiłował przypomnieć sobie, gdzie mógł widzieć już coś podobnego. .. W książce! Ilustracja w książce! Lecz w jakiej i kiedy? Na pewno dawno temu i nie był to wzór znany jego ludowi.

W środku kurtki znalazł szalik z materii podobnej do jedwabiu, jasnobłękimi - błękitem bezchmurnego ziemskiego nieba w niektóre dni, tak różnego od żółtej tarczy, która teraz wisiała nad nimi. Niewielką skórzaną kasetkę zdobił przymocowany do niej sylwetowy wzór wycięty ze skóry. Motywy były równie skomplikowane i bogate jak haft na kurtce - rzemiosło najwyższej próby. W kasetce znajdowały się miseczka, nóż i łyżka, zrobione z matowego metalu. Uchwyty z rogu ozdabiały końskie głowy z maleńkimi, otwartymi oczami z błyszczących kamyków.

Było to osobiste mienie, drogie właścicielowi, kiedy więc musiał pozostawić je ze względu na ucieczkę, ukrył swój skarb z nadzieją na późniejsze odzyskanie. Travis powoli spakował wszystko z powrotem, usiłując złożyć ubrania zgodnie z pierwotnymi zagięciami. Wciąż nurtowały go owe wzory.

- Czyje to? - Tsoay z widocznym podziwem dotknął jednym palcem brzegu kurtki.

- Nie wiem. Lecz pochodzi z naszego świata.

- To jeleni, chociaż ma rogi trochę nie takie, jak trzeba - zgodził się Tsoay. - A puma jest bardzo dobrze wykonana. Ten, kto to zrobił, dobrze zna się na zwierzętach,

Travis wepchnął kurtkę z powrotem i zamknął torbę. Nie schował jej jednak powtórnie w miejscu ukrycia, tylko włożył do swojego pakunku. Gdyby nie udało im się dogonić uciekiniera, chciał mieć możliwość bliższego zbadania, szansę przypomnienia sobie, gdzie widział taki wzór.

Wąska dolina, gdzie znaleźli ten niezwykley bagaż, wznosiła się w górę, i coraz trudniejsze stawało się ukrycie czegokolwiek. Drugi porzucony przedmiot znaleźli po prostu na drodze - była to znowu skórzana torba, którą Nalik'ideyu wywachała i zaczęła gorliwie lizać, wtykając nos do miękkiego wnętrza.

Travis podniósł sakwę, stwierdzając, że jest wilgotna i ma dziwny zapach, podobny do zapachu kwaśnego mleka. Przejechał palcem po wnętrzu. Palec po wyjęciu okazał się mokry, chociaż nie był to bukłak ani menażka. Całkowicie zbaraniał, kiedy wywrócił ją środkiem na zewnątrz. Mimo że wewnętrzna powierzchnia była wilgotna, nic tam nie znalazł. Podał torbę kojotowi, a Nalik'ideyu wzięła ją natychmiast.

Przytrzymała skórzany przedmiot przednimi łapami mocno przy ziemi i zaczęła go lizać, chociaż Travis nie widział tam żadnego osadu, który mógłby ją przyciągać. Stało się jasne, że w torbie znajdowało się przedtem jakieś jedzenie.

- Tutaj odpoczywali - powiedział Tsoay. - Nie odeszli daleko. Okolica, w jakiej się teraz znaleźli, pozwalała człowiekowi ukryć się, by mógł sprawdzić, kto za nim idzie. Travis zbadał teren, a następnie ułożył własny plan. Porzucą wyraźnie zaznaczony ślad uciekiniera, odbiją w górę zbocza na wschód i spróbują iść szlakiem równoległym, do tego, którym poruszał się tajemniczy jeździec. W labiryncie nagich skał i zdrewniałych zagajników...

Nalik'ideyu po raz ostatni polizała torbę, kiedy Travis dał jej sygnał. Spojrzała na niego, a potem odwróciła głowę, by zbadać teren przed nimi. Wreszcie pobiegła naprzód truchtem, jej szare futro stało się niewidoczne wśród roślin. Razem z Naginitą będzie tropić zwierzyne oraz mieć oko na otoczenie, dzięki czemu mężczyźni ruszą dłuższą drogą dookoła.

Travis ściągnął koszulę, zwinął ją i wsunął za pas, tak jak zawsze robili jego

przodkowie przed walką. Następnie ukrył pakunki, swój oraz Tsoaya. Kiedy zaczęli ciężką wspinaczkę pod górę, nieśli tylko łuki, zawieszane na ramionach kołczany oraz noże o długich ostrzach. Przemykali jak cienie, ich czerwono-brązowe ciała idealnie wtopiły się w tło, jak futra kojotów.

Travis ocenił, że do zachodu mają nie więcej niż godzinę. Pomyślał, że muszą zlokalizować obcego, zanim się ściemni. Czuł coraz więcej szacunku dla tropionego. Być może nieznajomego gnał strach, lecz zachowywał dobre tempo i inteligentnie kierował się zawsze w okolice, jaka sprzyjała mu najbardziej. Gdyby Travis mógł przypomnieć sobie, gdzie widział podobny haft! Ten wzór miał znaczenie, które mogło w tej chwili być istotne...

Tsoay wśliznął się za zdeformowane od uderzeń wiatru drzewo i zniknął. Travis zatrzymał się pod gałęziami krzaków. Obaj przedzierali się na południe, traktując wznoszący się przed nimi szczyt jako punkt orientacyjny i zatrzymując się co pewien czas dla zbadania, czy w okolicy są ślady człowieka i konia.

Travis wsunął się niczym waz w prześwit pomiędzy dwoma skalnymi filarami i położył się tam. Słońce parzyło jego nagie ramiona i plecy. Wsparł podbródek o przedramię. Za przepaskę, utrzymującą z tyłu jego włosy, włożył kilka maskujących wiechci szorstkiej górskiej trawy, których końce opadały na jego twarz o surowych rysach.

Zaledwie kilka sekund wcześniej poczuł niewyraźny sygnał ostrzegawczy od jednego z kojotów. To, czego szukali, znajdowało się bardzo blisko, tuż pod nimi. Oba kojoty przycisnęły się w zasadzce, oczekując na rozkazy. A to, co wytropiły, było im znajome, co stanowiło kolejne potwierdzenie, że uciekinier był Ziemianinem, a nie rdzennym mieszkańcem Topazu.

Travis przeszukiwał oczami miejsce wskazane przez kojoty. Jego respekt dla obcego wzrósł jeszcze bardziej. Z czasem on lub Tsoay zauważyliby może tę kryjówkę bez pomocy zwierzęcych zwiadowców, ale też mogli ją przeoczyć, ponieważ uciekinier faktycznie zapadł się pod ziemię, wykorzystując jakieś zagłębienie czy szczelinę w ścianie góry.

Nie widzieli żadnego śladu konia, lecz gdzieś tam gałęzie zostały przeciągnięte z jednego miejsca w drugie, pozostałości po ich odcięciu można było dostrzec, jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć. To dziwne. Travis zaczynał głowić się nad tym, co zobaczył. Wyglądało na to, że nieznajomy obawiał się pogoni, a spodziewał się jej nie z ziemi, lecz z góry, środki ostrożności bowiem, które przedsięwziął, miały ukryć jego ucieczkę przed kimś patrzącym ze stromego zbocza.

Czy przewidywał, że ścigający zaskoczy go ze zbocza, na którym leżeli teraz Apacze? Travis uszczyptał się zębami w ogorzałą skórę przedramienia. Czy to możliwe, że podczas wędrówki w świetle dnia uciekinier zobaczył, że ktoś podąża jego tropem i zawrócił? Nie było jednak żadnych śladów takiego kluczenia, a kojoty z pewnością by go ostrzegły. Ludzkie oczy i uszy udawało się czasem oszukać, lecz Travis ufał zmysłom Naginity i Nalik'ideyu o wiele bardziej niż swoim.

Nie, nie wierzył, że jeździec się ich spodziewał. Człowiek ten obawiał się kogoś lub czegoś, co mogło nadejść ze wzgórz. Ze wzgórz... Travis obrócił lekko głowę, by spojrzeć podejrzliwie na wyższe partie wzniesień.

Oni sami, wędrując przez góry oraz przechodząc przełęcz, nie natknęli się na nic, co by im zagrażało. Mogły włóczyć się taro niebezpieczne zwierzęta, było trochę śladów łap, przed jednym z takich tropów ostrzegły ich kojoty. Ale środki ostrożności przedsięwzięte przez nieznajomego dotyczyły inteligentnej, myślącej istoty, nie zwierząt, które mają zwyczaj tropić, kierując się raczej węchem niż wzrokiem.

A jeżeli obcy spodziewał się ataku z góry, Travis i Tsoay musieli być czujni. Travis

dokładnie przyglądał się z boku, zapamiętując obraz każdego kawałka ziemi, którą musieli przebyć. O ile poprzednio pragnął światła dnia jako sojusznika, teraz nie mógł doczekać się cienia zmierzchu.

Zamknął oczy i sprawdził, czy potrafi przypomnieć sobie szczegóły. Stwierdził, że przy sprzyjających warunkach może dotrzeć bezbłędnie do miejsca ukrycia. Następnie wycofał się ze swojego punktu obserwacyjnego i, podnosząc palce do ust, trzykrotnie wydał cichy, gniewny świergot, charakterystyczny dla jednego z gatunków zwierząt zamieszkujących wzgórze. Jak to wcześniej zauważyli, miały one wielkość dłoni mężczyzny i przypominały kulkę nastroszonych piór, chociaż w rzeczywistości mogły mieć jedwabiste, puchate futerko. Ich krótkie nóżki przebiegały teren z zadziwiającą szybkością. Były zuchwałe jak stworzenia, które nie mają zbyt wielu naturalnych wrogów.

Tsoay zamachał ręką do Trávisa, przywołując go do miejsca, gdzie usadowił się za wyblakłym konarem przewróconego drzewa.

- Ukrywa się - wyszeptał Tsoay.

Travis dodał do tego swoją własną obserwację.

- Obawia się czegoś, co może przyjść z góry.

- Ale chyba nie nas.

Tsoay doszedł więc do tego samego wniosku. Travis usiłował określić, ile czasu pozostało jeszcze do zmierzchu. Po zachodzie słońca na Topazie następowała pora, kiedy przyćmione światło tworzyło dziwaczne cienie. To będzie najlepszy czas na ruch z ich strony. Powiedział to, a Tsoay przytaknął gorliwie. Usiedli z plecami opartymi o gałąź, konar drzewa służył im jako osłona. Jednostajnym ruchem szczęk przeżuwali pozbawione smaku przydziałowe tabletki. Zaspokajały głód i dawały energię, ale żołądki mężczyzn nadal domagały się satysfakcji, jakiej mogło dostarczyć tylko świeże mięso.

Przespali się trochę, czuwając na zmianę. Ostatnie promienie topazańskiego słońca nadal świeciły na niebie, kiedy Travis stwierdził, że cienie stanowią wystarczającą osłonę. W żaden sposób nie mógł zorientować się, w co uzbrojony był nieznajomy. Chociaż jechał na koniu, mógł przecież mieć strzelbę i najnowocześniejszy ziemski rewolwer.

Łuki Apaczy niezbyt przydawały się do walki, ale mieli jeszcze noże. Travis chciał jednak pojmać uciekiniera, nie czyniąc mu przy tym krzywdy. Musi zdobyć jeszcze jakieś informacje. Gdy zaczynał schodzić na dół, nie wyciągnął więc nawet noża.

Kiedy dotarł do obszaru fioletowego cienia na dnie wąskiego wąwozu, oczy Naginity spojrzały na niego porozumiewawczo. Travis dał sygnał ręką i pomyślał, jaką rolę mogłyby odegrać kojoty w tym niespodziewanym ataku. Sylwetka o sterczących uszach zniknęła. Na wzgórzu dwukrotnie zabrzmiał świergot puszystego zwierzątka - Tsoay znajdował się na swojej pozycji.

Nagle zabrzmiało wycie... zawroźnienie... skowyt... Travis rozpoznał jedną z lamentujących pieśni mba a i popędził naprzód. Usłyszał rżenie konia, stukot, który mógł oznaczać stąpanie kopyt na żwirze. Zobaczył, że zarośla stanowiące schronienie obcego drżą, a część gałęzi opadła.

Travis biegł przed siebie, jego mokasyny bezgłośnie przemierzały teren. Jeden z kojotów odezwał się po raz drugi, niesamowite zawroźnienie przeszło w szczekanie, odbijające się echem od skał. Travis szykował się do skoku.

Reszta owych kunsztownie ułożonych gałęzi rozsunała się i ukazał się stający dęba koń; podniesiony łeb zarysował się wyraźnie na tle nieba. Niewyraźna postać jeźdźca kiwała się do przodu i do tyłu - usiłował opanować wierzchowca. Obcy miał obie ręce zajęte, z pewnością nie

mógł wyciągnąć broni. O to chodziło!

Travis skoczył. Jego ręce znalazły swój cel, ramiona obcego. Ten wydał piskliwy krzyk, usiłując obrócić się w uścisku Apacza, by zobaczyć napastnika. Ale Travis przyłgnął do niego mocno, staczając się niemal pod nogi konia. Ciało nieznanego, przygniecione ciężarem Apacza, zostało unieruchomione żelaznym uściskiem, obejmującym pierś i ramiona.

Travis czuł, że przeciwnik wiotczeje. Był jednak podejrzliwy; nie zwalniał chwytu, bo ciężki oddech nieznanego wskazywał, że człowiek nie stracił przytomności, choć przestał się szarpać. Apacz słyszał, jak Tsoay uspokaja konia łagodnymi słowami.

Obcy nadal nie podejmował walki. Travis pomyślał z rozbawieniem, że nie mogą leżeć tak przez całą noc. Rozluźnił chwyt. Reakcja nieznanego była błyskawiczna. Travis spodziewał się tego. Miał do pomocy inne ręce, które ścisnęły szczupłe, niemal delikatne pięści.

- Rzuć mi sznur! - krzyknął do Tsoaya.

Młodszy mężczyzna podbiegł z zapasową cięciwą od łuku. Po chwili walczący jeniec został związany. Travis obrócił zdobycz, łapiąc za włosy, by przyciągnąć głowę w plamę jasnego światła.

W jego uścisku włosy rozsypały się jak rozpleciony warkocz. Apacz burknął coś, kiedy spojrzał w dół na twarz obcego. Smugi kurzu były poprzecinane teraz śladami łez, lecz wpatrzone w niego wściekłe szare oczy mówiły, że jeniec płakał raczej z gniewu niż ze strachu.

Obcy mógł sobie nosić długie spodnie wcisnięte w wywinęte pełne buty i luźną bluzę, ale niewątpliwie był kobietą, do tego bardzo młodą i atrakcyjną. W tej chwili także okropnie rozgniewaną. A za tym gniewem krył się lęk kogoś, kto walczy beznadziejnie z przeszkodą nie do pokonania. Jednak, kiedy ujrzała Travisa, wyraz jej twarzy się zmienił.

Zdała sobie sprawę, że spodziewała się kogoś zupełnie innego i jest zdumiona jego widokiem. Dotknęła językiem warg, zwilżając je. Teraz, w obliczu całkiem nowego i być może niebezpiecznego zjawiska, jej trwoga przemieniła się w nieufną obawę.

- Kim jesteś? - zapytał Travis po angielsku, ponieważ nie miał wątpliwości, że jest Ziemianką.

Teraz ona wciągnęła powietrze z wyrazem absolutnego zdumienia.

- A kim ty jesteś? - powtórzyła jego pytanie z wyraźnym obcym akcentem. Zrozumiał, że angielski nie był jej mową ojczystą.

Travis wyciągnął ręce i znów zamknął je na jej ramionach. Zaczęła się wykręcać, lecz pojęła, że podciągają tylko do pozycji siedzącej. Strach w jej oczach zelżał, w to miejsce pojawiło się żywe zainteresowanie.

- Nie jesteście Synami Niebieskiego Wilka - stwierdziła, niemilośnie kalecząc język. Travis uśmiechnął się.

- Jestem Fox, lis, nie wilk - odparł. - Ale kojot jest moim bratem. Strzelił palcami w kierunku cieni i dwoje zwierząt ukazało się bezszelestnie. Dziewczyna spojrzała na Naginitę i Nalik'ideyu i odgadła, co łączy tego, kto ją schwytał, z tymi istotami.

- Ta kobieta pochodzi również z naszego świata - powiedział Tsoay w języku Apaczów, spoglądając na jeńca z wyraźnym zainteresowaniem. - Tylko nie należy do Ludu.

Synowie Niebieskiego Wilka? Travis pomyślał znów o wzorach haftowanych na kurtce. Kto nazywał się tym malowniczym imieniem - gdzie i kiedy?

- Czego się obawiasz. Córko Niebieskiego Wilka? - zapytał. Zadając to pytanie, nacisnął, jak się zdaje, guzik wyzwalający, strach. Podniosła głowę, żeby dojrzeć ciemniejące niebo.

- Lataczy! - powiedziała cichutko, jakby słowo głośniejsze niż szept miało dojść do gwiazd, które właśnie zaczynały nad nimi rozbłyskiwać. - Przyjdą... po śladach. Nie zdążyłam dojść na czas do wewnętrznych gór.

W jej głosie Travis wyłowił nutę rozpacz. Stwierdził, że także spogląda w niebo, nie wiedząc, czego szuka, ani jakiego rodzaju jest to zagrożenie, czując jedynie, że jest to prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Nadchodzi noc - powiedział Tsoay powoli po angielsku. - Czy ci, których się obawiasz, polują w ciemności?

Potrząsnęła głową, by odgarnąć z czoła pukiel włosów z warkocza, który rozplótł się podczas walki z Travisem.

- Nie muszą mieć oczu ani takiego węchu, jak ci wasi czworonożni myśliwi. Mają maszynę śledzącą.

- To po co był ten stos gałęzi?

Travis wskazał podbródkiem zniszczoną kryjówkę.

- Nie zawsze używają maszyny, można więc mieć nadzieję. Ale w nocy mogą przybyć po jej promieniu. Nie jesteśmy dostatecznie głęboko pomiędzy wzgórzami, by ich zgubić. Bahatur okulał, nie mogłam jechać szybciej...

- A co takiego leży w tych górach, że ci, których się obawiasz, nie wedrą się tam? - pytał dalej Travis.

- Nie wiem, ale jeśli ktoś zdoła wejść wystarczająco głęboko do środka, temu pogoń nie grozi.

- Pytam jeszcze raz: kim jesteś?

Apacz pochylił się do przodu, a jego twarz w szybko gasnącym świetle znalazła się tylko kilka cali od niej. Nie speszyło jej to wnikliwe badanie, spojrzała mu prosto w oczy. Była to kobieta dumna i niezależna, prawdziwa córka wodza, stwierdził Travis.

- Pochodzę z Ludu Niebieskiego Wilka. Zostaliśmy sprowadzeni gwiezdными szlakami, by ten świat był bezpieczny od... od... - Zawahała się i na jej twarzy pojawił się cień.

- Może to tylko sen... Nie, sen i rzeczywistość. Jestem Kaydessa ze Złotej Ordy, ale czasami przypominają mi się inne rzeczy - takie jak ów dziwny język, którym teraz przemawiam.

- Złota Orda! - Travis już wiedział. Haft, Synowie Niebieskiego Wilka, wszystko pasowało do szczególnego wzoru. Co to był za wzór! Sztuka scytyjska, ornament, jaki z taką dumą nosili wojownicy Czyngis-chana. Tatarzy, Mongołowie - barbarzyńcy. Porzucili stopy, by zmienić bieg historii, nie tylko w Azji, lecz także na równinach środkowej Europy. Podwładni potężnych chanów, podążający za sztandarami Czyngis-chana, Kubilaja i Tameriana!

- Złota Orda - powtórzył Travis raz jeszcze. - To dawna historia innego świata. Córko Wilka.

Wpatrywała się w niego z dziwnym, zagubionym wyrazem na ubrudzonej kurzem twarzy.

- Wiem. - Jej głos był tak cichy, że z trudnością mógł rozróżnić słowa. - Moi ludzie żyją w dwóch czasach, a wielu nie zdaje sobie z tego sprawy.

Tsoay przykucnął obok nich i przysłuchiwał się. Teraz wyciągnął rękę i dotknął ramienia Trávisa.

- Redax?

- Albo coś podobnego. - Jednego Travis był pewien. Dla potrzeb projektu szkolono trzy zespoły, które miały kolonizować kosmos - jeden złożony z Eskimosów, drugi z wyspiarzy Pacyfiku, a trzeci z jego Apaczy. Nie było powodów ani możliwości włączenia w ten plan Mongołów z dzikiej przeszłości wojowniczej Ordy. Na Ziemi istniało tylko jedno państwo, które mogło wybrać tego rodzaju kolonistów.

- Jesteś Rosjanką. - Przyglądał się jej bacznie, chcąc sprawdzić, jaki wrażenie wywarły na niej jego słowa.

Ale ona nadal miała ten zagubiony wyraz twarzy.

- Rosjanką... Rosjanką... - powtórzyła, jakby same słowa były dziwne.

Travis zdenerwował się. Jakaś znajdująca się tu rosyjska kolonia mogła rzeczywiście zatrudniać techników z maszynami, które potrafiły ścigać uciekinierów. Jeżeli wzniesienia gór stanowiły ochronę przed tym polowaniem, miał zamiar do nich dotrzeć, choćby piechotą. Powiedział to Tsoayowi, a on zgodził się żarliwie.

- Koń okulał, nie może iść dalej - oznajmił.

Travis wahał się przez dłuższą chwilę. Od czasów, kiedy ukradli pierwsze wierzchowce hiszpańskim najeźdźcom, konie zawsze były niezmiernie cenne dla jego ludu. Nie godziło się pozostawiać zwierzęcia, które mogłoby służyć klanowi. Lecz obawiali się straty czasu związanej z okulałym wierzchowcem.

- Pozostaw go tu, na wolności - polecił.

- A kobieta?

- Idzie z nami. Musimy jak najwięcej dowiedzieć się o tych ludziach i o tym, co tutaj robią. Posłuchaj, Córko Wilka - Travis znowu pochylił się nad nią, aby upewnić się, że dziewczyna go słucha. - Pójdiesz z nami w góry i nie będziesz przysparzać nam kłopotów. - Wyciągnął nóż i dla ostrzeżenia machnął ostrzem przed jej oczami.

- Miałam już wcześniej zamiar iść w góry - powiedziała do niego zgodnie. - Rozwiąż mi ręce, dzielny wojowniku, z pewnością nie musisz obawiać się niczego ze strony kobiety.

Przejechał rękami po jej ciele i z pasa pod luźnym zewnętrznym odzieniem wyciągnął nóż, tak długi i ostry, jak swój.

- Teraz już nie, Córko Wilka, skoro pozbawiłem cię pazurów. Pomógł jej wstać, po czym przeciął sznur krępujący ręce dziewczyny za pomocą jej noża, który następnie przymocował do własnego pasa. Zawołał kojoty i wysłał je naprzód, za nimi ruszyła cała trójka, mongolska dziewczyna szła pomiędzy dwoma Apaczami. Pozostawiony koń zarżał smętnie, a potem zaczął zjadać kępy trawy, poruszając się wolno z powodu kulawej nogi.

Po pewnym czasie na niebie pokazały się dwa księżycy, a ich promienie walczyły z cieniami nocy. Travis czuł się dość pewnie, nie obawiał się ataku z ziemi; polegał na kojotach, które ostrzegą ich w razie potrzeby. Ale narzucił całej grupie równe tempo. I nie wypytywał więcej dziewczyny, dopóki wszyscy troje nie usiedli w kucki przy niewielkim górskim strumieniu, by skropić twarze lodowatą wodą i napić się jej, nabierając dłońmi.

- Czemu uciekasz przed swoimi własnymi ludźmi, Córko Wilka?

- Mam na imię Kaydessa - poprawiła go. Wybuchnął śmiechem, słysząc sztuczny ton jej głosu.

- Oto Tsoay z rodu Apaczów, a ja jestem Fox. - Podał jej angielskie brzmienie nazwy swojego plemienia.

- Apacze. - Próbowała powtórzyć słowo z tym samym akcentem, z jakim wymawiał je Travis. - Kim są Apacze?

- Indianami - wyjaśnił. - Amerykańskimi Indianami. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Kaydesso. Dlaczego uciekasz przed swoimi pobratymcami?

- Nie przed moimi pobratymcami - odrzekła, potrząsając stanowczo głową. - Przed tymi innymi. To tak jakby... - Och Jak ci to powiedzieć, żebyś zrozumiał właściwie?

Rozpostarła przed sobą w świetle księżycy wilgotne ręce, mokre miejsca na rękawach przylepiały się do jej ramion.

- Jest tutaj mój lud. Złota Orda, chociaż kiedyś byliśmy inni i pamiętamy trochę z tego poprzedniego życia. Poza tym są tu ludzie żyjący na statku międzygwiazdowym i wykorzystują maszynę, dzięki której myślimy tylko to, co oni chcą, żebyśmy myśleli. Ale dlaczego - spojrzła uważnie na Trávisa - mówię wam to wszystko? To dziwne. Powiedziałeś, że jesteście amerykańskimi Indianami - czy nie jesteście więc wrogami? Jakaś część pamięci mówi mi, że byliśmy...

- Powiedzmy raczej - poprawił ją - że Apacze oraz Orda nie są wrogami tu i teraz, bez względu na to, co było wcześniej. - Travis wiedział, że to prawda. Podobno jego lud przybył z Azji podczas ginących w mrokach dziejów początków migracji ludów. Mimo ciemnorudych włosów i szarych oczu ta dziewczyna, która została bez swojej woli cofnięta w przeszłość, podobnie jak z nimi uczynił to redax, mogła być równie dobrze daleką krewną jego klanu.

- Ty - palce Kaydessy spoczęły przez chwilę na przegubie jego dłoni. - Ty także zostałeś przysłany tutaj międzygwiazdowym szlakiem. Prawda?

- Owszem.

- Czy są tutaj ci, którzy teraz tobą rządzą?

- Nie. Jesteśmy wolni.

- W jaki sposób się uwolniliście? - zapytała zapalczywie. Travis zawahał się. Nie chciał opowiadać o rozbitym statku, o tym, że jego ludzie nie mają żadnej obrony przed kolonią kontrolowaną przez Rosjan.

- Poszliśmy w góry - odrzekł wymijająco.

- Czy maszyna rządząca wami zepsuła się? - zaśmiała się Kaydessa. - Ach, ci ludzie od maszyn są tacy wielcy. Ale kiedy maszyny przestają ich słuchać, stają się mniejsi i słabsi.

- Czy tak jest w twoim obozie? - delikatnie podpytywał Travis. Nie był pewien, co ma na myśli, lecz nie śmiał zadawać bardziej szczegółowych pytań, obawiając się, że zdradzi niebezpiecznie swoją niewiedzę.

- W jakiś sposób kierują maszyną - może ona oddziaływać tylko na tych, którzy znajdują się w pewnej odległości od niej. Odkryli to w okresie pierwszego lądowania, kiedy myśliwi wyruszyli swobodnie na łowy i wielu z nich nie powróciło. Po tym wydarzeniu, kiedy wysyłano myśliwych, by rozpoznawali teren, wyruszyli wraz z nimi na lataczu z tą maszyną, żeby uniknąć dalszych ucieczek. Ale my wiedzieliśmy! - Palce Kaydessy zwinęły się w niewielkie pięściki. - Tak, wiedzieliśmy, że jeśli uda nam się wydostać poza zasięg maszyny, czeka na nas wolność. I planowaliśmy to, wielu z nas miało taki zamiar. Nagle, przed dziesięcioma czy pięćdziesięcioma snami, tamci stali się strasznie podnieceni. Zebrali się na statku, oglądając maszyny. Coś się stało. Na chwilę wszystkie maszyny przestały działać. Jagatai, Kuchar, mój brat Hulagur, Menlik... - liczyła imiona na palcach - ukradli stado koni i uciekli...

- A ty?

- Ja także miałam jechać. Ale była jeszcze Aijar, moja siostra, żona Kuchara. Zbliżał się jej termin i jazda w tym stanie, ucieczka i pośpiech mogłyby zabić i ją, i dziecko. Nie pojechałam więc. Tej samej nocy urodził się jej syn, lecz tamtym udało się znów uruchomić maszynę. Mogliśmy tęsknić za odejściem tu - przyłożyła pięść do piersi, a następnie podniosła ją do głowy - lecz tutaj było to, co trzymało nas w obozie i poddawało ich woli. Wiedzieliśmy tylko, że jeśli uda nam się dotrzeć do gór, możemy odnaleźć swój lud, który odzyskał już wolność.

- Jednak znalazłaś się tutaj. Jak zdołałaś uciec? - chciał dowiedzieć się Tsoay.

- Wiedzieli, że uciekłabym, gdyby nie Aijar. Powiedzieli więc, że zabiorą ją ze sobą, chyba że będę przewodnikiem, który poprowadzi do mojego brata i innych. Wiedziałam, że

muszę podjąć wyzwanie i polować razem z nimi. Ale modliłam się, by duchy wyższego powietrza spojrzwały na mnie łaskawie i one mi pomogły... - Jej oczy miały wyraz zdziwienia. - Bo kiedy wyjechaliśmy na równiny, daleko od osady, polny diabeł zaatakował przywódcę oddziału, ten upuścił kontrolera umysłów, który zepsuł się wskutek upadku. Wtedy uciekłam. Niebieskie Niebo nad Głową wie, jak doskonale jeździę konno. A tamci inni nie potrafią obchodzić się z końmi tak jak ludzie Wilka.

- Kiedy to się wydarzyło?

- Przed trzema słońcami.

Travis policzył po cichu. Podana przez nią data awarii maszyny w rosyjskim obozie wydawała się zbiegać z katastrofalnym lądowaniem amerykańskiego statku. Czy pomiędzy tymi wydarzeniami istniał jakiś związek? Bardzo możliwe. Zbliżający się do planety statek mógł stoczyć coś w rodzaju pojedynku z tamtą kolonią, zanim spadł na ziemię po drugiej stronie górskiego łańcucha.

- Czy wiesz, w którym miejscu tych gór ukryli się twoi ludzie? Kaydessa potrząsnęła głową.

- Wiem tylko, że muszę kierować się na północ, a kiedy dotrę do najwyższego szczytu, mam rozpaść sygnalizacyjne ognisko na północnym zboczu. Ale teraz nie mogę tego zrobić, gdyż tamci w lataczu mogą to zobaczyć. Wiem, że są na moim tropie, bo widziałam ich dwukrotnie. Posłuchaj, Fox, proszę cię o to, bo jesteś do nas podobny, jesteś wojownikiem i dzielnym człowiekiem, któremu wierzę. Może być tak, że ich maszyna nie będzie mogła tobą rządzić, ponieważ ty nie byłeś pod wpływem ich czarów i jesteś innej krwi. Dlatego też, jeśli zbliżą się na tyle, że będą mogli wysłać wezwanie, którego musiałabym posłuchać, jakbym była niewolnikiem ciągniętym na końskim sznurze, zwiąż, proszę, moje ręce i nogi, i trzymaj mnie, bez względu na to, jak bardzo będę walczyć, by podążyć za tym rozkazem. Tak naprawdę wcale nie chcę iść. Czy przysięgniesz na ogień, który przepędza demony?

- My nie przysięgamy na ogień. Córko Niebieskiego Wilka, lecz na Drogę Błyskawicy.

- Poruszył palcami, jakby chciał objąć nimi kawałek zwęglonego drewna, noszony niegdyś przez jego lud jako amulet. - Przysięgam na nią!

Popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem kiwnęła głową z zadowoleniem.

Odeszli od zbiornika wody i ruszyli w kierunku górskich zboczy, zawracając do przełęczy. Niskie warczenie, które doszło ich w ciemności, sprawiło, że zatrzymali się natychmiast. Ostrzeżenie Naginity było bardzo stanowcze, przed nimi znajdowało się niebezpieczeństwo, poważne niebezpieczeństwo.

Błada poświata dwóch księżyców tworzyła na rozciągającym się przed nimi terenie dziwny wzór światła i cienia. Mogło się tu czaić wszystko, od czworonożnego myśliwego do uzbrojonego oddziału inteligentnych istot.

Jakiś cień przemknął wśród innych cieni. Nalik'ideyu oparła się o nogi Trávisa. W ten sposób chciała zwrócić jego uwagę na coś po lewej stronie, być może sto jardów przed nimi. Znajdowała się tam plama ciemności, wystarczająco duża, by skryć naprawdę ogromnego przeciwnika, a bezgłośny przekaz pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem powiedział Travisowi, że taki właśnie nieprzyjaciel czaił się przed nimi.

Cokolwiek znajdowało się w zasadzce, stawało się coraz bardziej niecierpliwe, ponieważ zdobycz, na którą liczyło, przestała się przybliżać - zasygnalizowały kojoty.

- Z twojej lewej strony, za tą wystającą skałą, w wielkim cieniu.

- Widzisz coś? - zapytał Tsoay.

- Nie. Ale mba 'a widzą.

Mężczyźni przygotowali łuki, umieścili na miejscu strzały. Niestety, przy takim świetle ich broń była praktycznie bezużyteczna, chyba że wróg przesunąłby się w smugę księżycowego światła.

- Co to jest? - zapytała Kaydessa półgłosem.

- Coś czeka na nas z przodu.

Zanim zdołał ją powstrzymać, przyłożyła palce do ust i wydała świergotliwy gwizd.

W odpowiedzi coś poruszyło się w cieniu.

Travis wystrzelił w tym kierunku, a za nim natychmiast posłał strzałę Tsoay. Usłyszeli krzyk, wznoszący się gardłowy dźwięk. Travis wzdrygnął się. Nie z powodu krzyku, lecz tego, co się za nim kryło - czy mógł to być krzyk człowieka?

W płamę światła wskoczyła czworonożna istota o srebrzystym ciele, bardzo duża. Najgorsze było to, że chociaż bezpośrednio po upadku czołgała się na czterech łapach, teraz podniosła się na tylnych kończynach, uderzając wściekle jedną łapą w dwie strzały, które zanurzyły się grotami w wyższej części ramienia. Człowiek? Nie! Lecz coś wystarczająco podobnego do człowieka, by zmrozić trójkę na dole.

Kluczący czworonożny myśliwy rzucił się, szarpnął zębami nogi stworzenia. Zaatakowało, chcąc wymierzyć cios przednią łapą, lecz kojota już nie było. Naginita i Nalik'ideyu razem szarpali istotę, tak samo, jak przedtem walczyły z dwurożcem, dając myśliwym czas na ponowne złożenie się do strzału. Travis, chociaż znowu odczuł powiew grozy i wstrętu, którego nie mógł wyjaśnić, wystrzelił raz jeszcze.

Apacze musieli posłać tuzin strzał w zawodzącą bestię, zanim upadła na kolana i Naginita skoczył jej do gardła. Nagle kojot zaskowyczał i wzdrygnął się; na głowie miał krwawiącą ranę wyszarpaną pazurami przez zdychającego potwora. Kiedy stworzenie przestało się poruszać, Travis podszedł, by przyjrzeć się bliżej temu, co pokonali. Ten zapach...

Tak jak haft na kurtce Kaydessa obudził wspomnienia z ziemskiej przeszłości, ten odór także coś mu przypominał. Gdzie i kiedy poczuł go wcześniej? Travis kojarzył to z ciemnością i niebezpieczeństwem. Nagle z jego ust wyrwał się zduszony okrzyk.

Nie na tym świecie, lecz na dwóch innych światach upadłego gwiazdowego imperium, gdzie przebywał jako przymusowy odkrywca dwa planetarne lata wcześniej!

Bestie te żyły w ciemnościach odległej planety, na której wylądowali Ziemianie wędrujący po opuszczonych galaktykach. Tak, natury tych istot nie zdołali poznać do końca. Czy były to zdegenerowane formy jakiegoś niegdyś inteligentnego gatunku? Czy też to zwierzęta, wprawdzie przypominające ludzi, lecz jednak tylko zwierzęta?

Owe niby - małpy panowały w mrokach pustynnego świata. Ponownie natknięto się na nie - również w ciemności - w ruinach miasta, będącego ostatecznym celem sterowanej przez taśmę podróży statku. Stanowiły zatem część zaginionej cywilizacji. Niepewne domysły Trávisa dotyczące Topazu okazały się więc słuszne. Nie był to pusty świat, poza przybyłymi z dalekiego kosmosu ludźmi ktoś jeszcze go zamieszkiwał. Ta planeta miała swój cel i przeznaczenie, w innym przypadku nie spotkaliby tutaj owej bestii.

- Diabeł. - Twarz Kaydessa wykrzywiła się w grymasie wstrętu.

- Znasz to stworzenie? - zapytał Tsoay Trávisa. - Co to jest?

- Nie znam go, lecz jest ono pozostałością po czasach gwiazdnych ludzi. Widziałem takie na dwóch innych spośród ich światów.

- Czyżby to był człowiek? - Tsoay krytycznie badał martwe ciało. - Nie nosi ubrań, nie ma broni, ale chodzi wyprostowany. Wygląda jak małpa, bardzo duża małpa. Myślę, że to nie wróży nic dobrego.

- Jeśli, tak jak gdzie indziej, chodzi w stadzie, nie jest dobrze.

Travis przypomniał sobie, jak owe stworzenia atakowały gromadami na innych światach i rozejrzał się wokół z niepokojem. Nawet z kojotami na straży nie mogliby sprostać takiemu stadu, gdyby otoczyło ich w ciemnościach. Lepiej skryć się w jakimś dogodnym dla obrony miejscu i przeczekać pozostałą część nocy.

Naginita zaprowadził ich pod nawis skalny, gdzie mogli oprzeć plecy o twarde kamień, z twarzami skierowanymi ku przestrzeni, która, na wypadek potrzeby, znajdowała się w zasięgu ich strzał. A kojoty, leżące przed nimi z nosami opartymi na łapach, zaalarmują ich na długo przedtem, zanim wróg się zbliży.

Oparli się o skałę, tworząc zwartą gromadkę z Kaydessa pośrodku. Najpierw reagowali nerwowo na każdy dochodzący z mroku nocy dźwięk. Serca biły im mocniej na chrzęst żwiru i najmniejszy szelest od strony krzaków. Powoli zaczęli się odprężać.

- Dwie osoby powinny spać, a jedna czuwać - zauważył Travis. - Przed rankiem musimy wyruszyć, wydostać się z tej krainy.

Apacze czuwali więc na zmianę, a tatarska dziewczyna najpierw protestowała przeciw temu podziałowi ról, lecz potem zapadła, wyczerpana, w sen. Oddychała ciężko.

Podczas warty o świcie Travis zaczął snuć domysły na temat niby-małpy, którą zabili. Poprzednie dwa spotkania z tym stworzeniem miały miejsce w ruinach dawnego imperium. Czy gdzieś tutaj także były ruiny? Chciał się co do tego upewnić. Istniał też problem tatarsko-mongolskiej osady, kontrolowanej przez Czerwonych. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli Czerwoni podejrzewaliby istnienie obozu Apaczy, zrobiliby wszystko, by wytropić i zabić lub uwięzić rozbitków z amerykańskiego statku. Trzeba ostrzec mieszkańców rancza tak szybko, jak tylko zdołają tam powrócić.

Dziewczyna obok niego poruszyła się i podniosła głowę. Travis spojrzął na nią i zaczął przyglądać się jej z uwagą. Patrzyła prosto przed siebie, oczy miała nieruchome, jakby była w transie. Następnie odsunęła się od górskiej ściany, przymierzając się do opuszczenia kryjówki.

- Co...? - Obudził się Tsoay. Ale Travis już przeszedł do działania. Poderwał się i pośpiesznie stanął obok niej, ramię przy ramieniu.

Nie odpowiedziała, wydawało się, że nawet nie słyszy jego głosu. Złapał ją za ramię, lecz ona parła do przodu, usiłując się wyzwolić. Kiedy wzmocił uścisk, nie walczyła z nim tak aktywnie, jak to było podczas ich pierwszego spotkania, a ciągnęła tylko i wykręcała się, jakby coś zmuszało ją do pójścia naprzód.

Przymus! Przypomniał sobie jej prośbę, wyrażoną poprzedniego wieczoru. Chciała, aby pomógł jej przeciwstawić się ponownemu porwaniu przez maszynę. Chwycił ją i wykręcił ręce na plecy. Pochylała się, przytrzymywana jego uściskiem, usiłowała wstać, nie zwracając na niego uwagi. Traktowała go jak przeszkodę, nie pozwalającą jej odpowiedzieć na wołanie, którego on nie mógł usłyszeć.

- Co się stało? - Tsoay zrobił szybki krok do przodu, stanął nad wrywającą się dziewczyną. Przejawiała teraz tak dużą siłę, że Travis musiał mocno się natężyć, by nad nią zapanować.

- Chyba ta maszyna, o której mówiła, ma jaw swojej mocy. Przyciąga ją z ukrycia, tak jak się ciągnie ciele na sznurze.

Oba kojoty podniosły się i z zainteresowaniem przyglądały się walce. Nie padało z ich strony żadne ostrzeżenie. Cokolwiek wywoływało u ludu Kaydessy tak bezmyślną i bezwonną reakcję, nie dotyczyło to zwierząt. Nie odczuwał nic także żaden z Apaczów. Możliwe więc, że jedynie lud Kaydessy był na to podatny, tak jak sądziła. W jakiej odległości znajdowała się maszyna? Niezbyt blisko, gdyż w przeciwnym wypadku kojoty wytropiłyby człowieka lub ludzi ją obsługujących.

- Nie możemy jej stąd zabrać inaczej - Tsoay postawił problem otwarcie - niż wiążąc i niosąc. Ona jest jedną z tamtych. Dlaczego nie mielibyśmy pozwolić jej iść do nich? Chyba że obawiasz się, że coś powie. - Jego ręka powędrowała w kierunku tkwiącego za pasem noża i Travis wiedział, jakiego rodzaju prymitywny impuls kierował młodszym mężczyzną.

W dawnych czasach jeniec, który mógł przysporzyć kłopotów, był definitywnie likwidowany. To wspomnienie obudziło się teraz w umyśle Tsoaya. Travis potrząsnął głową.

- Powiedziała, że wśród tych wzgórz są inni jej współplemieńcy. Nie wolno nam doprowadzić do tego, by ściagały nas dwie wilcze gromady - powiedział Travis, podając bardziej praktyczny powód, dla którego należało przewyciężyć dziki instynkt samozachowawczy. - Ale masz rację, ponieważ próbowała odpowiedzieć na to wezwanie, nie możemy zmusić jej, by poszła z nami. Dlatego ty wyruszysz z powrotem. Powiedz Buckowi, co odkryliśmy, i niech przedsięwzięmie odpowiednie środki ostrożności wobec tych mongolskich banitów lub wyprawy Czerwonych za góry.

- A ty?

- Zostanę. Muszę znaleźć miejsce, w którym ukrywają się banici, i dowiedzieć się wszystkiego, co można, o tej osadzie. Mamy chyba powody, by potrzebować przyjaciół.

- Przyjaciół! - zachnął się Tsoay. - Lud nie potrzebuje żadnych przyjaciół! Skoro zostaliśmy ostrzeżeni, potrafimy utrzymać nasz kraj!

- Łuki i strzały przeciwko strzelbom i maszynom? - zapytał Travis kąśliwie. - W przyszłości musimy dowiedzieć się czegoś więcej, zanim zaczniemy wygłaszać wojownicze przechwałki. Opowiedz Buckowi o naszych odkryciach. Powiedz także, iż przyjdę - Travis policzył - zanim minie dziesięć słońc. Jeśli nie wrócę, nie przysyłajcie oddziału na poszukiwania. Klan jest zbyt mały, by ryzykować życie większej liczby ludzi z powodu jednostki.

- A jeśli Czerwoni cię schwytają?

Travis skrzywił się z niesmakiem.

- Niczego się nie dowiedzą! Czy ich maszyny potrafią wydobyć myśli z martwego człowieka? - Nie miał zamiaru doprowadzić do tego, aby jego życie skończyło się tak gwałtownie. Nie będzie także łatwym łupem dla jakiegoś oddziału Czerwonych tropicieli.

Tsoay wziął część racji żywnościowych i nie zgodził się na towarzystwo kojotów. Travis stwierdził, że pomimo pozornej swobody w obcowaniu ze zwierzętami, młodszy zwiadowca miał dla nich niewiele więcej sympatii niż Deklay oraz inni na ranczo. Tsoay od-

szedł o świcie, kierując się w stronę przełęczy.

Travis usiadł obok Kaydessy. Przywiązali ją do małego drzewa, a ona szarpała się bez przerwy, aby się uwolnić. Wciąż zwracała głowę pod ostrym kątem, aż do bólu, chcąc zwrócić się za wszelką cenę w kierunku, w którym ją ciągnęło. Zakłęcie trzymające ją w swojej mocy nie przestawało oddziaływać ani na chwilę. Wkrótce jednak walka wyczerpała ją całkowicie. Wówczas wymierzył celny cios.

Dziewczyna zwisała bezwładnie. Rozwiązał ją. Teraz wszystko zależało od zasięgu promieni czy też pola emisji tej diabelskiej maszyny. Na podstawie zachowania kojotów przypuszczał, że ludzie stosujący maszynę nie podjęli żadnej próby podejścia bliżej. Mogli nawet nie wiedzieć, gdzie znajduje się ścigana, tylko po prostu siedzieli na pogórzach i czekali, aż bezradny jeniec przybędzie na zew maszyny.

Travis pomyślał, że gdyby przeniósł Kaydessę dalej od tego punktu, prędzej czy później znaleźliby się poza zasięgiem i dziewczyna przebudziłaby się z otępienia, znów wolna. Chociaż nie była lekka, mógł ponieść ją przez jakiś czas. Obciążony w ten sposób Travis wyruszył, a kojoty poszły przodem na zwiady.

Szybko odkrył, że postawił sobie nader ambitne zadanie. Droga była ciężka, a niesienie dziewczyny sprawiało, że poruszał się w ślimaczym tempie. Lecz dało mu to czas na obmyślenie dokładnego planu działania.

Jak długo Czerwoni mieli przewagę sił po tej stronie gór, ranczo Indian było w niebezpieczeństwie. Łuki i noże nie stanowiły konkurencji dla nowoczesnego uzbrojenia. A pozostało jedynie kwestią czasu, kiedy badania po przeciwnej stronie północnej osady - lub jakaś pogoń za tatarskimi uciekinierami - sprowadzą wroga na drugą stronę przełęczy.

Apacze mogli przemieścić się dalej na południe, w głąb nieznanego kontynentu poniżej rozbitego statku, w ten sposób odwołując moment, w którym zostaną odkryci. Lecz takie posunięcie jedynie odłożyłoby na później nieuniknioną, ostateczną rozgrywkę. Czy Travis mógł sprawić, że jego klan uwierzy w to wszystko, było także kwestią nie do końca pewną.

Z drugiej strony, gdyby tak spotkać się z szefami Czerwonych... Myśli Trayisa zatrzymały się na tej bardzo pociągającej koncepcji. Roztrząsał ją, tak jak Naginita znęcał się nad zdobyczą, pożerając bardziej delikatne części. Rozum i mądrość dostarczały argumentów przeciwko takiemu spotkaniu, którego sukces należałoby umieścić pomiędzy nieprawdopodobieństwem a niemożliwością, a jednak ta idea go pociągała.

Przewieszona przez jego ramię Kaydessa poruszyła się i zajęczała. Apacz podwoił wysiłki, by dotrzeć do widocznej w pewnej odległości przed nim odsłoniętej skały, z której wiatry uformowały wysoką rzeźbę. Pod nią znalazłby osłonę i nie dostrzeżono by ich z dołu. Dysząc dotarł do celu, położył dziewczynę w zacisznym zagłębieniu i czekał.

Jęknęła znów i podniosła rękę do głowy. Oczy miała na wpół otwarte i nadal nie mógł być pewien, czy spogląda na niego i otoczenie przytomnie, czy też nie.

- Kaydesso!

Podniosła ciężkie powieki i nie miał wątpliwości, że dostrzeża go. Jej spojrzenie mówiło jednak, że nie poznaje swojego sojusznika, było w nim tylko zaskoczenie i lęk - ten sam wyraz, jaki miało podczas ich pierwszego spotkania u podnóża gór.

- Córko Wilka - powiedział powoli. - Przypomnij sobie! - Travis wypowiedział to rozkazująco, chcąc przedrzeć się z wyrazistym apelem do jej umysłu, pozostającego pod wpływem przywołującej maszyny.

Zmarszczyła się, walka, jaką odbywała sama ze sobą, była wyraźnie widoczna na jej twarzy. Po czym odrzekła:

- Ty, Fox...

Travis odetchnął z ulgą, jego napięcie nieco opadło. A więc potrafiła sobie przypomnieć.

- Tak - odpowiedział skwapliwie.

Dziewczyna rozglądała się naokoło, a jej zdumienie rosło.

- Gdzie jestem?

- Znajdujemy się wysoko w górach.

Teraz oszołomienie zaczął wypierać strach.

- Jak się tutaj znalazłam?

- Przeniosłem cię.

Wyjaśnił pokrótce, co się przydarzyło, gdy obozowali w nocy. Rękę, która znajdowała się przy głowie, przycisnęła teraz mocno do ust, jakby wgrzyzała się w nią wściekle, by uspokoić nieco budzący się lęk. Szare oczy były okrągłe i przerażone.

- Teraz jesteś już wolna - powiedział Travis.

Kaydessa kiwnęła głową, a potem opuściła rękę, by zacząć mówić.

- Zabrałeś mnie z dala od myśliwych. Nie musiałeś być im posłuszny?

- Nic nie słyszałem.

- Tego się nie słyszy, to się czuje! - Wzdrygnęła się. - Proszę. - Złapała znajdujący się obok niej kamień, przyciągając go do swoich stóp. - Idźmy, idźmy stąd prędko! Spróbuj jeszcze raz, podejdą bliżej.

- Posłuchaj - Travis musiał być pewien jednego. - Czy oni mają jakiś sposób, by dowiedzieć się, że mieli ciebie w swoim zasięgu i że uciekłaś ponownie?

Kaydessa potrząsnęła głową, ale strach nadal czaił się w jej oczach.

- Zatem po prostu pójdziemy dalej - wskazał podbródkiem pustynne tereny rozciągające się przed nimi. - Spróbujemy trzymać się poza ich zasięgiem.

I z dala od przełęczy wiodącej na południe, pomyślał. Nie chciał dopuścić wroga do tej tajemnicy, musiał więc podróżować na zachód lub ukryć się gdzieś w tej nieznannej dziczy, aż będą całkiem pewni, że Kaydessa nie zareaguje już na wezwanie albo że znajdują się poza zasięgiem promieni. Tutaj istniała szansa na nawiązanie kontaktu z jej wyjętymi spod prawa krewniakami, ale także możliwość natknięcia się na grupę tych niby-małp. Przed zapadnięciem mroku muszą odkryć dobrze chronione miejsce na obóz.

Potrzebowali wody oraz jedzenia. Miał przy sobie tylko kilka tabletek syntetycznej odżywk. Kojoty zapewne potrafią znaleźć wodę.

- Chodź!

Travis kiwnął do Kaydessy, skłaniając ją, by wspinąca się przed nim. Chciał zaobserwować pierwsze oznaki, gdyby znowu zaczęła ulegać wpływom wroga. Okazało się jednak, że wczesnoporanna wędrownica z obciążeniem wyczerpała Trávisa bardziej niż sądził. Stwierdził, że nie jest w stanie zmusić się do nadania swoim krokom szybkiego tempa. Co chwila pokazywał się jeden z kojotów, zwykle była to Nalik'ideyu. W jej zachowaniu dawało się wyczuć zniecierpliwienie. Apacz nabierał przekonania, że zwierzęta są czymś zaniepokojone, lecz nie reagowały na jego niepewne próby nawiązania kontaktu. Ponieważ nie ostrzegały przed żadnym wrogim zwierzęciem ani człowiekiem, mógł jedynie nieustannie, bacznie obserwować teren dookoła.

Szli półką skalną przez wiele minut, zanim Travis zauważył pewne dziwne cechy tej drogi. Ukończone w niedalekiej przeszłości studia archeologiczne pozwoliły mu znaleźć przyczynę nawet słabo widocznych śladów. Ten uszczerbek w powierzchni skały mógł

początkowo powstać w sposób naturalny, ale potem został obrobiony za pomocą narzędzi, wygładzony i poszerzony, by służyć jakimś inteligentnym istotom!

Travis schwycił Kaydessę za ramię, by spowolnić jej kroki. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego nie chce mówić tutaj głośno, lecz czuł potrzebę zachowania ciszy. Rozejrzała się dookoła, zakłopotana. Jej zdziwienie wzrosło, kiedy ukląkł i wodził palcami wzdłuż śladów, jakie pozostawiło użycie narzędzi. Był pewien, że są bardzo stare. W głowie kłębiły mu się różne przypuszczenia. Wykonana z takim trudem droga mogła prowadzić jedynie do czegoś ważnego. Miał zamiar dokonać tu odkrycia, przecież to marzenie po raz pierwszy pchnęło go w te góry.

- Co to jest? - Kaydessa usiadła obok niego na skałce.

- To zostało wykute przez kogoś dawno temu.

Travis powiedział to półszepem, a potem zastanowił się dlaczego. Nie było żadnego powodu, by sądzić, że ci, którzy zrobili drogę, mogą go usłyszeć, gdyż od czasu, gdy wykuto kamień, dzieliło ich tysiąc lub więcej lat.

Tatarska dziewczyna obejrzała się przez ramię. Martwiło ją to, że czas był tutaj pojęciem względnym, że przeszłość i teraźniejszość mogły się spotykać. Czy oboje czuli to samo z powodu przemęczenia?

- Kto? - Teraz ona z kolei mówiła szeptem.

- Posłuchaj - spojrzał na nią uważnie. - Czy twoi ludzie lub Czerwoni znaleźli tutaj kiedykolwiek jakieś ślady starożytnej cywilizacji, jakieś ruiny?

- Nie. - Pochyliła się i przesuwała palcem po tych samych niemal zatartych śladach, które zaintrygowały Trávisa. - Ale myślę, że ich szukali. Zanim odkryli, że możemy się wyzwolić, wysyłali grupy ludzi - na polowania, jak mówili - lecz potem zadawali wiele pytań dotyczących terenu. Nigdy nie pytali tylko o ruiny. Czy chcieli, byśmy znaleźli właśnie to? Ale po co? Jaką wartość mają starożytne kamienie spiętrzone jeden na drugim?

- Same w sobie - niewielką, z wyjątkiem wiedzy, jakiej mogą nam dostarczyć na temat ludzi, którzy je pozostawili. Ale to, co w sobie kryją, może mieć olbrzymią wartość!

- Skąd o tym wiesz, Fox?

- Ponieważ widziałem takie skarbcce gwiazdnych ludzi - powiedział z roztargnieniem. Dla niego ślady na półce skalnej stanowiły obietnicę większych odkryć. Musi dowiedzieć się, do czego prowadzi ta starannie zbudowana droga.

Najpierw jednak wydał czterokrotnie powtórzony świergotliwy sygnał. Szare postacie wyłoniły się z płataniny zarośli, wskakując na półkę. Oba kojoty spojrzały na niego i skupiły uwagę na tym, co Travis chce im przekazać.

Ruiny mogły znajdować się przed nimi, miał nadzieję, że tak było rzeczywiście. Lecz na innej planecie takie pozostałości dwukrotnie okazały się śmiertelnymi pułapkami i tylko szczęśliwy traf uchronił ziemskich odkrywców przed uwięzieniem w nich na zawsze. Jeśli niby-mały lub inne niebezpieczne formy życia zamieszkały tam przed nimi, chciał być w porę ostrzeżony.

Kojoty jednocześnie odwróciły się i biegły teraz susami wzdłuż półki skalnej. Zniknęły za zakrętem, biegnącym zgodnie z ukształtowaniem góry, a za nimi podążali Travis i Kaydessa.

Usłyszeli dźwięk, zanim zobaczyli jego źródło - wodospad. Prawdopodobnie nieduży, lecz wysoki. Za zakrętem dostali się w mgłę drobnych kropelek, w których światło słoneczne tworzyło kolorowe tęcze.

Przez dłuższą chwilę stali olśnieni. Nagle Kaydessa wydała cichy okrzyk, wyciągnęła ręce w kierunku szemrzącej mgiełki, po czym przyłożyła je do ust, by wyssać zebraną wilgoć.

Woda zmoczyła powierzchnię półki i Travis przyciągnął Kaydessę do skalnej ściany. Na ile mógł się zorientować, dalsza droga wiodła poprzez wypływającą kurtynę wody, a chodzenie po mokrym kamieniu było niebezpieczne. Z plecami opartymi o solidną, dającą poczucie bezpieczeństwa ścianę, z twarzą skierowaną ku spadającej wodzie, przedostali się na drugą stronę i ponownie weszli w tęczne światło.

Tutaj przewidująca natura albo sztuka starożytnych wydrążyła kieszeń w kamieniu, która była napełniona wodą. Napili się. Następnie Travis napełnił swoją menażkę, a Kaydessa umyła twarz, obiema dłońmi przykładając do policzków chłodną świeżość wilgoci.

Powiedziała coś, lecz poprzez szum wodospadu nic nie usłyszał. Pochyliła się bliżej w jego kierunku i powiedziała, niemal krzyżąc:

- To siedziba duchów! Ty także czujesz ich moc, Fox? Być może w przestrzeni poza czasem odczuwał coś. Dla jego urodzonej i wychowanej na pustym rasy wszelka woda była ulotnym darem duchów, którego nigdy nie można być pewnym. Tęcza - to święty znak Ludu Duchów. W umyśle Trávisa przebudziły się stare wierzenia.

- Czuję - powiedział, kiwając głową dla podkreślenia, że się zgadza.

Poszli dalej drogą wiodącą przez półkę skalną, dochodząc do miejsca, w którym zamieniła się w strome zbocze. Travis ostrożnie torował drogę wśród odłamków skał, a Kaydessa posłusznie poddawała się jego przewodnictwu. Znaleźli się na biegnącej w dół drodze prowadzącej do schodów - ich stopnie były zwietrzałe od wpływów atmosferycznych i kruszące się, a kąt opadania tak ostry, że Travis zastanawiał się, czy w ogóle przewidziano je dla istot zbliżonych pod względem fizycznym do Ziemi.

Doszli do szczeliny, której sklepienie stanowił wyrzeźbiony kamienny łuk. Travisowi zdawało się, że dostrzega ślady rzeźb na zwieńczeniu muru. Były tak zwietrzałe wskutek upływu lat i oddziaływań atmosferycznych, że niewiele z nich pozostało.

Szczelina tworzyła wrota do kolejnej doliny. Tutaj także kłębiła się pasmami złota mgła, przyodziewając i kryjąc wszystko, co tam się znajdowało. Travis odnalazł swoje ruiny. Zachowały się tylko ich zarysy, nie skruszone zębem czasu.

Języki mgły krążyły, przepływając do przodu i do tyłu. Zaburzały kontury, zasłaniały lub obnażały owalne okna, rozmieszczone na wierzchołkach czterech rombów na okrągłych powierzchniach wież. Nie było widać żadnych pęknięć, przybrania z pnących roślin, niczego, co mogłoby sugerować epokę w jakiej je wzniesiono. Architektura, którą miał przed oczami, nie przypominała niczego, co widział na owych innych światach.

Travis wyszedł z wrót w skalnej szczelinie. Pod jego mokasynami znajdował się zrobiony z bloków chodnik, żółte i zielone kamienie były ułożone w prostą szachownicę. Tam także znajdował się taras, bez wyszczerbień i nieuszkodzony, z wyjątkiem jednej lub dwóch plam gleby naniesionej przez wiatr. I nigdzie nie dostrzegł żadnych śladów roślinności.

Wieżę zbudowano z tego samego kamienia, co połowa bloków tworzących chodnik. Ich szklista zieleń przywodziła mu na myśl jadeit - o ile jadeit dało się wydobywać w takich ilościach, jakie były potrzebne na te pięciopiętrowe wieże.

Nalik'ideyu podeszła do niego, mógł usłyszeć cichy stukot jej pazurów o chodnik. W tym miejscu panowała głęboka cisza, jakby samo powietrze wchłaniało wszystkie dźwięki. Wiatr, który towarzyszył im przez cały dzień podczas podróży, został za szczeliną.

A jednak istniało tutaj życie. Nalik'ideyu zakomunikowała mu to swoim sposobem. Nie była jeszcze zdecydowana co do charakteru tego życia - ostrożność i ciekawość walczyły w niej teraz, kiedy wyciągnęła spiczasty pysk w kierunku okien.

Wszystkie znajdowały się znacznie powyżej poziomu ziemi, w niższych

kondygnacjach. Travis nie zdołał dostrzec żadnych otworów. Zastanawiał się nad tym, w jaki sposób zbadać, czy w dalszej części wież nie ma drzwi. Mgła i informacja przekazana przez Nalik'ideyu sprawiły, że stał się podejrzliwy. Gdyby znalazł się na otwartej przestrzeni, stałby się dobrym celem dla czegoś lub kogoś, kto mógł stać w głęboko umieszczonych framugach okien.

Ciszę przerwał huk. Travis podskoczył, wykonując półobrót z nożem w ręce.

Bum-bum... Drugie ciężkie uderzenie, potem powtórzone przez narastające echa.

Kaydessa podniosła głowę do góry i zawołała. Jej głos brzmiał donośnie, jakby wzmocniły go ściany doliny. Następnie gwizdnęła, tak samo jak wtedy, gdy napotkali niby-małpę, i podbiegła, aby schwytać Trávisa za rękaw, z rozentuzjasmowaną twarzą.

- Mój lud! Chodź, to mój lud!

Pociągnęła go, a potem puściła się biegiem, pędząc bez obawy dookoła podstawy jednej z wież. Travis biegł za nią, obawiając się, że może ją zgubić we mgle.

Trzy wieże, kolejny fragment otwartego chodnika i nagle mgła podniosła się, pokazując im drugie rzeźbione przejście w odległości mniejszej niż sto jardów przed nimi. Wydawało się, że huk ciągnie Kaydessę i Travis nie mógł zrobić nic innego, jak tylko podążać za nią. Kojoty truchtały teraz obok niego.

Przeszli przez ostatnią szeroką zapórę mgły i weszli na dziki teren porośnięty wysokimi trawami i zaroślami. Travis usłyszał, że kojoty wydają ostrzegawcze dźwięki, lecz było już za późno. Znikąd nadleciała skórzana pętla i owinęła się wokół piersi, przyciskając jego ramiona ciasno do tułowia, ścinając go z nóg szarpnięciem i ciągnąc następnie bezradnego po ziemi za galopującym koniem.

Śniady dżyggit podskoczył do góry, by uderzyć w głowę konia. Travis kopał bezowocnie, usiłując stanąć z powrotem na nogi, kiedy koń stanął dęba i usiłował się wyrwać spod kontroli krzyczącego jeźdźcy. Podczas całej tej szarpaniny Apacz słyszał, jak Kaydessa piskliwie wykrzykuje słowa, których nie mógł zrozumieć.

Travis klęczał, kaszląc od kurzu i napinając mięśnie, by poluzować lasso. Kojoty przemykały po jego obu stronach, warcząc buntowniczo i rzucając się w przód i w tył, by nie stanowił łatwego celu dla wroga. Pobudzone tym konie rzucały się tak, że dosiadający ich jeźdźcy nie mogli użyć ani lin, ani noży.

Wtedy Kaydessa wbiegła pomiędzy dwa wierzchowce, zbliżyła się do Trávisa i złapała pętlę obok niego. Twardy, pleciony rzemień rozluźnił się i Apacz mógł wreszcie zaczerpnąć tchu pełną piersią. Dziewczyna nadal krzyczała. Najwyraźniej komuś wymyślała.

Travisowi udało się stanąć na nogi w chwili, gdy jeździec, który schwytał go na lasso, zapanował wreszcie nad swym wierzchowcem i zeskoczył na ziemię. Trzymając linę, mężczyzna szybko zbliżał się do nich, tak jak Travis ongiś na dzikich terenach Arizony podchodziłby do zdenerwowanego, nieokiełzanego konia.

Mongoł był nieco niższy od Apacza, miał młodą twarz, mimo Opadających wąsów otaczających jego usta czarnymi kosmykami. Nosił spodnie włożone w wysokie czerwone buty i luźną filcową kurtkę ozdobioną tym samym wyszukany haftem, jaki Travis widział na kurtce Kaydessa. Na głowie, mimo gorąca, miał kapelusz z szerokim futrzany lamowaniem i na nim również znajdowały się delikatne szkarłatne i złote wzory.

Nadal trzymając lasso, Mongoł podszedł do Kaydessa i stał. Przez chwilę lustrował ją od stóp do głów, zanim zadał pytanie. Szarpnęła niecierpliwie liną. Kojoty warknęły, lecz Apacz pomyślał, że zwierzęta nie sygnalizują już bezpośredniego zagrożenia.

- To mój brat Hulagur - przedstawiła śniadolicęgo mężczyznę Kaydessa, odwracając głowę. - Nie mówi twoim językiem.

Hulagur nie tylko nie rozumiał, był też niecierpliw. Szarpnął liną tak nagle, że Travis niemal upadł. Wówczas Kaydessa pociągnęła lasso równie zawzięcie w drugim kierunku i wybuchnęła coraz głośniejszym potokiem słów, który sprawił, że pozostali mężczyźni podeszli bliżej.

Travis napiął ramiona, a dzięki interwencji Kaydessa uścisk lassa rozluźnił się znowu. Przyglądał się badawczo tatarskim banitom. Oprócz Hulagura było ich pięciu, szczupłych mężczyzn o twardych rysach twarzy, wąskich oczach, w poszarpanych trzyczęściowych ubraniach połatanych kawałkami skóry. Oprócz mieczy o zakrzywionych klingach ich uzbrojenie stanowiły łuki - każdy miał dwa, długi i nieco krótszy. Jeden z jeźdźców trzymał lancę, a długie pasma wełnistych włosów spływały poniżej jej grotu. Travis widział w nich budzących grozę barbarzyńskich wojowników, ale pomyślał, że w bezpośredniej walce Apacze mogliby nie tylko śmiało stanąć z Mongołami do pojedynku, lecz z powodzeniem ich pokonać. Apacze nigdy nie byli zapalczywymi, spragnionymi wojennej chwały wojownikami jak

Czejenowie, Siuksowie czy Komancze z otwartych równin.

Potrafili ocenić swoje szansę, stosowali zasadzki, sztuczki, umieli wykorzystywać wszystkie możliwości, jakie dawał teren. Piętnastu Apaczy walczących pod rozkazami wodza Geronimo przez rok dawało odpór pięciu tysiącom Amerykanów i Meksykanów, przez chwilę nawet biorąc nad nimi górę.

Travis znał opowieści o Czyngis-chanie i jego okrutnych, walecznych i na pozór niezwycięzonych generałach, którzy zalali wojskami Azję i zaatakowali Europę. Ale była to dzika fala, płynąca ze stepów ich ojczyzny, wykorzystująca prowadzonych jeńców jako mur, który miał chronić ich ludzi podczas ataków na miasta. Wątpił, czy nawet to nieskończone morze ludzkie zdołałoby zdobyć pustynię Arizony bronionej przez Apaczów pod wodzą Cochise'a, Victoria lub Magnusa Colorado. Biały człowiek dokonał tego dzięki lepszej broni i wyniszczającej polityce. Gdyby jednak stanęli do walki łuk przeciwko łukowi, nóż przeciwko nożowi, siła i spryt przeciwko sile i sprytowi, nie przesądzałby losów bitwy.

Hulagur rzucił koniec lassa, a Kaydessa podbiegła, by oblużować pętlę. Lina upadła do stóp Trávisa. Uwolniony Apacz odwrócił się i przeszedł pomiędzy dwoma jeźdźcami, żeby podnieść łuk, który upuścił. Kojoty szły razem z nim, a kiedy odwrócił się znowu, by spotkać się twarzą w twarz z Tatarami, oba zwierzęta pośpieszyły za nim w kierunku wejścia do doliny, wyraźnie zachęcając go do odwrotu w tamtą stronę.

Jeździec także rozglądał się wokoło, a wojownik z lancą ważył w ręku drzewce broni, jakby rozważał możliwość przeszycia nią Trávisa. Wtedy podeszła Kaydessa, ciągnąc ze sobą za pas Hulagura.

- Powiedziałaś mu - zdała sprawę Travisowi - jakie panują pomiędzy nami stosunki i że ty także jesteś wrogiem tych, którzy na nas polują. Dobrze byłoby usiąść razem przy ognisku i porozmawiać o tym.

Znowu głośny dźwięk, dochodzący gdzieś z otwartej przestrzeni, przerwał jej przemowę.

- Zrobisz to? - padło na w pół pytanie, na w pół stwierdzenie. Travis rozejrzał się wokół. Mógłby wymknąć się do zamglonej doliny wież, zanim Tatarzy zdołaliby go dopędzić. Gdyby jednak udało mu się zawrzeć jakiś rodzaj traktatu pomiędzy jego ludźmi a banitami, Apacze musieliby jedynie obserwować Czerwonych ze swojej osady. Zbyt wiele razy w ziemskiej przeszłości wojna na dwa fronty przynosiła katastrofalne skutki.

- Przyjdę z tym, nie zaś ciągnięty przez wasze sznury. - Podniósł swój łuk wyrazistym gestem, aby Hulagur mógł zrozumieć.

Zwijając lasso, Mongoł spoglądał to na Trávisa, to na jego łuk, i z wyraźną niechęcią kiwnął głową na zgodę.

Na wezwanie Hulagura lansjer podjechał do czekającego Apacza, wyprostował odzianą w długie buty nogę w ciężkim strzemieniu i wyciągnął rękę, by pomóc Travisowi sięść za nim. Kaydessa w podobny sposób usiadła za swoim bratem.

Travis spojrział na kojoty. Zwierzęta stały razem w przejściu do doliny wież i żadne z nich nie zrobiło jakiegokolwiek ruchu, by podążyć za wyruszającymi końmi. Kiwnął na nie i zawołał.

Podniosły głowy i popatrzyły na niego i towarzyszących mu Mongołów. Potem, bez żadnej reakcji na jego namowy, zniknęły we mgle. Przez chwilę Travis miał ochotę zsunąć się na ziemię, ryzykując, że lanca wbije się pomiędzy jego barki, kiedy zacznie się wycofywać w ślad za Naginitą i Nalik'ideyu. Był poruszony i rozdrażniony, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo stał się zależny od tych zwierząt. Zazwyczaj Travis Fox nie należał do tych, którzy dają

sobą kierować przez życzenia mba 'a, stworzeń inteligentnych i całkiem niepodobnych do zwierząt. To była sprawa pomiędzy ludźmi, a kojoty mają się do tego nie wtrącać!

Pół godziny później Travis siedział w obozie banitów. Doliczył się piętnastu Mongołów, poza nimi dostrzegł sześć kobiet i dwoje dzieci. Na górze, w pobliżu ich jurt, okrągłych chat z gałęzi i skóry -nie różniących się zbytnio od wigwamów ludu Trávisa - znajdował się prosty bęben, składający się ze skóry rozpiętej na wydrążonym pniu. Obok niego stał mężczyzna w wysokiej spiczastej czapce, czerwonej szacie i pasie, z którego zwisały się małe kostki, maleńkie zwierzęce czaszki, polerowane kawałki kamienia i rzeźbionego drewna, tworząc rodzaj frędzli.

To jego wysiłki sprawiały, że co jakiś czas w okolicy rozlegało się owo bum-bum. Czy stanowiło to sygnał, czy też część jakiegoś rytuału? Travis nie wiedział, chociaż domyślał się, że dobosz był znachorem albo szamanem, posiadającym pewną władzę nad tymi ludźmi. W czasach wielkich ord takim ludziom przypisywano zdolność prorokowania i pośredniczenia pomiędzy ludźmi a duchami.

Apacz przyjrzał się pozostałym zgromadzonym. Podobnie jak w jego grupie, ludzi ci byli mniej więcej w tym samym wieku - młodzi i pełni energii. Rzuciło się też w oczy, że Hulagur był wśród nich kimś ważnym, jeśli nie wodzem.

Kiedy wybrzmiały ostatnie uderzenia w bęben, szaman zatknął pałeczki za pas i zszedł na dół w kierunku znajdującego się pośrodku obozu ogniska. Był wyższy od swych pobratymców, chudy jak tyczka gładko ogolony, jego brwi naturalnie wyginały się w uniesione łuki, co nadawało mu wyraz nieustającego sceptycyzmu. Kiedy zbliżał się, dźwięcząca kolekcja talizmanów harmonijnie akompaniowała jego krok. Podeszedł i stanął na wprost przed Travisem, przyglądając mu się bacznie.

Travis w milczeniu odwzajemnił jego spojrzenie, co przypominało pojedynek sił woli. W przymrużonych zielonych oczach szamana było coś, co sugerowało, że jeśli Hulagur rzeczywiście dowodził tymi wojownikami, miał przy sobie zdecydowanego i inteligentnego doradcę.

- To jest Menlik. - Kaydessa nie przedarła się przez szereg mężczyzn do ogniska, ale dochodził tu jej głos.

Hulagur huknął na siostrę, lecz to upomnienie nie zrobiło na niej żadnego wrażenia, odpowiedziała mu tym samym tonem. Szaman podniósł rękę, uciszając oboje.

- Jesteś - kim? - Podobnie jak Kaydessa, Menlik posługiwał się angielskim z silnym obcym akcentem.

- Jestem Travis Fox, Apacz.

- Apacz - powtórzył szaman. - A więc pochodzisz z Zachodu, z amerykańskiego Zachodu.

- Wiele wiesz, człowieku, który rozmawiasz z duchami.

- Pamiętam. Czasami coś pamiętam - odpowiedział Menlik niemal roztargnionym tonem. - W jaki sposób Apacz znalazł się pomiędzy gwiazdami?

- Tak samo, jak Menlik i jego lud - odparł Travis. - Zostaliście przysłani na tę planetę, my także.

- Czy jest was dużo więcej? - zapytał Menlik szybko.

- A czy nie ma tu wielu ludzi z Ordy? Czy przysłano by jednego człowieka albo trzech czy czterech, by zajęli świat? - odrzucił Travis. - Wy zatrzymacie pomoc, my południe tego kraju.

- Ale nimi nie rządzi maszyna - wtrąciła się Kaydessa. - Oni są wolni!

Menlik skrzywił się w kierunku, skąd dobiegał jej głos.

- Kobieto, to sprawa wojowników. Trzymaj język za zębami! Postąpiła naprzód, kładąc pięści na biodrach.

- Jestem Córką Niebieskiego Wilka. Wszyscy jesteśmy wojownikami - kobiety podobnie jak mężczyźni - i pozostaniemy nimi, dopóki Orda nie zostanie wolna i nie będzie mogła swobodnie jeździć na swych koniach! Ci ludzi zdobyli wolność, można się od nich dowiedzieć, jak to zrobili.

Wyraz twarzy Menlika nie zmienił się, lecz powieki opadły mu na oczy, a grupa wydała pomruk, mogący oznaczać aprobatę. Kilku z nich musiało rozumieć język angielski dostatecznie, by tłumaczyć rozmowę innym. Travis zastanawiał się nad tym. Czy ci mężczyźni i kobiety, którzy otwarcie powrócili do życia swych koczowniczych przodków, byli kiedyś dobrze wykształceni we współczesnym znaczeniu tego słowa, na tyle, żeby nauczyć się podstaw języka narodu, który ich władcy uznawali za głównego wroga?

- Objęliście więc kraj znajdujący się na południe od gór? - dociekał szaman.

- To prawda.

- Dlaczego przybyłeś tutaj?

Travis wzruszył ramionami.

- A dlaczego podróżuje się do nowych krajów? Każdy pragnie zobaczyć, co znajduje się dalej...

- Lub wyrusza na zwiady przed wymarszem wojowników! - rzucił Menlik. - Pomiędzy waszymi a moimi władcami nie ma pokoju. Czy przybyliście teraz, by zagarnąć stada i pastwiska Ordy lub przynajmniej spróbować to zrobić?

Travis umyślnie zwrócił głowę w jedną, potem zaś w drugą stronę, by wszyscy mogli zobaczyć jego powolną i jawnie pogardliwą ocenę ich obozu.

- To jest wasza Orda, szamanie? Piętnastu wojowników? Wiele się zmieniło od czasów Temudżyna, prawda?

- Co wiesz o Temudżynie, ty, który nie masz przodków i pochodzisz z dalekiego Zachodu?

- Co ja wiem o Temudżynie? Że był wodzem wojowników i stał się Czyngis-chanem, wielkim panem Wschodu. Apacze także mieli swych dzielnych władców, jeźdźców z pustynnego kraju. A ja pochodzę z tych, którzy pokonali dwa narody, kiedy Victorio i Cochise obrócili w proch swoich wrogów, tak jak człowiek rozsypuje garść piasku na wietrze.

- Twoja mowa jest śmiała, Apaczu...

W tym stwierdzeniu kryła się zawołowana groźba.

- Mówię tak jak każdy wojownik, szamanie. Tak przyzwyczyłeś się do rozmów z duchami zamiast z ludźmi, że nie zdajesz sobie z tego sprawy?

Rzykował, że zrazi do siebie szamana tak ostrą odpowiedzią, ale uważał, że dobrze ocenił charakter tych ludzi. Jedynym sposobem, by zrobić na nich wrażenie, było śmiałe przeciwstawienie się im. Nie pertraktowaliby z kimś gorszym, a on już znajdował się w mniej korzystnej sytuacji. Przybywał przecież pieszo, bez żadnej wspierającej go grupy, na terytorium zajmowane przez jeźdźców, którzy byli podejrzliwi i zazdrośni o swą dopiero co uzyskaną wolność. Jedyną szansą było postawienie się w sytuacji równego, a potem przekonanie ich, że Apacz i Mongoł mają wspólnego wroga w postaci Czerwonych, panujących nad osadą na północnych równinach.

Menlik sięgnął prawą ręką do szarfy, którą był przepasany, i wyciągnął rzeźbioną pałeczkę. Zamachał nią przed nimi, mamrocząc jakieś zdania. Travis nic z tego nie rozumiał.

Czy szaman tak bardzo cofnął się w swoją przeszłość, że wierzył teraz we własną ponadnaturalną moc? Czy też zachowywał się tak, by zrobić wrażenie na swych pobratymcach?

- Wołasz na pomoc duchy, Menlik? Towarzyszami Apacza są ga-n. Zapytaj Kaydesse, kto poluje z Foxem w dzikich ostępach.

Wyzwanie ze strony Trvisa zatrzymało czarodziejską różdżkę w powietrzu. Menlik zwrócił głowę w kierunku dziewczyny.

- On poluje z wilkami, które myślą jak ludzie - udzieliła informacji, o którą szaman otwarcie nie zapytał. - Widziałam je w akcji, kiedy działały jako zwiadowcy. To nie są duchy, tylko realne istoty, z tego świata!

- Każdy człowiek może wytresować psa wedle woli! - odrzucił Menlik.

- Czy pies wypełnia rozkazy, które nie zostały wypowiedziane głośno? Te brązowe wilki przychodzą i siadają przed nim, patrzą mu w oczy. A wtedy on poznaje ich myśli, a one dowiadują się, co mają zrobić. Nie tak postępuje treser psów ze swoją sforą!

Przez obóz znów przeszedł szmer, kiedy jeden lub dwóch ludzi przetłumaczyło jej słowa. Menlik zmarszczył czoło. Następnie zatknął z powrotem czarodziejską różdżkę za szarfę.

- Jeśli jesteś tak potężny i masz w swym władaniu takie moce - powiedział z wolna - możesz iść sam do miejsca, gdzie chodzą ci, którzy rozmawiają z duchami. W góry. - Potem powiedział coś przez ramię w swym ojczystym języku, a jedna z kobiet poszła do szałasu i wyniosła stamtąd skórzany bukłak oraz kubek z rogu. Kaydessa wzięła od niej kubek i trzymała go, kiedy inne kobiety nalewały do niego biały płyn.

Kaydessa podała kubek Menlikowi. Obrócił się, trzymając go w ręce, z wprawą przyskajac kilka kroplami w każdą stronę świata; śpiewał przy tym. Następnie nabrał pełne usta zawartości kubka, zanim wręczył naczynie Travisowi.

Apacz poczuł ten sam kwaśny zapach, jaki wydawała opróżniona torba na pogórzcu. A inny fragment pamięci dostarczył mu informacji co do natury napoju. Był to kumys, sfermentowane mleko kłaczy, które zastępowało na stepach wino i wodę.

Zmusił się do przełknięcia łyku, pomyślał, że ten smak mu nie odpowiada, i oddał kubek Menlikowi. Szaman opróżnił róg i tym zakończył ceremonię. Podniesioną ręką zaprosił Trvisa znów do ogniska, wskazując garnki stojące na węglach.

- Odpocznij... posil się! - zachęcił krótko.

Nadchodziła noc. Travis usiłował obliczyć, w jakiej odległości od ranczo może znajdować się Tsoay. Pomyślał, że jeśli nic nie stanęło mu na przeszkodzie, młody Indianin mógł już minąć przełęcz i znajdować się jakieś półtora dnia od obozu Apaczów. Gdzie mogły zawędrować kojoty, nie miał pojęcia. Było jednak jasne, że musi pozostać w tym obozie na noc lub jeszcze raz zaryzykować wzbudzenie podejrzeń Mongołów.

Zjadł gulasz, wybierając kawałki mięsa z garnka końcem noża. Dopiero kiedy zaspokoił głód i usiadł, szaman przysiadł się obok.

- Khatun Kaydessa mówi, że kiedy była niewolnikiem maszyny przyzywającej, ty nie czuleś jej więzów - zaczął.

- Ci, którzy rządzą tobą, nie są moimi zwierchnikami. Więzy jakie nakładają na wasze umysły, nie dotyczą mnie. - Travis miał nadzieję, że to prawda i że jego ucieczka tamtego ranka nie była przypadkiem.

- To możliwe, ponieważ ty i ja nie jesteśmy tej samej krwi - zgodził się Menlik. - Powiedz mi, jak uniknąłeś tych więzów?

- Maszyna, która nami władała, zepsuła się - odrzekł Travis, co częściowo odpowiadało faktom. Menlik wciągnął dech.

- Maszyny, wiecznie te maszyny! - wykrzyknął chrapliwie. - Coś, co może utkwąć w umyśle człowieka i sprawić, że zrobi on wbrew swojej woli wszystko, co mu się każe! To nasłany demon! Są jeszcze inne maszyny, które należy zniszczyć, Apaczu!

- Słowa nie zdołają tego dokonać - zauważył Travis.

- Tylko głupiec żyje do końca bez nadziei, że zada cios, zanim zakrztusi się krwią w swoim gardle - odparł Menlik. - Nie możemy użyć łuku ani szabli przeciwko broni, która miota ogień i zabija szybciej niż błyskawica podczas burzy! A maszyny mentalne potrafią sprawić, że człowiek rzuca nóż i stoi, bezsilnie czekając, aż na jego szyję nałożą obrozę niewolnika!

Travis z kolei też chciał się czegoś dowiedzieć.

- Wiem, że mogą sprowadzić przywoływacz w góry, ponieważ właśnie dzisiaj widziałem skutki jego oddziaływania na dziewczynę. Ale wśród wzgórz jest wiele miejsc odpowiednich na zasadzki, a ci niepodatni na działania maszyny mogą tam zaczekać. Czy jest tak wiele maszyn, że mogą je wysyłać wciąż na nowo?

Koścista ręka Menlika bawiła się pałeczką. Następnie wypłynął na jego wargi uśmiech, jakby polujący kot prychnął bezgłośnie.

- W tym garnku jest mięso, Apaczu, soczyste mięso. Można nim napełnić wychudzony brzuch! Ludzie, których umysłów nie ma się przywoływacz, mają więc zacząć się w zasadzce, by pojąć tych, którzy stosują taką maszynę. Owszem. Żeby jednak zastawić taką pułapkę, potrzebna jest bardzo dobra przynęta. Władco Sztuczek. Tamci nigdy nie wchodzą daleko w góry. Ich latacz nie unosi się tu dobrze, a oni nie mają zaufania do podróży konno. Musieli być bardzo rozwścieczeni, że zaszli tak daleko, by dopaść Kaydesse, chociaż nie mogli też znajdować się zbyt blisko, bo w tym wypadku nie umknąłbyś im. Tak, silna przynęta.

- Taka, jak świadomość, że po tej stronie gór znajdują się obcy?

Menlik obrócił pałeczkę w rękach. Nie uśmiechał się już, tylko rzucił przenikliwe, szybkie spojrzenie na Trava

- Czy jesteś chanem swojego plemienia, panie?

- Jestem tym, którego wysłuchają. - Travis miał nadzieję, że tak jest. Nie był pewien, czy do jego powrotu Buck i inni umiarkowani zdołają objąć przywództwo w klanie.

- Nad tak poważną sprawą musimy się naradzić - ciągnął Menlik. Tak, trzeba to przemyśleć, panie. I zrobię to...

Wstał i odszedł. Travis rzucił spojrzenie na ogień. Czuł się bardzo zmęczony, lecz nie odpowiadało mu spanie w tym obozie. Nie mógł jednak się obyć bez odpoczynku, rano musiał mieć jasny umysł. A nieokazywanie swej nieufności mogło być jednym ze sposobów zdobycia zaufania Menlika.

Travis oparł plecy o iglicę skały i podniósł prawą rękę w kierunku słońca, trzymając w dłoni dysk z błyszczącego metalu. Błysk... błysk... nadał sygnał, podobnie jak jego przodkowie sprzed stu lat, którzy wcześniej i daleko w przestrzeni kosmicznej używali luster, by przekazywać sygnały o zarzewiach wojennych pomiędzy łańcuchami Chiricahua i White Mountain. Jeżeli Tsoayowi udało się wrócić bezpiecznie i jeśli Buck, tak jak zostało ustalone, utrzymywał obserwatora na tym szczycie odległym o jakąś milę, wówczas klan powinien dowiedzieć się, że przybywa Travis, i z jaką eskortą.

Począł teraz, pocierając bezwiednie małe metalowe lustro o luźny rękaw koszuli i czekając na odpowiedź. Lusterka są lepsze niż dymiące ogniska, które zbyt daleko rozniosłyby informację o obecności ludzi na wzgórzach. Tsoay musiał już wrócić...

- Co robisz?

Menlik podciągnął szamańską szatę tak, że widać było na tle złotej skały ciemne spodnie i buty, wspiął się i stanął obok Apacza. Menlik, Hulagur i Kaydessa jechali konno z Travisem. Zaofiarowali mu jednego ze swych niewielkich koników, by przyspieszyć podróż. Tatarzy nadal przyglądali się Apaczowi z rezerwą, ale nie miał im za złe tej ostrożności.

- Och!

W punkcie przed nimi błysnęło. Jeden, dwa, trzy błyski. Jego sygnał został odebrany. Buck rozmieścił zwiadowców, którzy mieli ich spotkać, a znając umiejętności swoich pobratymców w tej dziedzinie, Travis mógł być pewien, że Tatarzy nie domyśla się, że są otoczeni, o ile Apacze celowo się nie ujawnią. Tatarzy z delegacją Apaczy mieli spotkać się w pół drogi. Nie był to odpowiedni czas, by goście dowiedzieli się, jak mała jest liczebność klanu.

Menlik obserwował, jak Travis błyska w odpowiedzi wartownikowi.

- Czy w ten sposób porozumiewasz się ze swoimi ludźmi?

- Tak.

- To dobra rzecz, warta zapamiętania. My mamy bęben, lecz mogą go usłyszeć uszy wszystkich, oprócz pozbawionych słuchu. A to jest przeznaczone tylko dla oczu tych, którzy czekają na ten znak. Tak, to dobra rzecz. A twoi ludzie, czy wyjdą nam naprzeciw?

- Czekają przed nami - potwierdził Travis.

Zbliżało się południe i gorące powietrze, zebrane nad górskimi drogami, sprawiało, że trudno było oddychać. Tatarzy zrzucili swe ciężkie kurtki i zrolowali futrzane rondo kapeluszy wysoko na głowach, jak najdalej od zalanych potem twarzy. Na każdym przystanku podawali z ręki do ręki skórzany bukłak z kumysem.

Teraz nawet konie ledwo szły z opuszczonymi głowami, wlokąc się drogą, która coraz głębiej wchodziła w kanion. Travis wypatrywał, czy gdzieś nie pojawią się zwiadowcy. I nie po raz pierwszy pomyślał o zniknięciu kojotów. Jeszcze w obozie Tatarów miał głębokie przekonanie, że zwierzęta dołączą do niego, kiedy rozpocznie drogę powrotną przez góry.

Nie dostrzegał jednak żadnego z nich ani nie odczuwał tego niewyjaśnionego umysłowego kontaktu z nimi, który towarzyszył mu stale od przebudzenia się na Topazie. Dlaczego opuścili go tak bezceremonialnie, obroniwszy przedtem przez atakiem Mongołów i dlatego teraz trzymały się z dala, nie wiedział. Ale odczuwał niepokój z powodu ich ciągłej nieobecności i miał nadzieję, iż po powrocie przekona się, że wróciły na rancho.

Konie dreptały wyczerpane wzdłuż piaszczystego mułu wyściełającego dno kanionu. Tutaj upał stał się ciężki niczym ołów i ludzie dyszeli, podobnie jak czworonogi biegnące obok

myśliwych. Wreszcie Travis dojrzał to, czego wypatrywał, ledwie zauważalny ruch na ścianie wysoko u góry. Podniósł rękę i pociągnął za uzdę swego wierzchowca, by go zatrzymać. Apacze stali w pełni na widoku, z hukami przygotowanymi do strzału. Zachowywali milczenie.

Kaydessa wydała okrzyk i zrównała swego konia z koniem Trávisa.

- Pułapka! - Jej twarz, zaczerwieniona od gorąca, płonęła także gniewem.

Travis uśmiechnął się spokojnie.

- Czy ktoś trzyma cię na uwięzi. Córko Wilka? - zapytał miękko. - Czy ciągną cię po piasku?

Otworzyła usta, by zamknąć je znowu. Harap, który podniosła, żeby go uderzyć, zatrzymał się w pół drogi i opadł na szyję jej konia.

Apacz obejrzał się do tyłu na dwóch mężczyzn. Hulagur położył rękę na rękojeści szabli i przebiegał oczami od jednego wartownika do drugiego. Całkowita beznadziejność położenia Tatarów była zbyt wyraźna. Tylko Menlik nie wykonał żadnego ruchu, by chwycić za broń, nawet jeśli miałyby to być jego czarodziejska różdżka. Siedział spokojnie w siodle, nie okazując żadnych emocji w stosunku do Apaczy, z wyrazem swej zwykłej obojętności na twarzy.

- Idziemy dalej - wskazał głową Travis.

Tak samo nagle, jak wyłonili się z serca złotych skał, zwiadowcy zniknęli. Większość z nich znajdowała się już na drodze do miejsca, które Buck wybrał na punkt spotkania. Było tutaj zaledwie sześciu mężczyzn, lecz Tatarzy nie mogli się w żaden sposób dowiedzieć, jaką stanowią część całego klanu.

Koń Trávisa podniósł łeb, zarżał i ruszył nierównym truchtem. Gdzieś przed nimi znajdowała się woda, w jednej w tych oaz roślinności i życia, które co pewien czas pojawiały się wśród łańcucha gór. Potrzebowali pokrzepienia się wszyscy, ludzie i zwierzęta.

Menlik i Hulagur posunęli się do przodu, aż ich wierzchowce niemal stykały się z końmi, na których jechali dziewczyna oraz Travis. Travis zastanawiał się, czy nadal czekają, że trafi ich jakaś strzała, chociaż widział, że obaj mężczyźni jadą, demonstrując wyraźną obojętność wobec patroli.

Zielone zarośla kuszy ich wciąż i konie przyśpieszyły kroku, wchodząc w sąsiedni kanion, w którym mieścił się niewielki zbiornik wody i dobre miejsce na postój, porośnięte trawą i krzewami. Po jednej stronie wody stał Buck z rękami skrzyżowanymi na piersiach, uzbrojony jedynie w tkwiący za pasem nóż. Za nim zgromadzili się Deklay, Tsoay, Nolan i Manulito, jak stwierdził pospiesznie Travis. Manulito i Deklay zawsze trzymali się razem - przynajmniej podczas ostatniego pobytu Trávisa na rancho. Nolan był cichym, rzadko odzywającym się człowiekiem i jego opinii Travis nie potrafił przewidzieć. Tsoay zaś poprze Bucka.

Prawdopodobnie taki podział grupy stanowił najlepszą kombinację, jakiej Travis mógł się spodziewać. W skład delegacji wchodziłi ludzie gotowi opuścić przeszłość, w którą cofnęli się pod wpływem działania redaxu. Nie był jednak zadowolony, że weźmie w tym udział Deklay.

Travis zszedł z konia, pozwalając mu iść i zanurzyć pysk w oku wody.

- To jest - wskazał uprzejmie brodą i dokonał prezentacji - Menlik, który rozmawia z duchami... Hulagur, syn wodza... i Kaydessa, córka wodza. Należą do ludu jeźdźców z północy.

Następnie zwrócił się do Tatarów.

- Buck, Deklay, Nolan, Manulito, Tsoay - wymienił wszystkich po kolei. - Przybyli, by wysłuchać i mówić w imieniu Apaczów.

Lecz trochę później, kiedy obie grupy usiadły naprzeciw siebie, zastanawiał się jednak, czy decyzja, jaką należało podjąć, zyska aprobatę członków klanu znajdujących się po jego stronie tego nieregularnego okręgu. Wyraz twarzy Deklaya był nieprzenikniony, odsunął się nawet trochę do tyłu, jakby nie życzył sobie kontaktu z obcymi. Każda linia sylwetki Deklaya mówiła o jego nieufności i sprzeciwie.

Zaczął mówić sam, opowiadając swoje przygody od chwili, kiedy podążyli śladem Kaydessy, naszkicował sytuację w tatarsko-mongolskiej osadzie zgodnie z tym, czego dowiedział się od dziewczyny i od Menlika. Przemawiał głośno i wyraźnie, aby Tatarzy mogli usłyszeć i zrozumieć wszystko, co opowiadał Apaczom. Ci zaś przysłuchiwali się temu z kamiennymi twarzami, chociaż Tsoay musiał już im opowiedzieć o większości spraw. Kiedy Travis skończył, to właśnie Deklay zadał pytanie:

- Co mamy robić z tymi ludźmi?

- Chodzi o to - Travis starannie dobierał słowa, zastanawiając się, co mogłoby przekonać wojownika, który nadal miał mentalność rozbójnika sprzed stu lat - że Pinda-lick-o-yi, nazywam przez nas "Czerwonymi", nigdy nie życzą sobie, by obok nich żyli tacy, którzy nie myślą podobnie jak oni. A broń, jaką dysponują, może sprawić, że cięciwy naszych łuków staną się kawałkami parcianych sznurków, a ostrza naszych noży będą warte tyle, co kupka rdzy. Nie zabijają, tylko zniewalają. A kiedy odkryją naszą obecność, przyjdą tutaj jako wrogowie...

Wargi Deklaya wykrzywiły się wilczym grymasem.

- To duży kraj, a my wiemy jak to wykorzystać. Pinda-lick-o-yi nie znajdą nas.

- Sami nas może nie wypatrzą - odparł Travis. - Ale ich maszyny...

- Maszyny! - odparł Deklay. - Nic, tylko te maszyny... Czy tylko o tym potraficie mówić? Wygląda na to, że jesteście zaczarowani przez maszyny, których nawet nie widzieliśmy - żaden z nas!

- To maszyna nas tutaj przywiozła - zauważył Buck. - Wróć W tamto miejsce, popatrz na statek kosmiczny i przypomnij sobie, Deklay. Wiedza Pinda-lick-o-yi jest większa od naszej, jeśli chodzi o metal, przewody i rzeczy, jakie można z nich wykonać. Maszyny przywiozły nas gwiazdnymi szlakami, a w klanie nie ma tropiciela, który mógłby żywić nadzieję, że zrobi to samo. Teraz ja mam pytanie: czy oni mają plan działania?

- Czerwonych - odpowiedział powoli Travis - nie jest zbyt wielu. Ale ich większa liczba może przybyć później z naszego świata. Słyszeliście coś na ten temat? - zapytał Menlika.

- Nie, ale niewiele nam mówią. Żyjemy oddzielnie i żaden z nas nie wchodzi na statek, chyba że zostanie wezwany. Mają broń, która ich strzeże, w przeciwnym wypadku już od dawna byliby martwi. Nie jest właściwe, by człowiek jadł z miski, jeździł na wietrze, spał spokojnie pod tym samym niebem z kimś, kto zamordował jego brata.

- Zabili kogoś z waszych ludzi?

- Tak - odrzekł krótko Menlik.

Kaydessa poruszyła się i powiedziała coś niewyraźnie do brata. Hulagur podniósł głowę i wybuchnął potokiem gwałtownych słów.

- Co on mówi? — zapytał Deklay. Dziewczyna odrzekła:

- Mówi, że nasz ojciec, który pomógł w ucieczce trzem ludziom, został potem zgładzony przez przywódcę Czerwonych, co miało być dla nas nauczką, ponieważ ojciec był "białą brodą", chanem.

- Przysięgliśmy na krew, pod sztandarem z wilczą głową, że oni umrą także - dodał Menlik. - Ale najpierw musimy wytrząść łotrów ze skorupy ich statku.

- I to jest sedno sprawy - wyjaśnił Travis swoim pobratymcom. -Musimy wyciągnąć tych Czerwonych z ich chronionego obozu na otwartą przestrzeń. Teraz, kiedy wychodzą, znajdują się pod ochroną tego "przywoływacza", który utrzymuje Tatarów w ich władzy, ale nie ma wpływu na nas.

- Pytam więc jeszcze raz: co nam do tego? - Deklay podniósł się. - Ta maszyna nie poluje na nas i możemy zakładać nasze obozy na tej ziemi, gdzie żaden Pinda-lick-o-yi nas nie znajdzie.

- Nie jesteśmy dobe-gusndhe-he - niepodatni na rany. Ani też nie znamy wszystkich rodzajów maszyn, jakich mogą użyć. Nie jest dobrze mówić doxa-da - to nie tak - kiedy się nie wie o wszystkim, co znajduje się w wigwamie wroga.

Travis poczuł ulgę, dostrzegając aprobatę na twarzach Bucka, Tsoaya i Nolana. Od początku nie miał wielkiej nadziei, że przekona Deklaya, mógł jedynie ufać, że decyzja większości będzie pozytywna. Odwoła się do starodawnej indiańskiej tradycji prestiżu. Nan-tan - wódz miał go 'ndi, najwyższą moc, otrzymaną jako dar przy narodzeniu. Zwykli ludzie mogli posiadać moc końską lub bydłą, mogli posiadać dar zdobywania bogactw, a co za tym idzie ofiarowywać hojne dary - być ikadnti 'izi, bogaczami, którzy przemawiali w imieniu swoich rodów w ramach luźnej struktury plemienia. Ale nie istniało coś takiego jak dziedziczne wodzostwo ani nawet niepodzielna władza. Nagunika-dant 'an, wojenny wódz, często przewodził jedynie na ścieżce wojennej i nie miał głosu w sprawach klanu z wyjątkiem dotyczących wyprawy.

A rozbicie fatalnie osłabiłoby teraz ich niewielki klan. Deklay oraz ci o podobnych umysłach mogą zdecydować, że wycofają się, i nikt nie zdołałby im odmówić tego prawa.

- Przemyślimy to - powiedział Buck. - Tutaj jest żywność, woda, pastwisko dla koni, obóz dla naszych gości. Poczekają tutaj. - Spojrzał na Trávisa. - Ty zostaniesz z nimi, Fox, ponieważ znasz ich lepiej.

Pierwszą reakcją Trávisa był sprzeciw, lecz wkrótce pojął mądrość Bucka. By zaproponować sojusz, potrzebny był bezstronny mówca. A jeśli zrobiłby to on sam, Deklay mógłby automatycznie sprzeciwić się tej koncepcji. Niech mówi Buck, jego zdanie zostanie odebrane jako bardziej obiektywne.

- Dobrze - zgodził się Travis.

Buck rozejrzał się dokoła, jakby określał czas na podstawie położenia słońca i cieni na ziemi.

- Wrócimy rano, kiedy cień będzie tutaj. - Czubkiem mokasy na zrobił znak w miękkiej ziemi. Potem, bez oficjalnego pożegnania, odszedł, a reszta razem z nim.

- Czy to jest wasz wódz? - zapytała Kaydessa, wskazując za Buckiem.

- Jego głos liczy się w radzie - odpowiedział Travis. Zabrał się do budowy ogniska, aby upiec cielę dwurozca, które im pozostawiono. Menlik usiadł na piętach nad wodą, nabierając ręką wody do picia. Teraz zmrużył oczy,

- Trzeba będzie użyć wielu słów, by przekonać tego niskiego -zauważył. - Nie podobamy mu się ani my, ani twój plan. Także w Ordzie znajdują się na pewno tacy, którym się to nie spodoba. Strząsnął krople wody z palców. - Ale ja wiem, człowieku, który nazywasz siebie Lisem, że jeśli nie będziemy trzymać się razem, nie możemy mieć nadziei na pokonanie Czerwonych. - Opuścił rękę na kolano i podkreślał słowa uderzeniami. - Tak, tak, tak!

- Też tak uważam - przyznał Travis.

- Miejmy więc nadzieję, że wszyscy ludzie okażą się równie mądrzy jak my - powiedział Menlik z uśmiechem. - A ponieważ nie możemy wziąć udziału w podejmowaniu

decyzji, mamy czas na odpoczynek.

Szaman chętnie przespałby całe popołudnie, lecz kiedy zjadł, Hulagur zaczął wędrować w górę i w dół doliny, długo wycierając konie zwitkami ostatniej w tym sezonie trawy. Od czasu do czasu zatrzymywał się obok Kaydessy i mówił coś, a Travis doskonale widział jego niepokój, chociaż nie rozumiał wypowiedzianych słów.

Travis usadowił się w cieniu, na wpół drzemiąc, pozostał jednak czujny na każdy ruch trzech Tatarów. Usiłował nie myśleć o tym, co może się dzieć w ich siedzibie, zwracając myśli ku mglistej dolinie wież. Czy któraś z tych trzech obcych budowli zawiera taki skarbiec przeszłości, jaki on, Ashe i Murdock znaleźli na tamtym innym świecie, gdzie skrzydlaci ludzie zebrali dla nich artefakty starszej cywilizacji? Wtedy właśnie stworzył dla ich gospodarzy nową broń, zamieniając metalowe rurki w strzelby. To także tam trafił przypadkowo na zbiór taśm, z których jedna zaprowadziła ostatecznie Travisa i jego ludzi tutaj, na Topaz.

Nawet gdyby znalazł całe półki takich taśm w jednej z owych wież, nie byłoby możliwości wykorzystania ich, skoro statek został roztrzaskany o zbrocze góry. Ale - palce Travisa, leżące spokojnie na kolanach, zaswędziały - mogą tutaj oczekiwać ich inne rzeczy. Niechby tylko mógł je swobodnie zbadać!

Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Menlika. Szaman odwrócił się i otworzył oczy z ociężałym wysiłkiem sennego kota. Szybko zbudził się w nich błysk inteligencji.

- O co chodzi?

Travis zawahał się przez chwilę, żałując swego odruchu. Nie wiedział, jak wiele pamiętał Menlik z terażniejszości. Przypomnienie terażniejszości... Jakaś część umysłu Apacza była drwiąco rozbawiona tą zachowaną dla siebie oceną ich sytuacji. Ludzie, którzy zostali rzućeni w przeszłość swoich przodków tak dalece, że czas terażniejszy był mniej realny niż sennie uwarunkowania, mieli trudności w ocenie jakiegokolwiek sytuacji. Ponieważ jednak Menlik przypominał sobie język angielski, musiał znajdować się niezbyt nisko na owych schodach.

- Po raz pierwszy spotkaliśmy was, Kaydessę i ciebie, nieopodal tej doliny. - Travis nadal nie był pewien, czy powinien zadawać jakiegokolwiek pytania, lecz obóz tatarski znajdował się blisko wież, uważał więc za bardzo prawdopodobne, że Mongołowie zbadali je. - Znajdowały się w niej budowle... bardzo stare...

Menlik wzmógł czujność. Wziął do ręki swoją różdżkę i, bawiąc się nią, powiedział:

- To jest albo było bardzo potężne miejsce, Fox. Och, wiem, że podajesz w wątpliwość moją wież z duchami i moc, jaką one dają. Ale człowiek uczy się, że nie należy dyskutować z tym, co ktoś inny czuje tu... i tu... Jego długie, trochę zabrudzone palce powędrowały w stronę czoła, a następnie ku nagiej, brązowej piersi, gdzie znajdowało się rozcięcie koszuli. - Szedłem przez tę dolinę kamienną ścieżką i usłyszałem tam szepty.

- Szepty?

Menlik obrócił różdżką.

- Szepty, zbyt ciche, by uszy niektórych zdołały je zrozumieć. Można słyszeć je tak, jak się słyszy brzęczenie owada, ale nie rozróżniać słów! W tym miejscu zgromadziły się potężne moce!

- Trzeba je zbadać!

Menlik patrzył tylko na swoją różdżkę.

- Zastanawiam się nad tym, Fox, naprawdę się zastanawiam. To nie jest nasz świat. I tutaj może znajdować się coś, co nie powita nas życzliwie.

Czy to szamańskie sztuczki, czy też rzeczywiste rozpoznanie czegoś nie dającego się

opisać przez człowieka? Travis nie miał pewności, lecz wiedział, że musi powrócić w dolinę i przekonać się sam.

- Posłuchaj - powiedział Menlik, pochylając się bliżej. - Słyszałem twoją opowieść. Mówiłeś, że byłeś na tym pierwszym statku, który zabrał cię bez twojej wiedzy na starodawne gwiazdne szlaki. Czy kiedykolwiek widziałeś coś podobnego?

Wyglądził powierzchnię miękkiej ziemi i zaczął rysować wąskim koniuszkiem różdżki. Bez względu na to, jaką rolę odgrywał Menlik w teraźniejszości, zanim przeistoczono go w szamana Ordy, musiał mieć zdolności plastyczne, ponieważ za pomocą niewielkiej ilości kresek zdołał narysować wyrazistą postać.

Był to mężczyzna lub przynajmniej sylwetka mająca ogólne zarysy człowieka. Łysa, trochę zbyt wielka czaszka była naga, a obcisłe niczym druga skóra ubranie ujawniało nienaturalnie cienkie kończyny. Wielkie oczy, mały nos i usta, jakby wciśnięte w niższą część twarzy, wywoływały wrażenie, że znajdująca się powyżej mózgo- czaszka jest nadmiernie rozdęta. Sylwetka ta wydała się Indianinowi znajoma.

Z pewnością nie byli to latający ludzie z innego świata ani nocne niby- małpy. Lecz mimo wszystkich obcych cech postaci, Travis miał pewność, że widział już kogoś podobnego. Zamknął oczy i usiłował przypomnieć go sobie, niezależnie od szkicu narysowanego na ziemi.

Taka głowa, biała, jakby pozbawiona skóry, leżąca z twarzą skierowaną do dołu na kościstym ramieniu odzianym w błękitno-purpurowy, obcisły rękaw... Gdzie on to widział?

Apacz przypomniał sobie wszystko i wydał urwany okrzyk. Ów opuszczony statek kosmiczny, wtedy, gdy natrafił na niego po raz pierwszy; martwy oficer z innej planety, nadal siedzący przy pulpicie sterowniczym! Ten obcy uruchomił taśmę, która zabrała ich do tamtego zapomnianego imperium - rysunek Menlika przedstawiał właśnie jego!

- Gdzie? Gdzie go widziałeś? - Apacz pochylił się nad Tatarem. Menlik wyglądał na zmartwionego.

- Pojawił się w moim umyśle, kiedy spacerowałem doliną. Wydawało mi się, jakbym dostrzegł taką twarz w którymś z okien wieży, ale nie jestem tego pewien. Kto to jest?

- Ktoś z dawnych dni, jeden z tamtych, którzy kiedyś władali gwiazdami - odpowiedział Travis. Czy nadal są tutaj, jako pozostałość cywilizacji, przeżywającej swój rozkwit przed tysiącem lat? Czy Łysawcy, setki lat temu tak bezwzględnie ścigający Rosjan, którzy ośmielili się ograbić ich rozbite statki, nadal przebywali na Topazie?

Przypomniał sobie historię ucieczki Rossa Murdocka od owych kosmitów w dawnej przeszłości Europy i zadrżał. Murdock był twardy, twardy jak stal, lecz z jego opisu tej popisowej ucieczki oraz finalnego spotkania przebijał paniczny strach. Co mogła teraz zrobić garstka prymitywnie uzbrojonych Ziemiaków, gdyby musieli walczyć o Topaz z Łysawcami?

- Dalej nie idziemy. - Menlik doszedł do samej granicy urwiska i podniósł ostrzegawczo palec.

- Powiedziałeś przecież, że obóz twoich ludzi znajduje się daleko stąd, na równinie.

Jil-Lee klęczał na jednym kolanie, spoglądając przez lornetkę przyniesioną z rozbitego statku. Podał ją Travisowi. Nie można było dostrzec nic poza marszczącymi się bursztynowymi falami wysokich traw oraz zagajnikiem drzew u stóp wzgórz.

Dotarli tu wczesnym rankiem, po sforsowaniu przełęczy i długim marszu przez obszar znany banitom. Stąd mogli badać sporny teren, który, jak to z uporem twierdzili tymczasowi sojusznicy Indian, w pełni kontrolowali Rosjanie.

Ów niełatwy sojusz był rezultatem konferencji na południu. Travis od początku zdawał sobie sprawę, iż nie może mieć nadziei, że zobowiąże klan do realizacji jakiegokolwiek ustalonego planu. Nawet wystawienie tego oddziału zwiadowczego wbrew uporczywej odmowie Deklaya i jego popleczników było nie lada osiągnięciem. Wspólną akcję na pomocy podjęło sześciu Apaczy.

- Teren za tą granicą - powiedział stanowczo Menlik - znajduje się pod stałą obserwacją i tam mogą kontrolować nas za pomocą przywoływacza.

- Co o tym sądzisz? - Travis przekazał lornetkę Nolanowi. Jeśli mieliby wybrać spośród siebie wojennego wodza, ten gibki mężczyzna, wysoki jak na Apacza i powolny w mowie, mógłby pełnić tę rolę. Nolan nastawił ostrość i zaczął szczegółowo badać terytorium. Nagle zeszywniał jego usta, widoczne spod lornetki, zacisnęły się.

- Co tam jest? - zapytał Jil-Lee.

- Jeźdźcy. Dwóch... czterech... pięciu... Oprócz nich coś jeszcze unosi się w powietrzu.

Menlik szarpnął się do tyłu i złapał Nolana za ramię, ciągnąc go na ziemię całym ciężarem swego ciała.

- Latacz! Wraca, wraca! - Nadal ciągnął Nolana, szturchając jedną stopą Trávisa, podczas gdy Apacze wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

Szaman wykrzyknął coś we własnym języku, a następnie, widocznie odzyskując władzę nad sobą, znowu przemówił po angielsku.

- To są myśliwi i mają ze sobą przywoływacz. Albo ktoś jeszcze im uciekł, albo są zdecydowani odnaleźć nasz obóz w górach. Jil-Lee spojrział na Trávisa.

- Czy odczuwałeś coś, kiedy kobieta znajdowała się pod wpływem tej magii?

Travis zaprzeczył. Jil-Lee kiwnął głową i powiedział do szamana:

- Zostaniemy tutaj i będziemy obserwować. Ale skoro to jest dla was złe - idźcie stąd. Spotkamy się w pobliżu wież. Zgoda?

Twarz Menlika przez chwilę miała nieprzenikniony wyraz, który Travis usiłował zrozumieć. Czy była to uraza spowodowana tym, że on musi się wycofać, podczas gdy inni mogą pozostać na swoich pozycjach? Czyżby Tatarzy uważali, że w ten sposób tracą twarz? Ale szaman wydał mruknięcie, które wzięli za oznakę zgody, i zniknął za krawędzią punktu obserwacyjnego. Chwilę później usłyszeli, jak mówi w mongolskim języku, ostrzegając Hulagura i Lotchu, towarzyszących mu na zwiadach. Następnie dał się słyszeć stukot kopyt, kiedy odjeżdżali na swych wierzchowcach.

Apacze znowu usadowili się we wgłębieniu, które dawało im szeroki widok na równinę. Wkrótce mogli już bez lornetki dostrzec przybliżającą się grupę myśliwych - pięciu

jeźdźców. Czterej nosili tatarskie ubiory. Piąty miał tak dziwną sylwetkę, że Travisowi przypomniał się wykonany przez Menlika rysunek kosmity. Przyglądając się dokładniej przez lornetkę, dostrzegł, że jeździec był wyposażony w pudło przymocowane między ramionami oraz bulwiasty hełm przykrywający większą część głowy. Specjalistyczny sprzęt służący do porozumiewania się, pomyślał Travis.

- Nad nami leci helikopter - powiedział Nolan. - Ma inny kształt niż nasze maszyny.

Na Ziemi zdołali dobrze zaznajomić się z helikopterami. Ranczerzy wykorzystywali je do inspekcji terenu, a wszyscy indiańscy ochotnicy umieli nimi latać. Nolan miał jednak rację: ten śmigłowiec posiadał wiele nieznanymi cech.

- Tatarzy twierdzą, że tamci nie zabierają się tym daleko w góry - Jil-Lee zamyślił się. - To by wyjaśniało, dlaczego ich człowiek jedzie wierzchem - dociera tam, gdzie trudno dolecieć.

Nolan dotknął palcem swojego łuku.

- Skoro ci Czerwoni są tak zależni od tej maszyny, jeśli chodzi o kontrolowanie ludzi, których szukają, może dadzą się zaskoczyć.

- Ale jeszcze nie teraz! - powiedział Travis ostro.

Nolan zmarszczył czoło. Jil-Lee zachichotał.

- Młodszy bracie, nie mamy aż tak ciemno przed oczami, żebyś musiał oświetlać nam drogę!

Travis powstrzymał się od repliki, uznając słuszność tej reprimendy. Nie miał prawa sądzić, że tylko on jeden wie, jak postępować z wrogiem. Przeżuwając gorycz tej konstatacji, leżał cicho wraz z innymi i obserwował, jak jeźdźcy wkraczają na pogórze jakieś ćwierć mili na zachód.

Helikopter krążył teraz nad grupą mężczyzn wjeżdżających w rozpadlinę pomiędzy dwoma wzniesieniami. Kiedy nie można ich było dostrzec, pilot zataczał szersze koła i Travis pomyślał, że załoga śmigłowca utrzymuje zapewne łączność z tym spośród piątki na ziemi, którzy nosi na głowie hełm.

Poruszył się.

- Kierują się w stronę obozu Tatarów, jakby dokładnie wiedzieli, gdzie się znajduje.

- To również może być prawdą - odrzekł Nolan. - Cóż my wiemy o tych Tatarach? Powiedzieli nam prosto z mostu, że Czerwoni potrafią trzymać ich na mentalnej uwięzi, kiedy zechcą. Już mogą być związani w ten sposób. Myślę, że trzeba wracać do naszego kraju. - Podkreślił stanowczość swojego stwierdzenia, wręczając lornetkę Jil-Lee i zsuwając się z ich stanowiska obserwacyjnego.

Travis spojrzał na pozostałych. Do pewnego stopnia mógł zrozumieć, że sugestia Nolana jest całkiem rozsądna. Był jednak pewny, że wycofanie się teraz oznacza jedynie odwołanie kłopotu. Prędzej czy później Apacze będą musieli przeciwstawić się Czerwonym, a jeśli mogliby to zrobić teraz, kiedy wróg jest zajęty problemami, jakich przysparzają im Tatarzy, byłoby to o wiele łatwiejsze.

Jil-Lee poszedł w ślady Nolana. Travis poczuł wewnętrzny sprzeciw. Obserwował krążący helikopter. Skoro maszyna latała nad terenem, na którym przebywali jeźdźcy, tamci albo ściągnęli koniom cugle, albo przeszukiwali jakąś niewielką część pogórza.

Travis niechętnie zszedł do zagłębienia, gdzie stał Jil-Lee razem z Nolanem. Tsoay, Lupe i Ropę znajdowali się nieco z boku, tak jakby ostateczne rozkazy mieli wydać starsi.

- Byłoby dobrze - powiedział wolno Jil-Lee - gdyby udało się nam zobaczyć, jaką mają broń. Chciałbym spojrzeć z bliższej odległości na wyposażenie tego w hełmie. Również i ja -

uśmiechnął się do Nolana - nie sędzę, że mogły wykryć obecność wojowników Ludu, o ile my sami tego nie zechcemy.

Nolan przesunął palcem po zakrzywieniu swojego łuku, rzucił badawcze spojrzenie w prawo i w lewo na ogólne zarysy otaczającego ich krajobrazu.

- W tym, co mówisz, starszy bracie, zawarta jest mądrość. Tylko że powinniśmy iść tym szlakiem sami, tak aby ludzie w futrzanych kapeluszach nie dowiedzieli się o tym, dokąd idziemy. - Spojrzał znacząco w kierunku Trávisa.

- Mądrość przemawia przez ciebie, Ba 'is 'a - odrzekł krótko Travis, nazywając Nolana starym tytułem, jakim zwracano się do przywódcy wojennego oddziału.

Ruszyli na południowy wschód, w takim kierunku, żeby przeciąć szlak wrogiego oddziału myśliwych. Żaden z pięciu jeźdźców nie podjął jakichkolwiek starań, by zamaskować swój ślad. Wszyscy poruszali się z pewnością ludzi, którzy nie muszą obawiać się żadnego ataku.

Apacze spojrzeli w górę z ukrycia. Dochodziło do nich słabe buczenie helikoptera. Jak poinformował Travis z wyżej położonego punktu obserwacyjnego, krążył nadal, trzymając się obszaru ponad równiną. - Jeźdźcy musieli już minąć granicę strzeżoną przez powietrznego wartownika.

Apacze przybliżali się, po trzech z każdej strony szlaku znaczonego śladami. Kiedy dogonili myśliwych, starannie się ukryli. Czterech Tatarów tworzyło zwartą grupkę, piąty zaś mężczyzna, mocno obciążony swym ładunkiem, zszedł z siodła i siedział na ziemi. Majstrował coś przy płaskiej płytce, umieszczonej na piersiach.

Travis miał teraz okazję przyjrzeć się im z bliska. Zauważył, że szerokie twarze Tatarów są pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Czterej mężczyźni o tępych spojrzeniach, siedzieli okrakiem na wierzchołkach, sprawiając wrażenie, jakby nie wiedzieli, co się znajduje dookoła. Nagle jak jeden mąż zwrócili ręce w kierunku przywódcy w hełmie, po czym zeszli z koni i na długą chwilę stanęli nieruchomo, w postawie przypominającej Travisowi kojoty w chwili, gdy przekazują mu wiadomość. Nie zdradzali jednak oznak inteligencji cechującej zwierzęta.

Ręka mężczyzny w hełmie przesunęła się po płytce na piersiach i nagle jego towarzysze nabrali życia. Jeden przyłożył dłoń do czoła w dziwnym, na wpół przytomnym geście. Drugi usiadł w kucki, wykrzywiając usta i warcząc. Przywódca spojrział na niego, zaśmiał się, po czym rzucił rozkaz, trzymając rękę na płytce kontrolnej.

Jeden z czwórki chwycił lejce i popędził szybko na koniu do pobliskich zarośli. Następnie jak jeden mąż zaczęli biec do przodu, a Czerwony trzymał się z tym, kilka kroków za Tatarzem znajdującym się najbliżej niego. Wspinali się po zboczu na wierzchołek małego grzbietu górskiego.

Tatar, który dotarł na szczyt pierwszy, przykrył ręką usta i posłał dźwięczny okrzyk w kierunku południowym. Słabe "hu-hu-hu" odbijało się echem od jednego do drugiego wzgórza.

Jednak albo Menlik dotarł na czas do obozu, albo jego ludzie nie dawali się tak łatwo zwabić - myśliwi czekali długo, lecz nikt nie odpowiedział na to wołanie. W końcu człowiek w hełmie przywołał swoich jeńców, z ponurym wyrazem twarzy sprowadził ich na dół. Kazał dosiąść koni i jechać znowu. To posunięcie odpowiadało Apaczom.

Nie potrafili określić, na jaką odległość jeźdźcy porozumieli się z helikopterem. Wrogowie nadal znajdowali się zbyt blisko równin, by można było ich zaatakować, chyba że stało by się to konieczne ze względu na obronę własną. Travis zszedł na dół, by dołączyć do Nolana.

- Kieruje nimi za pomocą tej płyty na piersiach - powiedział. - Kiedy uda się ich schwytać, trzeba będzie rozgryźć jej działanie.

- Ci Tatarzy używają w walce lassa. Pamiętasz, jak złapali cię na linę, niczym cielaka prowadzonego na znakowanie? Dlaczego więc tak samo nie schwytają tych Czerwonych, przywiązując ich ramiona do tułowia? - W głosie Nolana wyraźnie brzmiało podejrzenie.

- Być może mają w sobie jakieś urządzenie kontrolne, sprawiające, że nie mogą zaatakować swoich władców.

- Nie podobają mi się maszyny, które działają w ten sposób, i to zarówno na umysły, jak i ciała! - wybuchnął Nolan. - Człowiek powinien wyłącznie używać broni, nie zaś być tą bronią!

Travis zgadzał się z tym.

A może dzięki katastrofie ich statku i śmierci Ruthvena udało im się uniknąć takiej samej egzystencji, jaką cierpieli teraz owi Tatarzy? A jeśli tak, to z jakiego powodu? I on sam, i Apacze byli ochotnikami, zapalonymi i gotowymi zakładać kolonie na nowych światach. Co się stało tam, na Ziemi, że zostali wysłani w tak bezwzględny sposób, bez uprzedzenia i pod wpływem redaxu? Kolejny mały kawałek układanki czy może sedno całego obrazu... Czy projekt przewidywał ewentualność istnienia na Topazie tatarskiej osady i z tego względu należało przyspieszyć przeistoczenie Amerykanów z końca XX wieku w prymitywny lud? To by wiele wyjaśniało!

Travis gwałtownie powrócił do chwili obecnej, gdy spojrzął na znajdujący się przed nim szczyt. Tropiony przez nich oddział kierował się prosto w stronę kryjówki banitów. Travis miał nadzieję, że Menlik w porę ostrzegł swych pobratymców. Tamta ściana urwiska po lewej stronie kryła z pewnością dolinę wież, chociaż to szczególne miejsce znajdowało się jeszcze daleko. Travis sądził, że nie uda im się dotrzeć do celu, chyba że podróżowaliby nocą. Być może nie wiedzieli o niby-małpach, które mogły zagrozić im w ciemnościach.

Wróg jednak, wiedząc o tego rodzaju zagrożeniach czy też nie, najwidoczniej nie zamierzał zrezygnować. Kiedy słońce schowało się za widnokrąg i ukryło w cieniach szczeliny i pęknięcia, myśliwi zatrzymali się, by założyć obóz. Apacze, jak to zawsze robili, gdy wkroczyli na wojenną ścieżkę, zebrali się na wzniesieniach powyżej.

- Chyba temu Czerwonemu wydaje się, iż ci, których szuka, będą siedzieć i czekać na niego, jakby ich stopy były przygwożdżone do pułapki - zauważył Tsoay.

- Pinda-lick-o-yi - dodał Lupę - zawsze sądzą, że są lepsi od wszystkich innych. - Ten tutaj jest jednak głupim durniem, pchającym się prosto w ramiona niedźwiedzicy, co opiekuje się swoim młodym - zachichotał.

- Człowiek, który ma strzelbę, nie obawia się człowieka uzbrojonego tylko w kij - wtrącił się szybko Travis. - Ten tutaj dysponuje taką bronią, że ma dobry powód, by sądzić, iż żaden atak mu nie zagrozi. Kiedy dzisiaj w nocy będzie odpoczywał, prawdopodobnie pozostawi na straży swoją maszynę.

- Przynajmniej jednego jesteśmy pewni - powiedział Nolan, także o tym przekonany. - Ten tutaj nie podejrzewa, że na tych wzgórzach oprócz ludzi, którymi może kierować, jest jeszcze ktoś. A ta maszyna na nas nie działa. O świcie więc... - wykonał szybki gest, a pozostali uśmiechnęli się zgodnie.

O świcie - tak postępowali w dawnych czasach. Apacz nie atakuje nocą. Travis nie był pewien, czy którykolwiek z nich mógłby przełamać to starodawne tabu i podpełznąć pod obóz przed nadejściem nowego światła.

Jutro rano schwytają jednak tego zadufanego w sobie Czerwonego i pozbawią go owej

maszyny, która robi z ludzi niewolników.

Głową Trávisa nagle szarpnęło, jakby otrzymał cios pomiędzy oczy. Co... co to mogło być? Uderzenie nie było fizyczne - nie, to by go tylko ogłuszyło, lecz całkiem niematerialne. Napiął ciało, czekając, że zjawisko powróci. Gorączkowo usiłował zrozumieć, co się stało w tej chwili zawrotu głowy i pozornego wyrzucenia z ciała. Nigdy nie doświadczył czegoś podobnego - a może jednak? Przed dwoma lub więcej laty, kiedy został przeniesiony w czasie, by znaleźć się w Arizonie w otoczeniu ludzi z kultury Folsom sprzed dziesięciu tysięcy lat, pamięta, że wrażenie w momencie transferu było podobne. Ogarnęło go wtedy uczucie chaosu w czasie i w przestrzeni bez możliwości znalezienia jakiegoś stałego punktu oparcia.

Tym razem jednak mógł dotknąć skały, na której leżał, a zasnuty cieniami krajobraz nie zmienił się ani na jotę. Drżał w przypiływie ogarniającej go paniki, a miejsce uderzenia paliło niczym otwarta rana.

Travis wziął głęboki oddech, niemal zaszlochał i podniósł się na łokciu, by obserwować w skupieniu obóz wroga. Czy był to atak jakiejś nieznannej broni? Nagle nie miał już całkowitej pewności, co się przydarzy, kiedy Apacze dokonają porannego ataku.

Jil-Lee znajdował się na stanowisku po jego prawej stronie. Travis wiedział, iż musi porównać to, co sam zauważył, z jego spostrzeżeniami, aby upewnić się, że to nie jest pułapka. Lepiej wycofać się teraz, niż dać się złowić jak ryba w sieci. Wypełzył ze swej kryjówki, wydał świergotliwy sygnał imitujący śpiew puchatej kulki i usłyszał odpowiedź Jil-Lee w formie sprytnie naśladowanego głosu nocnego owada.

- Odczuwasz w tej chwili w głowie coś szczególnego? - zapytał go Travis, wiedząc, że trudno jest określić to wrażenie słowami.

- Nie. A ty?

- Tak, oczywiście! - Pozostałości tego czegoś, owo uczucie strachu, nadal w nim tkwiło.
- Czuję coś.

- Maszyna?

- Nie wiem - zmieszanie Trávisa rosło. A może z całej grupy tylko on został tym dotknięty? Jeśli tak, to mógł stanowić zagrożenie dla własnych towarzyszy.

- Nie jest dobrze. Chyba powinniśmy odbyć naradę, z dala od tego miejsca.

Szept Jil-Lee był zaledwie tchnieniem dźwięku. Zaćwierkał znów, a z góry odpowiedział mu Tsoay, który przekazał sygnał dalej.

Pierwszy księżyc znajdował się wysoko na niebie, kiedy Apacze zgromadzili się razem. Travis znowu zadał pytanie: czy ktokolwiek poczuł dziwny atak? Wszyscy zaprzeczyli.

Ostatnie słowo należało jednak do Nolana:

- Nie jest dobrze - powtórzył komentarz Jil-Lee. - Jeśli to było działanie maszyny Czerwonego, może nas zagarnąć w sieć razem z tymi, których szuka. Możliwe, że im dłużej pozostaje się w pobliżu tego urządzenia, tym większy wpływ ono wywiera. Zostaniemy tutaj do świtu. Jeśli wróg miałby dotrzeć do upatrzonego miejsca, musi przejść poniżej nas, gdyż jest to najłatwiejsza droga. Obciążony maszyną Czerwony zawsze wybiera najłatwiejszą drogę. Zobaczymy więc, czy dysponuje także obroną przed tymi, którzy przychodzą bez ostrzeżenia. - Dotknął strzał w swym kołczanie.

Zabicie z zasadzki oznaczało, że mogli nigdy nie poznać tajemnicy maszyny mentalnej, lecz doświadczywszy jej działania na własnej skórze, Travis musiał przyznać, że ostrożność Nolana była świadectwem mądrości. Nie chciał, aby dopuścić do drugiego ataku podobnego do tego, który tak nim wstrząsnął. Nolan nie zarządził jednak całkowitego odwrotu. Wódz uważał zapewne, podobnie jak Travis, że jeśli maszyna może wywierać wpływ na Apacze, musi

przestać funkcjonować.

Urządzili zasadzkę z odziedziczoną po dawnych czasach wprawą, którą redax przeszczerpił do ich pamięci. Potem nie pozostało im nic innego, jak tylko czekać.

Minęła godzina od świtu, kiedy Tsoay zasygnalizował, że zbliża się wróg, i wkrótce potem usłyszeli stukot końskich kopyt. Ukazał się pierwszy Tatar. Z ułożenia jego ciała na siodle Travis wywnioskował, że Czerwony sprawuje nad nim pełną kontrolę. Dwóch, a następnie trzech Tatarów weszło w paszczę indiańskiej zasadzki. Po dłuższej przerwie ukazał się czwarty jeździec.

Wreszcie nadjechał Czerwony. Jego twarz pod balonem hełmu nie wyrażała zadowolenia. Travis uznał, że jazda na koniu nie jest jego ulubionym zajęciem. Apacz napiął łuk i na świergotliwy sygnał Nolana, razem z innymi członkami klanu, wystrzelił.

Tylko jedna strzała trafiła w cel. Koń Czerwonego zarżał z bólu i strachu, stanął dęba, wymachując kopytami w powietrzu, po czym przewrócił się w tył, przygwałdzając sobą krzyczącego jeźdźca.

Czerwony miał dobre zabezpieczenie, coś, co w jakiś sposób odbijało strzały. Ta ochrona sprawiła, że poważne rany odniósł wierzgający teraz koń.

Tatarzy wili się i skręcali w konwulsjach, wydawali straszliwe dźwięki, a wreszcie zsunęli się z siodła i padli bezwładnie na ziemię, tak jakby strzały skierowane w ich pana trafiły każdego z nich w serce.

Czerwony albo miał szczęście, albo reagował bardzo szybko. Wyturlał się jakoś spod wierzgającego konia. Tymczasem Lupe wyskoczył zza skały z nożem w ręce. W oczach Apaczy mężczyzna w hełmie stanowił łatwy łup dla atakującego Lupe'a. Nie podniósł nawet ramienia, by się obronić, tylko jedna ręka leżała swobodnie na płycie znajdującej się na jego piersi.

Ale kiedy nóż był jeszcze w odległości sześciu cali od przeciwnika, młody Apacz potknął się i cofnął, jakby natknął się na niewidzialny mur. Lupe krzyknął, porażony drugim uderzeniem, gdy drugą ręką Czerwony wystrzelił z automatu.

Travis rzucił łuk i użył broni najbardziej prymitywnej ze wszystkich. Zacisnął dłoń na kamieniu i cisnął owalny kształt prosto w hełm, wyraźnie odznaczający się na tle skał.

Podobnie jak nóż Lupe'a, również kamień został odbity zanim dotknął ciała - Czerwonego chroniło jakieś zabezpieczające pole. To było coś, z czym Apacze na pewno dotąd się nie spotkali. Gwizd Nolana wezwał ich do odwrotu.

Czerwony wystrzelił znowu z ręcznego pistoletu z ostrym i donośnym dźwiękiem. Nie miał żadnego widocznego celu, ponieważ, z wyjątkiem Lupe'a, wszyscy Apacze zapadli się w ziemię, został więc sam pomiędzy skałami, Czerwony usiłował wstać, lecz poruszał się wolno, oszczędzając swój bok i jedną nogę - nie wyszedł całkiem bez szwanku po tym, jak upadł razem z koniem.

Uzbrojony wróg, którego nie można dotknąć, a przy tym wie, że w tych stronach znajdują się nie tylko banici. Czerwony dowódca stanowił teraz dla Apaczów o wiele większe zagrożenie niż przedtem. Nie można było dopuścić, by uciekł.

Wróg schował broń do kabury. Poruszał się z jedną ręką opartą o skałę, by utrzymać równowagę, i usiłował dotrzeć do jednego z koni stojących ze zwisającymi lejcami obok bezwładnych Tatarów,

Kiedy dotarł do dalszego odcinka skały, musiał poświęcić albo swój zapewniający stabilność uchwyt, albo dotyk płyty na piersi, na której spoczywała druga jego ręka. Czy w związku z tym przez chwilę pozostanie bezbronny?

Koń!

Travis nałożył strzałę na łuk i strzelił. Nie w Czerwonego, który przestał opierać się o skałę, gdyż wolał chwiać się, niż stracić kontrolę nad płytą na piersi, lecz w powietrze tuż przed nosem wierzchowca.

Koń zarżał dziko, usiłując odwrócić się, a jego rzemień zaczepił o wyciągniętą wolną rękę Czerwonego i pociągnął mężczyznę dookoła, a potem w tył, tak że ten wyrzucił w górę obie ręce, usiłując odepchnąć się od skał. Wówczas koń uciekł w popłochu w dół rozpadliny, a pozostałe, ogarnięte tą samą gorączką, pobiegły szalonym pędem. Czerwony mocno uchwycił się głazu.

Stał tam nadal, aż wszystkie konie, z wyjątkiem rannego wierzchowca, który wciąż wierzgał bezskutecznie, uciekły. Travis doznał uczucia ulgi. Nie udało im się schwytać Czerwonego, lecz został on ranny i musiał poruszać się na piechotę, co mogło sprawić, iż wkrótce będzie w takim stanie, że Apacze dadzą sobie z nim radę.

Wróg był najwyraźniej świadom tego, bo wydostał się spomiędzy skał i pokuśtykał za końmi. Ale postawił tylko jeden czy dwa kroki. Potem, opierając się jeszcze raz o odpowiedni głaz, zaczął manipulować przy płycie na piersi.

Nolan bezszelestnie pojawił się obok Trávisa.

- Co on robi? - Usta przybliżył do ucha mężczyzny, a jego głos był zaledwie tchnieniem,

Travis lekko potrząsnął głową. Działania Czerwonego stanowiły dlań całkowitą tajemnicę. Chyba że, niesprawny teraz i pozbawiony konia, usiłował wezwać pomoc. Lecz tutaj nie było miejsca, gdzie mógłby wylądować helikopter.

Teraz nadszedł odpowiedni moment, by spróbować dotrzeć do Lupe'a. Travis dostrzegł lekki ruch dłoni leżącego Apacza, pierwszy znak, że wrogi strzał nie miał tak fatalnych skutków, jak to przedtem wyglądało. Dotknął ramienia Nolana, wskazując na Lupe'a, a następnie położył łuk i kołczan obok wojennego wodza i ruszył do akcji.

Po drodze musiał minąć jednego z Tatarów, lecz żaden z członków tego plemienia nie dawał znaku życia, odkąd spadli z siodeł podczas pierwszego ataku Apaczów.

Z niesłychaną ostrożnością Travis zszedł niżej i ruszył wąskim przejściem pomiędzy zaroślami a głazem. Zatrzymał się tylko wtedy, gdy dotarł do leżącego Tataru, aby krótko przyjrzeć się potencjalnemu wrogowi.

Szczupła brązowa twarz była na wpół odwrócona, jeden policzek spoczywał na piasku, ale widząc zwiotczałe usta i zamknięte oczy, Travis uznał, że mężczyzna jest już trupem. Za pomocą diabelskiej maszyny Czerwony zlikwidował zapewne swych czterech niewolników - być może sądząc, że mieli jakiś udział w indiańskim ataku.

Travis dotarł do skały, na której leżał Lupe. Wiedział, że Nolan obserwuje Czerwonego i ostrzegłby go, jeśli ten nagle zainteresowałby się czymś poza swoją maszyną. Apacz wyciągnął ręce i schwycił Lupe'a za kostki. Pod wpływem jego dotyku mięśnie chłopca naprężyły się. Oczy Lupe'a były otwarte i skierowane teraz na Trávisa. Nad prawym uchem miał krwawiącą bruzdę. Czerwony zaryzykował trudny strzał w głowę i chybił celu zaledwie o ułamek cała.

Lupe wykonał gwałtowny ruch, ale Travis był na to przygotowany. Przyłgnął do ciała towarzysza, co pozwoliło obu przetoczyć się za skałę, która znajdowała się pomiędzy nimi a Czerwonym. Widniała na niej szczerba od drugiego strzału i kamienny miał odstrzelony z boku głazu. Leżeli tak razem, w tej chwili bezpieczni, gdyż Travis był pewien, że wróg nie zaryzykowałby otwartego ataku na ich małą fortecę.

Przy pomocy Trávisa Lupe dotarł do miejsca, gdzie czekał Nolan. Był tam także Jil-Lee, który dokonał fachowych oględzin rany chłopca.

- To tylko draśnięcie - stwierdził. - Głowa może boleć, ale uszkodzenie nie jest wielkie. Pozostanie ci chyba blizna, wojowniku! - Szturchnął Lupe'a w ramię, pragnąc podnieść go w ten sposób na duchu, po czym założył na ranę opatrunek.

- Teraz możemy iść! - zakomunikował stanowczo swoją decyzję Nolan.

- Czerwony widział wystarczająco dużo, by zorientować się, że nie jesteśmy Tatarami.

Nolan zwrócił się do Trávisa z zimnym wyrazem oczu i zaciśniętymi w grymasie wargami.

- A w jaki sposób mielibyśmy go pokonać?

- Jest otoczony murem, którego nie jesteśmy w stanie zobaczyć - wtrącił się Lupe. - Kiedy usiłowałem się na niego rzucić, nie mogłem się przebić!

- Człowiek posiadający niewidzialną tarczę i broń - dołączył się do dyskusji Jil-Lee. - W jaki sposób chciałbyś się z nim uporać?

- Nie wiem - przyznał Travis. Nadal jednak uważał, że jeśli się wycofają, zostawiając tutaj Czerwonego i pozwalając, by odnaleźli go jego ludzie, wróg natychmiast rozpocznie

badanie południowej krainy. Może, pchani potrzebą dowiedzenia się czegoś więcej na temat Apaczy, przelecą helikopterem ponad górami. Od najbliższej przyszłości tego jednego człowieka zależało, czy nad Apaczami zawiśnie, czy też nie, śmiertelne zagrożenie.

- Jest ranny, nie zajdzie daleko na piechotę. A nawet jeśli wezwie helikopter, nie ma tu możliwości wylądowania. Będzie musiał powędrować w inne miejsce, żeby go podjęto - Travis rozmyślał głośno, znajdując argumenty przemawiające na ich korzyść.

Tsoay wskazał głową w kierunku krawędzi wąwozu.

- Wszędzie tutaj są skały, a skały mogą się toczyć. Rozpocznijmy więc budowę zjeżdżalni...

Coś w duszy Travisa wzdragało się przed tym. Od początku chciał honorowo rozstrzygnąć walkę z Czerwonym, broń przeciwko broni, człowiek przeciwko człowiekowi. Chciał także wziąć jeńca, nie zaś stanąć nad ciałem. Ale wykorzystywanie możliwości, stwarzanych przez naturalne ukształtowanie terenu, stanowiło najstarszą ze wszystkich sztuczek Apaczów i właśnie ją byli zmuszeni zastosować.

Nolan już skinął głową na znak zgody, a Tsoay i Jil-Lee zaczęli działać. Mimo że Czerwony ma urządzenie wytwarzające tarczę ochronną, czy sprawdzi się ono w przypadku osunięcia się terenu? Wszyscy w to wąpili.

Apacze dotarli do brzegu urwiska, nie wystawiając się na ogień przeciwnika. Czerwony nadal siedział tam spokojnie. Oparł się plecami o skałę, a rękami wykonywał jakieś działania przy sprzęcie, jakby miał nieskończenie wiele czasu.

Nagle doszedł ich krzyk wyrrywający się z więcej niż jednego gardła.

- Dar-u-gar! - Był to starodawny okrzyk wojenny mongolskich ord. Ponad krawędzią drugiego zbocza narastała fala ludzi z wyciągniętymi szablami i błyskiem w oczach. Kierowali się w stronę Indian z całkowitym lekceważeniem osobistego bezpieczeństwa. Na czele znajdował się Menlik Jego szata trzepotała poniżej pasa niczym skrzydła jakiegoś olbrzymiego drapieżnego ptaka. Hulagur... Jaga-tai... mężczyźni z obozu banitów. Nacierali nie po to, żeby zniszczyć swojego rannego władcę znajdującego się w dolinie poniżej, ale by zmieść Apaczy!

Tylko to, że Indianie byli już ukryci za skałami, które w trudzie starali się wyrwać z ziemi, dało im cenne chwile na zastanowienie się. Nie mieli czasu, by złożyć się do strzału z łuków. Aby przeciwstawić się szablom Tatarów, mogli użyć wyłącznie noży. Na ich korzyść przemawiało to, że przystępowali do walki z nie przyćmionymi umysłami.

- Trzyma ich pod kontrolą! - Travis trącił w ramię Jil-Lee. - Dostałmy jego, a pozostali się zatrzymają!

Nie czekał, by sprawdzić, czy drugi Apacz zrozumiał. Rzucił się całym ciałem na skałę, która miała pociągnąć za sobą lawinę. Ruszyła w dół, pchając przed sobą i pociągając z tyłu resztę spiętrzonych kamieni. Travis potknął się, upadł na płask, a wtedy spadło na niego jakieś ciało. Walczył o życie, usiłując odepchnąć ostrze od swojego gardła. Wokół niego rozlegały się krzyki wojowników, kiedy nagle uciszył wszystko ryk dobiegający z dołu.

Travis ujrzał szkliste oczy znajdujące się zaledwie o stopę od jego twarzy, wykrzywione, dyszące usta wysyłające oddechy prosto w jego nozdrza. Nagle w oczach tych znowu pojawiła się świadomość, a oszołomienie przeistoczyło się w strach... panikę... Tatarzyn zwił się w uścisku Travisa, teraz nie próbując już atakować. Kiedy Apacz rozluźnił uścisk, jego przeciwnik szarpnął się do tyłu i przez chwilę leżeli obaj, z trudem łapiąc oddech, jeden obok drugiego.

Niektórzy usiedli, aby popatrzeć na pozostałych. Bok Jil-Lee był poplamiony, a któryś z Tatarów leżał obok niego, przyciskając obie ręce do piersi i kaszląc przeraźliwie.

Menlik trzymał się kurczowo gałęzi pochylonego od wiatru górskiego drzewa, przyciągał je do siebie i stał, chwiejąc się, tak jak człowiek wyczerpany długą chorobą i dochodzący do siebie po długotrwałym wysiłku.

Odruchowo obie strony rozstały się, pozostawiając wolną przestrzeń pomiędzy Tatarami a Apaczami. Indianie mieli twarze ponure, Mongołowie - oszołomione, a następnie surowe, kiedy przyglądali się niedawnym przeciwnikom z budzącą się świadomością. To, co zaczęło się dla Tatarów jako przymus, mogło teraz równie dobrze przemienić się w prowadzoną świadomie walkę, a potem w prowadzącą do zagłady wojnę.

Travis skoczył na nogi. Spojrzał ponad brzegiem zagłębienia. Czerwony nadal znajdował się na tym samym miejscu, a wokół niego piętrzyły się kamienie. Jego ochrona musiała zawieść, bo głowę miał odrzuconą do tyłu pod nienaturalnym kątem i łatwo można było dostrzec dziurę w jego hełmie.

- Ten z maszyną jest martwy albo bezsilny! - wykrzyczał Travis. - Czy nadal chcesz walczyć dla niego, szamanie?

Menlik odszedł od drzewa i zbliżył się do krawędzi urwiska. Inni także ruszyli do przodu. Szaman spojrzął w dół, zatrzymał się, podniósł niewielki kamień i rzucił nim w leżące nieruchomo ciało. Wszyscy widzieli wąską smużkę ognia i kłęb dymu dobywające się z płyty na piersi Czerwonego. Nie tylko człowiek, także jego urządzenie kontrolne zostało unicestwione.

Dwóch Tatarów z wilczym wyciem odwróciło się i ruszyło w dół w kierunku zwłok. Na okrzyk Menlika zwolnili tempo.

- Chcemy to dostać w swoje ręce - krzyknął po angielsku. - Może dzięki temu dowiemy się...

- Ta sprawa należy do was - rzekł Jil-Lee. - Ten kraj jest także wasz, szamanie. Ale ostrzegam, od dzisiejszego dnia nie wolno wam jeździć na południe!

Menlik odwrócił się, a amulety przy jego pasie zadźwięczały.

- A więc tak ma teraz wszystko wyglądać, Apaczu?

- Właśnie tak, Tatarze! Nie jeździmy na wojny z sojusznikami, którzy mogą wbić nam nóż w plecy, ponieważ są niewolnikami maszyny, kierowanej przez wroga.

Dłgie, o szczupłych palcach, ręce Tatara otwierały się i zamykały.

- Jesteś mądrym człowiekiem, Apaczu, ale czasem potrzeba czegoś więcej niż tylko mądrości...

- Jesteśmy mądrymi ludźmi, szamanie i niechaj tak zostanie - odparł Jil-Lee ponuro.

Apacze byli już w drodze i zostawili za sobą dwa brzegi urwiska, zanim zatrzymali się, by zbadać i opatrzyć rany.

- Ruszamy. - Nolan podniósł podbródek, wskazując szlak na południe. - Nie wrócimy tutaj więcej; za dużo tu czarów.

Travis poruszył się i zobaczył, że Jil-Lee patrzy na niego ze zmarszczonym czołem.

- Ruszamy? - powtórzył,

- Tak, młodszy bracie. Czy pojechałbyś z tymi, którymi rządzi maszyna?

- Nie. Uważam jedynie, że potrzebne nam są oczy po tej stronie gór.

- Po co? - Tym razem Jil-Lee był całkowicie po stronie konserwatystów. - Widzieliśmy już maszynę w działaniu. Całe szczęście, że Czerwony nie żyje. Nie zanieś opowieści o nas swoim ludziom, czego się obawiałeś. Dzięki temu, jeśli od tej chwili będziemy pozostawać na południu, jesteśmy bezpieczni. A walka pomiędzy Tatarami a Czerwonym nie jest naszą sprawą. Czego tutaj szukasz?

- Muszę udać się w miejsce, gdzie znajdują się wieże - odpowiedział Travis zgodnie z prawdą. Ale przyjaciele odnosili się do niego z wyraźną dezaprobatą - teraz już był to cały szereg Deklayów.

- Powiedziałeś nam przecież, że odczuwałeś coś dziwnego nocą, kiedy czekaliśmy w pobliżu obozu. Co się stanie, jeśli zamienisz się w jednego z tych Tatarów i też będziesz kierowany przez maszynę? Wówczas ty także możesz zostać przemieniony w broń skierowaną przeciwko nam - twoim pobratymcom! - Jil-Lee przejawiał niemal otwartą wrogość.

Przemawiał przez niego zdrowy rozsądek. Travis miał jednak inne pragnienie, które z każdą chwilą w nim narastało. Był jakiś powód istnienia tych wież, i to powód prawdopodobnie wystarczająco ważny, aby go poznać, nawet ryzykując gniew swoich ludzi.

- Możliwe - powiedział chłodno i z dystansem Nolan - że już zostałeś częściowo przemieniony i związany z tymi maszynami. Skoro tak, nie chcemy cię wśród nas.

Pojawiła się zatem otwarta wrogość, za którą stoi władza większa niż ta, jaką kiedykolwiek posiadał Deklay. Travis zasmucił się. Rodzina, klan - wszystko to było ważne. Gdyby teraz zrobił fałszywy krok i został wygnany z tej fortecy, wówczas jako Apacz stałby się rzeczywiście straconym człowiekiem. W przeszłości jego ludu zdarzali się plemienni renegaci - ludzie tacy jak Apache Kid, który zabił i zabijał dalej, nie tylko białych, ale także własnych pobratymców. Ludzie Wilka żyli życiem wilków pośród wzgórz. Travis był przerażony taką perspektywą. A jednak - do góry po drabinie cywilizacji, w dół tej drabiny - dlaczego ta gorączkowa ciekawość gna go teraz tak bezlitośnie?

- Posłuchaj - Jil-Lee z obandażowanym bokiem podszedł bliżej - i powiedz mi, młodszy bracie, czego ty szukasz w tamtych wieżach?

- Na jednym z innych światów w takich starych budowlach można było znaleźć dawne tajemnice. Może okazać się, że tutaj będzie tak samo.

- A pomiędzy tymi dawnymi tajemnicami - głos Nolana nadal brzmiał surowo - znajdowały się te, które zawiodły nas do tego świata, prawda?

- Czy ktokolwiek zmuszał cię, Nolationie, lub ciebie, Tsoayu, albo ciebie, Jil-Lee, lub któregośkolwiek z nas do udania się pomiędzy gwiazdy? Powiedziano wam, co może się wydarzyć, a wy byliście chętni, by tego spróbować. Wszyscy jesteście ochotnikami!

- Jednak nie w wypadku tej podróży, o której nie powiedziano nam nic - odrzekł Jil-Lee, dochodząc wprost do sedna sprawy. - Niemniej, Nolationie, nie wierzę, że istnieje więcej taśm podróżnych, których szuka nasz młodszy brat. Uważam też, iż takie taśmy nie przyniosłyby nam niczego dobrego - ponieważ nasz statek już stąd nie może wystartować. Czego więc naprawdę tam szukasz?

- Wiedzy, może broni. Czy potrafimy się przeciwstawić tym maszynom Czerwonych? Przecież wiele urządzeń, których teraz używają, pochodzi ze statków kosmicznych, grabionych przez nich systematycznie. Przed każdą bronią istnieje obrona.

Nolan zamrugał oczami i po raz pierwszy ślad zainteresowania pojawił się na jego nieruchomej jak maska twarzy.

- Przed łukiem - strzelba - powiedział miękko. - Przed strzelbą - karabin maszynowy, przed działem - wielka bomba. Obrona może być znacznie gorsza od broni użytej pierwotnie. Przypuszczasz więc, że w tamtych wieżach mogą znajdować się rzeczy, które w stosunku do maszyn Czerwonych są jak bomba w odniesieniu do działa Konnych Żołnierzy?

Travis doznał nagle olśnienia.

- Czy nasi ludzie nie odłożyli łuków, by chwycić za strzelby, kiedy powstali przeciwko Niebieskim Płaszczom?

- My nie powstajemy przeciwko Czerwonym! - zaprotestował Lupe.

- Teraz nie. Ale co zrobimy, jeżeli przejdą przez góry, być może prowadząc przed sobą Tatarów, aby walczyli zamiast nich?

- Sądzisz więc, że jeśli znajdziesz w tych wieżach broń, będziesz wiedział, jak jej użyć?

- zapytał Jil-Lee. - Co dostarczy ci tej wiedzy, młodszy bracie?

- Nie pretenduję do takiej znajomości rzeczy - odparł Travis. -Ale co nieco wiem: kiedyś studiowałem archeologię i widziałem różne magazyny tych gwiazdnych ludzi. Kto inny spośród nas może to powiedzieć o sobie?

- To prawda - przyznał Jil-Lee. - Istnieje więc dobry powód, by przeszukać te wieże. Niech tylko Czerwoni jako pierwsi znajdą coś takiego - jeśli to w ogóle istnieje - a wówczas możemy naprawdę zostać schwytani w pułapkę, mając do wyboru tylko śmierć.

- I poszedłbyś teraz do tych wież? - zapytał Nolan.

- Mogę pojechać na skróty, a następnie dołączyć do was po drugiej stronie przełęczy!

Niepokój Trávisa narastał i teraz stał się tak zdesperowany, że chciał natychmiast pognać przed siebie poprzez dziki kraj. Był zaskoczony, kiedy Jil-Lee wyciągnął dłoń, jakby chciał go ostrzec.

- Uważaj na siebie, młodszy bracie! To nie jest łatwa sprawa. I pamiętaj, jeśli ktoś znajdzie zbyt daleko niewłaściwym szlakiem, czasami nie ma już dla niego drogi powrotu.

- Będziemy czekać po drugiej stronie przełęczy przez jeden dzień - dodał Nolan. - Po upływie tego czasu... - wzruszył ramionami -..to, gdzie się znajdujesz, pozostanie wyłącznie twoją sprawą.

Travis nie do końca zrozumiał tę zapowiedź. Zrobił już dwa kroki na wybranej przez siebie ścieżce.

Travis wybrał drogę wiodącą wprost poprzez wzgórza, lecz nie dość krótką, by dotrzeć do celu przed zapadnięciem nocy. Nie zamierzał wchodzić do doliny wież przy świetle księżyca. Walczyły w nim teraz dwa uczucia: z jednej strony silne pragnienie, by dostać się do środka wież i odkryć ich tajemnicę, z drugiej zaś narastająca coraz bardziej nowa obawa. Jego umysł stał się teraz polem walki pomiędzy odrodzonymi przez redax przesadami swojej rasy a nowoczesnym wykształceniem w świecie Pinda-lick-o-yi. Oto rozdwojenie jaźni: na wpół dzielny Apacz z przeszłości, na wpół spragniony wiedzy nowoczesny archeolog. A może strach miał swe korzenie jeszcze głębiej i był spowodowany czymś innym?

Travis przykucnął w zagłębieniu, usiłując zrozumieć własne uczucia. Dlaczego zbadanie wież stało się nagle tak niezmiernie ważne? Gdyby chociaż miał ze sobą kojoty...Z jakiego powodu i dokąd odeszły?

Był wyczulony na każdy odgłos nocy, każdy zapach, jaki przynosił wiatr. Noc miała swoje własne życie, podobnie jak światło dnia miało swoje. Tylko niewiele spośród tych dźwięków potrafił zidentyfikować, a jeszcze mniej zjawisk mógł dostrzec. Pojawiło się szerokoskrzydłe, wielkie latające stworzenie, które przemknęło na tle zielono-złotej tarczy bliższego księżyca. Było tak wielkie, iż Travis przez chwilę sądził, że nadlatuje helikopter. Potem skrzydła załopotwały, przerywając szybowanie, i stworzenie wtopiło się w cień. Ten nocny myśliwy mógł okazać się groźny, Apacz nie spotkał przedtem nic podobnego.

Przedsięwziął skromne środki ostrożności: rozrucił kruche patyczki wzdłuż jedyne go dojścia do zagłębienia. Teraz drzemał z przerwami, z głową ułożoną na przedramieniu obejmującym zgięte kolana. Dokuczał mu przeszywający chłód i ucieszył się, widząc szarzące niebo przedświtu. Przełknął dwie tabletki odżywcze i kilka łyków wody z menażki, po czym wyruszył.

Zanim weszło słońce, dotarł już do występu skalnego, gdzie znajdował się wodospad, i pośpieszył starożytną drogą. Im bardziej przybliżał się do doliny, tempo jego marszu stawało się coraz szybsze, w końcu zaczął biec. Wreszcie wrodzona ostrożność wzięła górę i z rozmysłem zwolnił. Szedł spokojnie, minął bramę i wdarł się w kłębiącą się mgłę, która raz odślaniała, raz spowijała wieże.

Od czasu, kiedy przybył tu z Kaydessą, nic się nie zmieniło. Teraz jednak, podnosząc się z wygodnej pozycji leżącej na żółtozielonym chodniku, pojawił się komitet powitalny -Nalik'ideyu i Naginita, nie okazujący na jego widok szczególnego podniecenia, jakby rozstali się przed chwilą.

Travis przykląkł, wyciągając rękę do samicy, która zawsze była bardziej przyjacielska. Zrobiła krok lub dwa do przodu, dotknęła zimnym nosem jego ręki i zaskomlała.

- Co się stało?

Powiedział tylko tyle, lecz kryła się za tym długa lista pytań. Dlaczego go opuścili? Dlaczego przebywały tutaj, skoro w tym dziwnym miejscu nie ma na co polować? Dlaczego witają go teraz tak, jakby spokojnie oczekiwały jego powrotu?

Travis spoglądał raz na zwierzęta, raz na wieże, których okna były ułożone tak, jakby rozmieszczono je na wierzchołkach czterech rombów. Znowu doznał wrażenia, jakby ktoś go obserwował. Kiedy te otwory opływała mgła, ktoś przyczajony w środku mógłby patrzeć na niego, sam nie będąc widzianym.

Wszedł powoli w głąb doliny. Jego mokasyny nie wydawały żadnego dźwięku, kiedy

stąpił po chodniku. Można było dosłyszeć jedynie słaby odgłos pazurów kojotów, idących obok niego, po jednym z każdej strony. Słońce tutaj nie docierało, sprawiając jedynie, że mgła wokół pierwszej wieży błyszczała, Travisowi wydawało się, że kłębi się wokół niego, nie mógł już dostrzec przejścia pod łukiem, którym wszedł do doliny.

- *Naye 'nezyani*. Zabójco Potworów, daj siłę ramieniu napinającemu łuk, pięści ściskającej nóż! - Z jakiego dawno zapomnianego wspomnienia pochodzi ta starożytna modlitwa? Travis nie potrafił zrozumieć do końca znaczenia tych słów, dopóki nie wymówił ich głośno. - Ty, który tu oczekujesz - *shi-inday to-day ishan* - Apacz nie jest pożywieniem dla ciebie! Jestem Fox z Itcacudnde 'yu - Ludu Orła, a przy mym boku idą potężne ga 'n...

Travis zamrugał i potrząsnął głową, jak ktoś, kto próbuje obudzić się ze snu. Dlaczego przemówił w ten sposób, używając słów i zdań, jakich nie stosuje się we współczesnej mowie?

Zaczął iść dookoła podstawy pierwszej wieży, by stwierdzić, że poniżej okien, znajdujących się na wysokości drugiego piętra, nie ma ani drzwi, ani jakiegokolwiek szczeliny w powierzchni. Przeszedł do kolejnej budowli, potem do następnej, a wreszcie okrążył wszystkie trzy. Jeśli ma wejść do środka którejś z nich, musi znaleźć sposób, by dostać się do najniższych okien.

Doszedł do drugiego wejścia do doliny, wychodzącego na teren obozu Tatarów. Ale kiedy ścinał młode drzewo, strugał je i wygładzał, sporządzając dzidę o tępym zakończeniu, nie dostrzegł żadnego z Mongołów. Szarfa, którą był przepasany, podarta na równe pasy, następnie powiązane ze sobą, utworzyła linę, długości ledwie wystarczającej, jak sądził, do jego celów.

Następnie Travis wykonał ryzykowny rzut w niższy otwór okienny najbliższej wieży. Za drugim razem dzida wpadła do środka, a Apacz szybko szarpnął linę, blokując ją niczym pręt w poprzek otworu. Była to słaba drabina, lecz niczego lepszego nie mógł naprędce sporządzić. Wspiął się, aż okienny parapet znalazł się w zasięgu jego ręki i mógł podciągnąć się, by wejść do środka.

Parapet był szeroki, miał rozpiętość co najmniej dwudziestu czterech cali pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną powierzchnią wieży. Travis siedział tam przez minutę, pokonując opór przed wejściem do środka. W pobliżu zakończenia wiszącej szarfy-liny leżały na chodniku dwa kojoty, wyraźnie zainteresowane, z podniesionymi głowami, a języki zwisały z ich pysków.

Grubość zewnętrznego muru powodowała, że do pomieszczenia docierała niewielka ilość światła. Komnata była okrągła, a dokładnie naprzeciw niego znajdowało się drugie okno, najniższe z całego układu. Zsunął się o cztery stopy w dół, z parapetu na posadzkę, i badając cal po calu pomieszczenie, przemieszczał się w obrębie światła. Nie było tutaj żadnych mebli, a w samym środku zionęła ciemna studnia. Z jej jądra wyrastał gładki, świecący słabo filar. Kiedy oczy Trávisa przystosowały się do panujących tu warunków, zauważył, że światło pojawia się w małych zielonych i fioletowych falach na ciemnoniebieskim tle.

Wydawało się, że podstawa filara znajduje się poniżej i przechodzi przez podobny otwór w suficie, tworząc jedyne przejście do góry lub na dół, poza możliwością wspinania się od okna do okna na zewnątrz. Travis powoli wsunął się do studni. Na dole była gładka powierzchnia wyłożona aksamitnym dywanem kurzu, który unosił się leniwymi tumanami, kiedy szedł. Gdzieś dostrzegł ślady w pyłe, dziwne trójkątne kliny. Pomyślał, że mogą to być odciski ptasich szponów. Innych śladów stóp nie było. Wieża stała pusta od bardzo długiego czasu.

Podszedł do studni i spojrział w dół. W ciemności, jaka tam panowała, światło filara pulsowało mocniej. Ale blask nie wydostawał się poza krańce studni, przez którą przechodził

gruby słup. Nawet badając dokładnie, Travis nie mógł wykryć żadnej przerwy w gładkiej powierzchni filara, nic, co choćby w przybliżeniu przypominałoby oparcie dla rąk lub nóg. Jeśli faktycznie otwór zastępował klatkę schodową, nie miał żadnych stopni.

Wreszcie Travis wyciągnął rękę, by dotknąć powierzchni słupa. Potem spróbował cofnąć ją gwałtownie - bez żadnego rezultatu. Nie zdołał przerwać kontaktu pomiędzy palcami a nieznanym materiałem, który miał połysk wypolerowanego metalu, lecz - ta myśl przyprawiła Apacza o mdłości - był ciepły i odrobinę elastyczny, niczym żywe ciało!

Zebrał wszystkie siły, aby się uwolnić - i nie mógł. Nie dość, że słup trzymał go mocno, ale przyciągał też drugą rękę i ramię, by dołączyły do pierwszej! Atawistyczne obawy w duszy Trávisa obudziły się z pełną siłą. Odrzucił głowę i wydał okrzyk grozy, dziki jak wycie zabijanego zwierzęcia.

Chwilę później jego lewa dłoń była już uwięziona równie mocno, jak prawa. A kiedy obie ręce zostały w ten sposób przytrzymane, całe ciało zostało nagle rzucone do przodu, porwane z bezpiecznej podstawy posadzki, przyklejone ciasno do filara.

W tej pozycji jakaś siła wessała go w głąb studni. Nie mógł sam odzepić się od słupa, ale ześlizgiwał się wzdłuż niego całkiem łatwo. Travis zamknął oczy w mimowolnym proteście przeciwko tej dziwnej formie porwania, a podczas dalszego zsuwania się dreszcz przebiegał jego ciało.

Kiedy minął pierwszy szok, Apacz zdał sobie sprawę, że naprawdę wcale nie spada, tylko przemieszcza się, jakby filar miał położenie horyzontalne, nie wertykalne. Tempo przesuwania się można by określić jako spacerowe. Minął jeszcze dwa zamknięte pomieszczenia i musiał już znajdować się poniżej poziomu dna doliny. Nadal był niewolnikiem filara, teraz w całkowitej ciemności.

Stopy zatrzymały się na poziomej powierzchni i domyślił się, że dotarł zapewne do samego końca. Znowu odepchnął się, wyginając ramiona w ostatecznej, desperackiej próbie ucieczki i upadł, raptownie uwolniony.

Podniósł się chwiejnie i oparło ścianę; stał tam, dysząc. Światło, które mogło pochodzić od filara, lecz zdawało się częścią samego powietrza, było wystarczająco jasne, by Travis mógł ujrzeć, że znajduje się w korytarzu prowadzącym w głęboką ciemność po prawej i lewej stronie.

Travis odszedł dwa kroki od filara, jeszcze raz przyłożył ręce do powierzchni, ale nic się nie działo. Tym razem jego ciało nie przywarło tam i nie miał żadnej możliwości wspięcia się po tym zmyślnym słupie. Mógł tylko żywić nadzieję, że korytarz w jakimś miejscu udostępni mu wyjście na zewnątrz. Ale w którą pójść stronę?

Wreszcie wybrał ścieżkę w prawo i ruszył jej szlakiem, zatrzymując się co parę kroków, by nasłuchiwać. Poza miękkimi stąpnięciami jego własnych stóp nie dochodziły jednak tutaj żadne dźwięki.

Powietrze było świeże i pomyślał, że daje się tu wyczuć słaby prąd dobiegający do niego z jakiegoś punktu na przedzie - być może wyjścia.

Tymczasem wszedł do pokoju i wydał cichy okrzyk zdumienia. Zobaczył gładkie ściany, pokryte tymi samymi falami niebiesko- fioletowo- zielonego światła, które nadawało barwę filarowi. Tuż przed nim znajdował się stół, a za nim ławka. Oba te sprzęty były wyrzeźbione z miejscowego żółto-czerwonego górskiego kamienia. Nie dostrzegł tu żadnego wyjścia, poza otworem drzwiowym, w którym teraz stał.

Travis podszedł do ławki. Przymocowano ją na stałe do podłoża i umieszczono tak, że ten, kto na niej usiadł, musiał znaleźć się twarzą do ściany komnaty znajdującej się

naprzeciwko. Przed sobą miał stół. Na stole zaś znajdował się przedmiot, który Travis rozpoznał natychmiast, gdyż natknął się już nań podczas podróży statkiem kosmicznym obcych. Był to jeden z odtwarzaczy, dzięki którym przymusowi odkrywcy dowiedzieli się, jak mało wiedzą o starszej galaktycznej cywilizacji.

Odtwarzacz - a obok pudełko taśm. Travis ostrożnie dotknął krawędzi tego pudła, oczekując po części, że rozpadnie się w nicość. To miejsce zostało opuszczone bardzo dawno temu. Kamienny stół, ławka, wieże mogły przetrwać wieki od chwili opuszczenia, lecz pozostałe przedmioty...

Wszystko pokrywała warstwa kurzu, tutaj było go zresztą mniej niż w wyższej komnacie wieży. Nie wiedząc właściwie dlaczego, Travis przełożył jedną nogę ponad ławką i usiadł za stołem, mając przed sobą odtwarzacz, a pudełko z taśmami tuż pod ręką.

Zbadał wzrokiem ściany, a następnie pośpiesznie odwrócił oczy. Falujące kolory przykuwały wzrok. Czuł, że gdyby wpatrywał się w te przyptywy i odpływy zbyt długo, zostałby schwytyany w jakąś delikatną sieć czarów, podobnie jak maszyna Czerwonych chwytająca i trzymająca na uwięzi Tatarów. Skierował swoją uwagę na odtwarzacz. Wydało mu się, że jest on bardzo podobny do tego, którego używali na statku.

Ten pokój, stół, ławka, wszystko zaprojektowano w pewnym celu. A tym celem - palce Trávisa spoczęły na pudełku taśm, nie mógł jednak zdobyć się na otwarcie go - tym celem było korzystanie z odtwarzacza, mógłby to przysiąc. Taśmy zostawione w ten sposób musiały mieć duże znaczenie dla tych, którzy je zostawili. Cała dolina stanowiła jakby pułapkę, by wciągnąć obcego do tej podziemnej komnaty.

Travis otworzył z trzaskiem pudełko, włożył pierwszą płytę do odtwarzacza i przyłożył oczy do okularu na jego szczycie.

Falujące ściany wyglądały tak samo, kiedy popatrzył na nie jeszcze raz. Kurcz mięśni powiedział mu jednak, że wiele czasu minęło - być może godziny zamiast minut - od chwili, kiedy wyjął pierwszy krążek. Położył ręce na czole i usiłował uporządkować myśli. Na taśmie były arkusze wypełnione pozbawionym znaczenia symbolicznym pismem, ale także wiele wyraźnych, trójwymiarowych obrazków, opatrzonym śpiewnym komentarzem w obcym języku, pozornie wysnutym z lekkiego powietrza. Miał w głowie pełno porwanych kawałków, strzępków informacji, które można było połączyć ze sobą jedynie dzięki domysłom, a także czystym spekulacjom.

Tyle jednak wiedział - te wieże zostały zbudowane przez łysych kosmitów i były bardzo ważne dla tej zaginionej gwiazdnej cywilizacji. Znajdujące się w pomieszczeniu informacje, choć wydawały mu się rozproszone, prowadziły do znalezienia na Topazie skarbu większego, niż mu się kiedykolwiek śniło.

Travis kiwał się niespokojnie, siedząc na ławce. Wiedział tak dużo, a przecież tak mało! Gdyby tylko był tutaj Ashe lub ktoś inny spośród inżynierów zajmujących się projektem! Skarb, podobnie jak puszka Pandory, stawał się niebezpieczny dla tego, kto dobrał się do niego bez znajomości rzeczy. Apacz ponownie z zainteresowaniem badał trzy ściany, na przemian niebieskie, fioletowe i zielone. Pomiędzy tymi ścianami znajdowały się przejścia, był całkiem pewien, że mógłby otworzyć przynajmniej jedno z nich. Ale nie w tej chwili - z pewnością nie w tej chwili!

Wiedział, że Czerwoni nie mogą znaleźć tego, co zostało tu ukryte. Gdyby dostali w swoje ręce takie znalezisko, oznaczałoby to nie tylko koniec jego ludzi na Topazie, lecz także koniec Ziemi. To mogłaby być nowa, kosmiczna Czarna Śmierć rozprzestrzeniona, by zniszczyć wszystkie narody za jednym zamachem!

Jeśli by mógł - chociaż jego archeologiczne wykształcenie sprzeciwiało się temu - wysadziłby całą dolinę, razem z tym, co znajduje się tu nad i pod ziemią. O ile Czerwoni prawdopodobnie posiadali środki, by dokonać takiego zniszczenia, Apacze ich nie mieli. Nie, on i jego ludzie musieli zapobiec odkryciu tajemnicy przez wroga, dokonując tego, co uważał za konieczne od samego początku: zgładzenia przywódców Czerwonych! I trzeba tego dokonać, zanim przypadkiem trafią na wieże!

Travis podniósł się sztywno. Bolały go oczy, głowę miał nabitą obrazami, przypuszczeniami, spekulacjami. Chciał się wydostać na zewnątrz, z powrotem na otwartą przestrzeń, gdzie może świeże wiatry ze wzgórz wywiałyby trochę owej przerażającej półwiedzy z ogłupiałego umysłu. Poszedł niepewnym krokiem wzdłuż korytarza, zajęty teraz problemem powrotu tam, gdzie były okna.

Tutaj, tuż przed nim, znajdował się filar. Bez wielkiej nadziei, lecz kierowany jakimś zapomnianym instynktem, Travis znów przyłożył ręce do powierzchni słupa. Poczul, że coś przyciąga jego spięte ramiona, jeszcze raz Apacza ciało zostało przyssane do filara. Tym razem wznosił się!

Przez pierwszy poziom przemieszczał się ze wstrzymanym oddechem, po czym odprężył się. Zasada tej dziwnej formy transportu była całkowicie poza jego zdolnością pojmwania, lecz dopóki działała w obie strony, nie dbał o to. Dotarł do pomieszczenia z oknami, ale nie było już tam słońca, a na zakurzonej posadzce leżał wyraźny pas księżycowej poświaty. Musiał spędzić w podziemiach wiele godzin.

Wyzwolił się z objęć filara. Pręt jego drewnianej dzidy nadal tkwił w poprzek okna, podbiegł więc do niego. Powinien się śpieszyć, jeśli chce zastać oddział zwiadowczy na przełęczy. Sprawozdanie, które przedstawia klanowi, musi zostać, wobec jego nowych odkryć, całkowicie zmienione. Apacze nie mogą wycofać się na południe i zrezygnować z walki, dopuszczając do tego, aby Czerwoni wykorzystali leżący tutaj skarb.

Dotknął chodnika poniżej, rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kojotów. Następnie spróbował przywołać je myślami. Ale zniknęły znowu, w równie tajemniczy sposób, jak przywitały go w dolinie. Travis nie miał czasu czekać na nie. Westchnął tylko i rozpoczął pośpieszny marsz w kierunku przełęczy.

Przypomniał sobie, że w dawnych czasach wojownicy Apaczów umieli przejść na piechotę czterdzieści pięć mil w trudnym terenie. Nie potrafił jednak poruszać się tak szybko. Z początku był całkiem pewien, że da radę dotrzeć na miejsce, zanim tamci miną przełęcz. Ale gdy stanął wreszcie w zagłębieniu, w którym obozowali i przeczytał znak w postaci odwróconego kamienia oraz pozostawionej dla niego złamanej gałązki, wiedział, że dotrą na miejsce wcześniej i zakomunikują decyzję, jaką chcieli podjąć Deklay i inni, a on nie zdoła temu zapobiec.

Travis mozolił się dalej. Był teraz tak zmęczony, że tylko narkotyk wchodzący w skład odżywczych tabletek, które połykał w przerwach, pozwalał mu zawzięcie iść dalej tempie niewiele szybszym niż pośpieszny spacer. A przez cały czas jego umysł nawiedzały fragmenty rysunków, obejrzanych w wieży. Czym była wielka bomba, senny koszmar jego świata, wobec sił, jakimi dysponowali łysi gwiazdni włóczędzy?

Upadł obok strumienia i zasnął. Kiedy obudził się, by podążać dalej, świeciło słońce. Jaki to był dzień? Jak długo siedział w komnacie wieży? Zatracił chyba poczucie czasu. Wiedział tylko, że musi dotrzeć na ranczo, opowiedzieć o swoim odkryciu, w jakiś sposób przemóc opór Deklaya i innych reakcjonistów i dowieść konieczności inwazji na pomocną część planety.

W polu widzenia pojawiła się znajoma skała, stanowiąca punkt orientacyjny. Wszedł na nią; jego pierś falowała, oddech wydobywał się ze świstem ze spierzchniętych, spękanych od słońca ust. Nie wiedział, że jego twarz była teraz maską, na której zastygło niezłomne postanowienie.

-Hahhhhhhhh!

Do przytępionych zmysłów Trávisa dotarł krzyk. Podniósł głowę, zobaczył ludzi przed sobą i usiłował zrozumieć, co oznacza broń skierowana w jego stronę.

Na ziemię w odległości zaledwie kilku cali od jego stopy upadł kamień, a po nim następny. Travis zawahał się i zatrzymał.

- *Nl'ilgac!*

Czarownik? Gdzie jest czarownik? Travis potrząsnął głową. Nie ma żadnego czarownika.

- *Done'ilkada'!*

Stara śmiertelna groźba, ale dlaczego i do kogo skierowana?

Kolejny kamień trafił go w żebra z tak dużą siłą, że Travis zatoczył się do tyłu i upadł. Usiłował wstać, ale zobaczył, jak Deklay uśmiecha się szyderczo i celuje. Wreszcie Travis zrozumiał, co się stało.

Potem czuł już tylko rozsadzający ból w czaszce i upadł, upadł w ciemność, gdzie nie było niebieskiego filara, który by go powiódł ze sobą.

Coś wilgotnego i szorstkiego uparcie pocierało jego policzek. Travis usiłował odwrócić głowę, by uniknąć tego kontaktu, ale poczuł atak bólu połączonego z zawrotami głowy. To sprawiło, że bał się wykonać kolejny, choćby najmniejszy ruch. Otworzył oczy i ujrzał spiczaste uszy i zarys głowy kojota, znajdującej się pomiędzy nim a matowym, szarym niebem. Rozpoznał Nalik'ideyu.

Teraz inna wilgoć niż dotyk języka kojota zrosiła mu czoło. Z matowych chmur nad głową spadł pierwszy rześisty deszcz, z jakim się jeszcze nie spotkał od chwili wylądowania na Topazie. Zadrżał, a zimna wilgoć ubrań sprawiła, iż uświadomił sobie, że musi już od pewnego czasu leżeć w strugach wody.

Żeby uklęknąć na kolana, musiał stoczyć walkę sam ze sobą. Nalik'ideyu trzymała go pyskiem za koszulę, holując i podciągając, udało mu się więc jakoś wpełznąć do kryjówki pod gałęziami drzewa, gdzie woda nie lała się już jak z cebra, lecz przeciekała pojedynczymi kroplami.

Tutaj siły znowu opuściły Apacza i siedział nieruchomo, przygarbiony, z kolanami przy piersi, usiłując znieść rwący ból w głowie i straszne wrażenie pływania następujące po każdym ruchu. Walczył z tymi doznaniem i usiłował przypomnieć sobie, co się właściwie stało.

Spotkanie z Deklayem i co najmniej czterema lub pięcioma innymi ... Następnie oskarżenie o czary - poważna sprawa w dawnych czasach. Dawne czasy! Dla Deklaya i jemu podobnych dzisiaj są dawne czasy! A groźba, którą Deklay lub ktoś inny wykrzyczał do niego:

Do ne ilka da' - znaczyła dosłownie: "Niech świt dla ciebie nie wszędzie" - czyli śmierć!

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał Travis, były kamienie. Powoli zaczął badać rękami swoje ciało. Na ramionach i żebrach, nawet na udach miał wiele stłuczeń. Musiał nadal stanowić cel, kiedy już upadł od uderzeń, które pozbawiły go przytomności. Kamienie... Wyrzucany! Ale dlaczego? Z pewnością wrogość Deklaya nie mogła sprawić, że Buck, Jil-Lee, Tsoay, nawet Nolan wyrazili na to zgodę. Nie potrafił już logicznie myśleć.

Travis czuł, ciepło i miękki dotyk porośniętego futrem ciała, dochodziły go także kojące przekazy mentalne, co sprawiało, że doznawał wrażeń, jakich nie da się opisać słowami. Nalik'ideyu siedziała przytulona do niego, z podniesionym nosem spoczywającym na jego koszuli. Jej delikatny oddech poruszał luźnymi pasmami zmoczonych deszczem włosów Apacza. A teraz objął ją ramieniem. Na ten gest zareagowała cichutkim skomleniem.

Nie zastanawiał się już nad zachowaniem kojotów, był tylko nieskończenie wdzięczny za obecność Nalik'ideyu w tym momencie. A w chwilę później, kiedy jej towarzysz wśliznął się pod zwisające gałęzie, by dołączyć do nich, Travis wyciągnął drugą rękę, i przesunął ją miłością po wilgotnym futrze Naginity.

- I co teraz? - zapytał głośno. Deklay mógł przedsięwziąć taką akcję, jedynie mając mocne poparcie klanu. Równie dobrze mogło być tak, że ów reakcjonista został nowym wodzem, a akt wygnania Travisa dodawał mu tylko prestiżu.

Drżenie, które zaczęło się, kiedy Travis odzyskał przytomność, nadal co pewien czas nim wstrząsało. Jeszcze na Ziemi, tak jak wszyscy pozostali członkowie zespołu, przyjął wszystkie szczepionki znane kosmicznym lekarzom, w tym szereg eksperymentalnych. Ale wirus grypy nadal mógł praktycznie unieruchomić człowieka, a to nie był odpowiedni czas, by pozwolić ciału na dreszcze i gorączkę.

Zatrzymując oddech z każdym ruchem, który na nowo wyzwalał ból w licznych

stłuczeniach, Travis zdjął przemoczone ubranie i wytarł do sucha ciało zeszlęciami liśćmi. Wiedział, że dopóki nie znikną zawroty głowy, nie może nic zrobić. Zakopał się więc w liście, pozostawiając jedynie na wierzchu głowę i usiłował spać wraz z kojotami zwiniętymi w kłębki po obu stronach jego gniazda.

Coś mu się śniło, lecz później nie potrafił sobie przypomnieć nawet fragmentu tych snów, z wyjątkiem poczucia frustracji i lęku. Kiedy znów obudził go dźwięk padającego deszczu, kojotów nie było. Umysł miał już sprawniejszy i nagle olśniło go, co trzeba zrobić. Gdy tylko wydobrzeje, także powróci do zwyczajów z przeszłości. Sytuacja stała się dostatecznie rozpaczliwa, by wyzwąć Deklaya.

Travis skrzywił się w ciemności. Był nieco wyższy i trzy lub cztery lata młodszy od swego wroga. Deklay miał jednak tę przewagę, że był mocniej zbudowany i miał dłuższe ręce. Travis przypuszczał, że w obecnym życiu Deklay nigdy nie walczył w pojedynku, tak jak to robili Apacze. A pojedynek Apaczy nie polegał na otwartej potyczce z przeciwnikiem. Travis miał prawo wystąpić z takim wyzwaniem. Wówczas Deklay musi się z nim potykać lub przyznać, że jest w błędzie. Ta część była prosta.

W przeszłości jednak taki pojedynek mógł mieć wyłącznie jedno zakończenie, fatalne dla co najmniej jednego z walczących. Gdyby Travis poszedł tym tropem, musiałby się przygotować na najgorsze. Nie chciał zabić Deklaya! Tutaj na Topazie było ich zbyt mało i strata nawet jednego człowieka oznaczałaby katastrofę. Nie żyjąc najmniejszej sympatii dla Deklaya, nie pielęgnował także nienawiści do niego. Musi jednak wyzwąć go lub pozostać plemiennym wyrzutkiem. Poza tym nie miał prawa igrać z czasem i przyszłością, teraz, gdy dowiedział się, co znajduje się w wieżach. Może się okazać, że należy położyć na szalę życie i umiejętności jego lub Deklaya przeciwko likwidacji ich wszystkich - a także ojczystego świata na dodatek.

Po pierwsze, musi zlokalizować obecny obóz klanu. Jeśli wzięto pod uwagę argumenty Nolana, skierują się na południe od przełęczy. A podążanie za nimi sprawi, że będzie oddalał się od doliny wież. Chociaż posiniaczona twarz bolała Travis, uśmiechnął się gorzko. Po raz drugi żałował, że nie ma towarzysza. Jeden z nich zostałby zwiadowcą obserwującym dolinę, a tymczasem drugi wojownik skierowałby się w przeciwną stronę, aby zmierzyć się z Deklayem. Ponieważ jednak był sam, będzie musiał podjąć grę z czasem, największe ryzyko ze wszystkich.

Przed świtem powróciła Nalik'ideyu, przynosząc ptaka - a przynajmniej stworzenie, którego dalecy przodkowie byli ptakami. Obecny przedstawiciel tego rodu miał zaledwie śladowe pozostałości skrzydeł, a stopy i nogi dobrze rozwinięte i znacznie silniejsze.

Travis obdarł ze skóry korpus, automatycznie odkładając kilka piór, aby użyć ich do zrobienia strzał. Potem zjadł u surowo kawałki ciemnego mięsa, rzucając kości Nalik'ideyu.

Chociaż nadal czuł się sztywny i obolały, zdecydował się ruszyć w drogę. Spróbował nawiązać kontakt mentalny z kojotem, stwarzając w myślach wyraźny obraz Apaczy, w szczególności Deklaya. W odpowiedzi otrzymał wyczuwalną zgodę Nalik'ideyn. I ona, i jej towarzyszy chcieli doprowadzić go do plemienia. Wydał lekkie westchnienie ulgi.

Wlokąc się przez wprawiającą w ponury nastrój mżawkę, Apacz zastanawiał się, dlaczego poprzednio kojoty opuściły go i czekały potem w dolinie wież. Jaki związek istniał pomiędzy zwierzętami z Ziemi a pozostałościami po dawnym gwiazdnym imperium? Był bowiem pewien, że nieprzypadkowo Nalik'ideyu i Naginita zatrzymały się w tym zasnutym mgłami miejscu. Żałował, że nie może komunikować się z nimi bezpośrednio, zadawać pytań i otrzymywać odpowiedzi.

Bez ich pomocy Travis nie zdołałby wytropić klanu. Mżawka co pewien czas zamieniała się w bicze ulewnego deszczu, tak rzęsiwego, że wędrowcy musieli chronić się w najbliższej kryjówce. Niebo nad nimi było albo ciemnobrązowe, albo czarne jak noc. Nawet kojoty szły te nosami przy ziemi, często kręcąc się dookoła w poszukiwaniu tropu, gdy tymczasem Travis czekał.

Deszcz lał przez trzy dni i trzy noce, napęniając koryta wodne raptownie przybierającymi strumieniami. Travis mógł jedynie żywić nadzieję, że tamci mieli te same trudności podczas podróży, a może nawet większe, ponieważ byli obciążeni pakunkami. Fakt, iż podróżowali bez przerwy, oznaczał, że zdecydowanie chcieli znaleźć się jak najdalej od północnych gór.

Czwartego poranka warstwa brązowych chmur zaczęła powoli rzednąć, zamieniając się w zwykłe złoto. Promienie słońca okazały się pomiędzy wzgórzami, gdzie mgła kłębiła się niczym paro z setek garnków z wrzącą wodą. Travis odprężył się w wynurzonym cieple; czuł, że jego koszula na ramionach wysycha. Teren przed nimi był nadal nasiąknięty wodą, co powinno opóźnić posuwanie się klanu. Bardzo liczył na to, że już niedługo zetknie się z nimi. Teraz najgorsze z jego sińców już zbladły. Muskały miał sprawne i opracował plan, jego zdaniem doskonały.

Dwie godziny później siedział przyczajony w zasadzce, czekając na zwiadowcę, który szedł prosto w jego ręce. Korzystając ze wskazówek kojotów, Travis obszedł linię marszu Apaczy i znalazł się przed klanem. Potrzebował wysłannika, który przedstawiłby jego wyzwanie. Fakt, że zwiadowcą, na którego miał właśnie skoczyć, był Manulito, jeden z popleczników Deklaya, był na rękę Travisowi. Kiedy tamten podszedł z przeciwnej strony, Apacz sprężył nogi i skoczył.

Manulito zwałił się z nóg pod jego ciężarem i upadł twarzą w dół, Travis wykorzystał w pełni swoją przewagę i unieruchomił szarpiącego się pod nim mężczyznę. Gdyby to był jeden ze starszych wojowników, może udałoby mu się wyrwać, lecz Manulito wedle kryteriów indiańskich był jeszcze chłopcem.

-Leż spokojnie! - rozkazał Travis. - Słuchaj dobrze, żebyś mógł przekazać Deklayowi słowa Foxa!

Zaciekła walka ustała. Manulito zdołał wykręcić głowę w lewą stronę i mógł zobaczyć tego, kto go porwał. Travis zwolnił uścisk, podniósł się na nogi. Manulito usiadł, twarz miał ponurą, ale nie sięgnął po nóż.

- Powiesz Deklayowi następujące słowa: Fox mówi, że jesteś człowiekiem pozbawionym rozumu i odwagi, który woli rzucać kamienie, niż spotkać się z nożem przeciwko nożowi, tak jak to czyni wojownik. Jeśli on myśli jak wojownik, niech tego dowiedzie - swoją siłą przeciwko mojej sile - zgodnie ze zwyczajami Ludu!

Wyraz twarzy Manulito stał się mniej ponury. Był podniecony i gotów do działania.

-Czy będziesz pojedynkował się z Deklayem zgodnie z dawną tradycją?

-Tak. Powiedz mu to publicznie, żeby wszyscy usłyszeli. Wówczas Deklay będzie musiał również publicznie udzielić odpowiedzi.

Manulito zacerwienił się, słysząc uwagi dotyczące męstwa wodza. Travis wiedział, że przekaże wyzwanie przy wszystkich: Aby zachować władzę w klanie, Deklay będzie musiał je przyjąć, a publiczność złożona z jego ludzi stanie się świadkiem sukcesu lub klęski swojego nowego przywódcy i jego polityki.

Kiedy Manulito zniknął, Travis wezwał kojoty. Włożył cały wysiłek w przekazanie informacji, że jakiegokolwiek plemię kierowane przez Deklaya byłoby wrogiem zmutowanym

zwierzętom. Jeśli Travis przegra tę grę, muszą się ukryć, pozostać na wolności w dzikim kraju. Teraz wycofały się w krzaki, lecz nie z zasięgu jego umysłu.

Nie czekał długo. Najpierw pojawili się Jil-Lee, Buck, Nolan, Tsoay, Lupe - ci, którzy byli razem z nim na zwiadach na północy. Po nich przyszli inni, najpierw wojownicy, kobiety stanęły zaś w półokręgu za nimi. Pozostawili wolną przestrzeń, na którą wszedł Deklay.

- Jestem Fox - oznajmił Travis. - A ten oto człowiek nazwał mnie czarownikiem i *natdahe*, wyrzutkiem z gór. Dlatego teraz przyszedłem, by nazwać z kolei jego. Słuchaj mnie. Ludu, ten Deklay będzie żył pomiędzy wami jako *izes-nantan*, wielki wódz, lecz nie posiada on *go' ndi*, świętej mocy wodza. Deklay jest głupcem, którego głowa jest przepełniona wyłącznie jego własnymi życzeniami. Nie dba o swoich braci z klanu. Twierdzi, że wiezie klan w bezpieczne miejsce, a ja wam mówię, iż prowadzi was do niebezpieczeństwa gorszego niż jakikolwiek: żyjący człowiek mógłby sobie wyobrazić - nawet pod wpływem pejotlu! Pokręciło mu się w głowie, a dzięki niemu i wam się pokręci...

Buck wtrącił się ostro, uciszając pomruk zgromadzonego klanu.

- To zuchwałe słowa. Fox. Masz coś na ich poparcie?

Travis już zdejmował koszulę.

- Mam - powiedział przez zęby.

Od chwili, kiedy obudził się po kamienowaniu, wiedział że ten następny ruch jest jedyny, jaki pozostał mu zrobienia. Ale teraz kiedy doszło do wprowadzenia tego w czyn, nie był pewien wyniku. Kierowało nim przekonanie, że ostateczne rozstrzygnięcie tej potyczki może wpłynąć na więcej spraw niż tytko na los dwóch ludzi. Rozebrał się; zauważył, że Deklay robi to samo.

Nolan wstąpił na środek polany i zakreślił koło czubkiem noża. Nagi Travis, tylko w mokasynach i z nożem w ręku, postąpił dwa kroki i znalazł się w kręgu naprzeciwko Deklaya. Oszacował pięknie umięśnione ciało przeciwnika i stwierdził, że niewiele się pomylił we wcześniejszej ocenie jego zalet. Biorąc pod uwagę samą siłę, Deklay przewyższał go. Jak sprawnie władał nożem? Wkrótce Travis uzyska odpowiedź na to pytanie.

Krażyli dokoła, koncentrując wzrok na każdym ruchu, starając się zważyć i zmierzyć swoje mocne oraz słabe punkty. Travis przypomniał sobie, że u Pinda-lick-o-yi pojedynki na noże był nigdy sztuką zbliżoną do walki na miecze, w której dwóch odpowiednio dobranych wojowników walczyło ze sobą, nie zadając sobie poważnych ran. Lecz ta gra była o wiele surowsza i groźniejsza, pozbawiona uroku takiej potyczki.

Uniknął dzikiego pchnięcia Deklaya.

-Byk szarżuje - zaśmiał się. - A lis uderza! - Jakimś niewiarygodnym zrzędzeniem losu, czubek jego broni naprawdę otarł się o ramię Deklaya, rysując na skórze cienką, czerwoną linię długości łała.

- Zaszarżuj jeszcze raz, byku. Poczuj znowu zęby Lisa!

Postąpił naprzód, chcąc wytrącić Deklaya z równowagi, co mogłoby okazać się zgubne dla wodza. Wiedział, że potrafi on wybuchnąć gwałtowną wściekłością. Ta wściekłość była niebezpieczna, ale mogła także sprawić, że w zaślepieniu stawał się nieostrożny.

Deklay wydał nieartykułowany okrzyk, jego twarz nabrzmiała gniewem. Rzucił się jak rozwścieczona puma i natarł na Trávisa, który nie zdołał całkowicie uniknąć ataku i cofnął się, otrzymując bolesne cięcie w poprzek żeber.

- Byk atakuje! - zaryczał Deklay. - Bierze na rogi Lisa!

Znowu ruszył, pobudzony widokiem krwawiącej rany w boku Trávisa. Ale drobniejszy mężczyzna uniknął ciosu.

Travis wiedział, że musi zachować ostrożność przy tego rodzaju unikach. Gdyby jedna stopa znalazła się poza linią okręgu, byłby skończony tak samo, jakby ostrze noża Deklaya dosięgło celu. Travis spróbował zadać cios i natrafił stopą na ostry kamyk. Od stopy ból promieniował do góry, powodując utykanie. Szkarłatny płomień rany zakwitł tym razem na ramieniu i przedramieniu.

Travis wiedział, że można zastosować pewną sztuczkę. Rzucił nóż w powietrze i złapał go lewą ręką. Deklay miał teraz przed sobą leworęcznego przeciwnika i musiał dostosować się do tego.

- Uderzaj, byku, stuknij swymi rogami! - krzyknął Travis. - Lis nadal szczyrzy zęby!

Deklay po chwili otrząsnął się z zaskoczenia. Z okrzykiem naprawdę przypominającym ryk byka ze starego kraju, parł do zwarcia, pewien że okaże się silniejszy niż młodszy i już ranny mężczyzna.

Travis uchylił się, jednym kolaniem uderzając o ziemię. Wyciągnął prawą rękę, złapał garść ziemi i rzucił ją w ciemnobrązową twarz. Znowu wydawało się, że los mu sprzyja. Ta garść ziemi nie oślepiła tak jak piasek, lecz kilka drobinek wpadło do oka Deklaya.

Przez kilka sekund Deklay był odsłonięty - wystawiony na cios, który rozdarłby go do środka, cios, jakiego Travis nie mógł zadać i nie zadał.

Podjął natomiast nieostrożny atak, skacząc prosto na przeciwnika. Pobrudzone ziemią palce jednej ręki wbiły się w twarz Deklaya, a druga zadała cios, nie czubkiem noża, lecz jego trzonkiem. Ale Deklay, już na wpół przytomny od ciosu, miał teraz szansę na rewanż. Upadając na ziemię, zostawił swój nóż, dwa cale stali, pomiędzy żebrami Trávisa.

W jakiś sposób - nie wiedział skąd wziął tyle siły - Travis utrzymał się na nogach, zrobił jeden krok, potem drugi, poza krąg, aż przynosząca ulgę podpora gałęzi drzewa znalazła się pod jego nagimi plecami. To już koniec?

Walczył o zachowanie strzępów świadomości. Czy zdołał przywołać Bucka oczami? Czy też waga tego, co miał do powiedzenia, dotarła w jakiś sposób od jednego umysłu do drugiego? Starszy Indianin był przy jego boku, lecz Travis wyciągnął rękę, by go odpędzić.

- Wieże - wycharczał. Walczył o to, by zachować przytomność pomimo bólu i słabości, która przepęłzała od wewnątrz. - Czerwoni nie mogą dostać się do wież! To gorsze niż bomba... Koniec nas wszystkich!

Jak przez mgłę widział zbliżających się Nolana i Jil-Lee. Pragnienie, by zakasać, rozdzierało go. Ale oni musieli dowiedzieć się, uwierzyć...

- Czerwoni dostaną się do wież - wszystko skończone. Nie tylko tutaj... może w kraju także...

Wyczytał coś jakby zrozumienie na twarzy Bucka? Czy Nolan i Jil-Lee oraz pozostali uwierzyli mu? Travis nie mógł już dłużej powstrzymać kaszlu, a rozdzierający ból, który potem poczuł, był najgorszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przytrafiła.

Nadal jednak trzymał się na nogach i próbował nakłonić ich do zrozumienia.

- Nie pozwólcie im dostać się do wież. Nie mogą znaleźć tego magazynu!

Travis stanął, nie opierając się już o drzewo, i wyciągał do Bucka zaplamioną ziemią i krwią rękę.

- Przysięgam... prawda... to trzeba zrobić!

Upadał, a przez głowę przemknęła mu dziwna myśl, że kiedy opadnie na ziemię, nastąpi koniec, nie tylko jego, lecz także misji, jakiej się podjął. Próba zidentyfikowania ludzi znajdujących się wokoło była jak usiłowanie przypomnienia sobie kogoś we śnie.

- Wieże! - miał zamiar krzyknąć, lecz sam nawet nie usłyszał tego słowa, gdyż upadł na

ziemię.

Travis opierał się plecami o owinięte kocami pakunki. Położył kawałek jasnożółtej kory na kolanie i patrzył z ponurą miną na narysowane na niej jasnozielone linie.

- Jesteśmy więc tutaj... a statek znajduje się tam. - Położył kciuk w jednym punkcie naszkicowanej mapy, a palec wskazujący w drugim. Buck kiwnął głową.

- Tsoay, Eskelta, Kawaykle będą tropić ślady. Tu jest przełęcz, dwiema innymi drogami można iść pieszo. A kto zajmie się obserwacją nieba?

- Tatarzy twierdzą, że Czerwoni obawiają się latać helikopterem nad górami. Wkrótce po tym, jak wylądowali, stracili śmigłowiec w jakimś szczególnym wirze powietrznym. Żeby tylko nie dostali wsparcia, zanim będziemy mogli wyruszyć! - Znowu pojawiła się ta stale obecna obawa o upływ czasu, jakby czas skręcał się w sznur, który może zadusić ich wszystkich.

- Sądysz, że gdyby wiedzieli o naszym statku, wyszliby na otwartą przestrzeń?

- To albo informacja o wieżach to jedyne rzeczy, które mogą skłonić ich ekspertów do wyjścia z kryjówki. Oczywiście, mogliby wysłać kontrolowany oddział tatarski, by przeszukał statek. Dzięki temu nie udałoby się im jednak uzyskać raportu technicznego, którego potrzebują. Nie, sądzę, iż gdyby wiedzieli, że tutaj znajduje się rozbity statek Zachodniej Konfederacji, przybyliby na miejsce - no, może nie wszyscy. Musimy złapać ich na otwartej przestrzeni. W innym przypadku mogą się skryć na zawsze w tym swoim statku.

- Ale w jaki sposób mamy im znać, że nasz statek jest tutaj? Mamy wysłać inny oddział zwiadowczy i pozwolić im śledzić go?

- To chyba niezły sposób.

Travis nadal dumał nad mapą. Tak, takie rozwiązanie byłoby możliwe: niechby Czerwoni zobaczyli i śledzili oddział Apaczów. W klanie nie mieli jednak nikogo, kogo można by było wysłać. Z pewnością istniała jakaś inna możliwość założenia pułapki z rozbitym statkiem na przynętę. A gdyby złapać jednego z Czerwonych i dać mu uciec, pozwalając zobaczyć to, co chcieli, aby zobaczył? Znowu wielka strata czasu. Zresztą jak długo musieliby czekać i jakie ryzyko podjąć, by schwytać takiego więźnia?

- Jeśli można by polegać na Tatarach... - rozważał głośno Buck. Ale wątpliwości były zbyt duże. Nie mogli zaufać Tatarom. Bez względu na to, jak bardzo tamci chcieliby pomóc w pokonaniu Czerwonych, dopóki są kontrolowani przez maszynę przywołującą, pozostawali bezużyteczni. Czy na pewno?

- Wymyśliłeś coś? - Buck musiał zauważyć zmianę wyrazu twarzy Travisa.

- Przypuśćmy, że Tatar zobaczy nasz statek, a następnie zostanie schwytyany przez patrol Czerwonych i od niego uzyskają informację?

- Myślisz, że którykolwiek z banitów dobrowolnie zgodzi się, żeby złapali go znowu? A jeśli nawet, czy Czerwoni nie będą mogli dowiedzieć się także, że został podstawiony?

- Więzień, który uciekł? - zasugerował Travis. Teraz Buck rozważał otwarcie możliwość przyjęcia takiego planu. A Travis poczuł się podniesiony na duchu. Pomysł miał mnóstwo braków, lecz można go było dopracować. Przypuśćmy, że schwytyją na przykład Menlika, przyprowadzą go tutaj jako więźnia, stworzą pozory, jakoby chcieli go zabić z powodu tego ataku u stóp wzgórz. Następnie pozwolą mu uciec i pogonią go w ręce Czerwonych. Bardzo ryzykowne, lecz może okazać się po prostu skuteczne. Travis był teraz zwolennikiem podejmowania ryzyka, ponieważ powiodła się jego desperacka akcja z

pojedyńkiem.

Kosztowała go dwie głębokie rany, z których jedna byłaby niebezpieczna, gdyby nie to, że na miejscu znajdował się Jil-Lee, który w ramach projektu otrzymał wyszkolenie medyczne. W jej wyniku Travis odzyskał także przynależność do klanu. Pobratymcy słuchali teraz jego ostrzeżeń dotyczących skarbcza w wieży.

- Dziewczyna! Tatarska dziewczyna!

Z początku Travis nie pojmował słów Bucka.

- Schwytemy dziewczynę - tłumaczył starszy Indianin. - Pozwolimy jej uciec, a potem zapędzimy tam, gdzie wpadnie w ich ręce. Możemy nawet na początek uwięzić ją w statku.

Kaydessa? Chociaż coś w środku sprzeciwiało się wyborowi osoby, która miała odegrać główną rolę w dramacie, Travis potrafił dostrzec zalety pomysłu Bucka. Porywanie kobiet było dawną rozrywką w prymitywnych kulturach. Sami Tatarzy w przeszłości w ten sposób znajdowali żony, podobnie jak napastnicy z plemienia Apaczy brali porwane kobiety do swoich wigwamów. Tak, dla napastników uprowadzenie dziewczyny byłoby czynem naturalnym, zrozumianym przez Czerwonych. Dla samej kobiety próba ucieczki i ściganie przez tych, którzy ją schwytali, także byłoby uzasadnione. A dla takiej kobiety, odciętej od swoich współplemieńców, skierowanie się w stronę osady Czerwonych stałoby się jedyną nadzieją uniknięcia wrogów. Logiczne pod każdym względem!

- Trzeba by ją porządnie nastraszyć - zauważył Travis z niechęcią.

- To się da zrobić.

Travis spojrział na Bucka mocno zaniepokojony. Nie chciał pozwolić, aby bawiono się z Kaydessą w pewne gry, mające miejsce w ich wspólnej przeszłości. Ale Buck miał na myśli coś całkiem różnego od brutalnych metod stosowanych w dawnych czasach.

- Trzy dni temu, kiedy jeszcze leżałeś nieprzytomny, Deklay i ja weszliśmy do statku...

- Deklay?

- Pokonałeś go przecież, musi więc odzyskać honor we własnych oczach. A rada zabroniła kolejnego pojedynku lub wyzwania - odparł Buck. - Z tego powodu będzie nadal dążył do uznania go w inny sposób. A teraz, kiedy usłyszał twoje opowiadanie i wie, że musi stawić czoło Czerwonym, a nie uciekać przed nimi, jest gotów - może nawet zbyt gorliwie - podjąć próbę sił na wojennej ścieżce. Dostaliśmy się na statek, by jeszcze raz poszukać tam broni.

- Nie było tam żadnej poza tą, którą mieliśmy.

- Teraz też jej nie znaleźliśmy. Ale odkryliśmy coś innego. - Buck zrobił pauzę, a dziwna nuta w głosie Apacza sprawiła, że Travis oderwał się od problemu, którym był pochłonięty. Wglądało na to, że Buck doszedł do czegoś, co nie bardzo potrafił opisać.

- Po pierwsze - ciągnął Buck - natknęliśmy się tam na coś martwego, w pobliżu miejsca, gdzie znaleźliśmy doktora Ruthvena. To przypominało człowieka... ale było całe porośnięte srebrzystym futrem.

- Niby- małpy! Niby-małpy z innych światów! Co jeszcze zobaczyłeś?

Travis upuścił mapę. Poczł ostry ból w boku, kiedy schwycił rękaw Bucka. Łysi gwiazdni wędrowcy - czy nadal jeszcze istnieli gdzieś tutaj? Może przybyli, by zbadać statek zbudowany na wzór swoich pojazdów kosmicznych, lecz obsługiwany przez Ziemiaków?

- Nic, z wyjątkiem śladów, wielu śladów w każdej kabinie i każdej dziurze. Myślę, że tam musi być jeszcze spora ilość różnych rzeczy.

- Co spowodowało śmierć tej istoty?

Buck zwilżył wargi.

- Wydaje mi się, że strach... - Zabrzmiało to, niemal przeprasząco, a Travis zamarł. - Statek się zmienił. Tam wewnątrz musi być coś złego. Kiedy się wchodzi do korytarzy, odnosi się wrażenie, że coś idzie za człowiekiem. Słyszysz rzeczy, widzisz coś kątem oka... A kiedy się odwrócisz, nic tam nie ma, absolutnie nic! A im wyżej się wspinasz, tym jest gorzej. Mówię ci, Travis, nigdy przedtem nie czułem nic podobnego!

- W tym statku zginęło wielu ludzi - przypomniał mu Travis. Czyżby dawny lęk Apaczy przed umarłymi przemienił się wskutek działania redaxu w ostrą fobię, która dotknęła nawet Bucka?

- Nie, z początku także tak pomyślałem. Odkryłem, że najgorzej było nie w pobliżu pomieszczenia, w którym złożyliśmy naszych zmarłych, lecz wyżej, w kabinie z redaxem. Myślę, że maszyna prawdopodobnie działa nadal, lecz działa wadliwie - teraz nie budzi już wspomnień o naszych przodkach, lecz wyciąga na jaw wszelkie lęki, jakie kiedykolwiek nawiedzały nas w ciemnościach wieków. Mówię ci, Travis, kiedy wychodziłem stamtąd, Deklay prowadził mnie za rękę jakbym był dzieckiem. A on drżał tak, jakby nigdy już nie miał się rozgrzać. Jest tam zło, którego nie sposób pojąć. Myślę, że gdyby ta tatarska dziewczyna pozostała tam nawet bardzo krótko, byłaby porządnie przestraszona - tak przestraszona, że każdy naukowiec, który zbadałby ją później, wiedziałby, że w statku znajduje się tajemnica, wymagająca wyjaśnienia.

- Czy niby-małpy próbowały uciec przed redaxem? - zastanawiał się Travis. Kojarzenie maszyn z żywymi stworzeniami to oczywiście czyste szaleństwo. Ale te istoty zostały odkryte na dwóch planetach starej cywilizacji, a Ashe sądził, że mogą one być zdegenerowanymi pozostałościami inteligentnego niegdyś gatunku.

- To możliwe. Jeśli tak, to wywołały burzę, która wymiotła je na zewnątrz i zabiła jedno z nich. Teraz statek jest miejscem przerażającym.

- Ale dla nas wykorzystanie dziewczyny... - Travis widział sens w pierwszej sugestii Bucka, lecz obecnie zmienił zdanie. Jeśli atmosfera panująca we wnętrzu statku była tak przerażająca, jak to opisał Buck, uwięzienie tam Kaydessa, nawet przez jakiś czas, uważał za zbyt okrutne.

- Nie musi tam zostawać długo. Przypuśćmy, że zrobimy tak: wejdziemy razem z nią i wtedy pozwolimy, by zwyciężyło nas to, co tam czujemy. Moglibyśmy uciec, zostawić ją samą. Kiedy opuści statek, możemy potem podjąć pościg, zaganiając ją z powrotem do kraju, który zna. W statku byłibyśmy razem z nią i dopilnowalibyśmy, by nie została tam zbyt długo.

Travis dostrzegł dobre strony tego planu. Nalegał tylko na jedno - jeśli Kaydessa miałaby przebywać w tym statku, on byłby jednym z "porywaczy". Powiedział na ten temat tyle, że Buck musiał uznać jego determinację za rozstrzygającą.

Wysłali oddział zwiadowczy, który miał przeniknąć na terytorium północne, by obserwować sytuację i czekać na okazję do porwania. Travis został do czasu, kiedy stanie na nogi, aby we właściwym momencie być gotowym do wyruszenia. Pięć dni później poczuł się na siłach, aby dotrzeć do grzbietu wzgórz, gdzie leżał rozbity statek. Razem z nim poszli Jil-Lee, Lupę i Manulito. Z zadowoleniem stwierdzili, że w kuli nie było żadnych gości od czasu, gdy zjawili się tam Buck i Deklay, żadnego znaku, że niby-małpy powróciły tam znowu, i

- Stąd - powiedział Travis - statek nie wygląda bardzo źle, prawie tak, jakby dał radę jeszcze wystartować.

- Mógłby się podnieść - Jil-Lee wskazał na szczyt góry za krzywizną globu - do tej mniej więcej wysokości. Po tej stronie rury są nienaruszone.

- A co by się stało, gdyby Czerwoni wtargnęli do środka i spróbowali tym polecieć? - zastanawiał się głośno Manulito.

Nagle olśniła Trávisa pewna myśl, być może równie szalona jak inne pomysły, które miał od czasu wylądowania na Topazie. Należało jednak ją rozważyć i sprawdzić, w każdym razie nie podejmować ryzyka bez głębokiego namysłu. Przypuśćmy, że została jeszcze wystarczająca ilość energii, by podnieść statek, a potem odpalić go? Mając na pokładzie rosyjskich techników... Sam jednak nie był inżynierem, nie miał pojęcia, czy jakaś część kuli statku mogłaby, czy też nie, znów zadziałać.

- Nie są głupcami. Kiedy przyjrzą się dokładnie, zorientują się, że to wrak - odparł Jil-Lee. Travis podszedł bliżej. W niewielkiej odległości przed nim oderwał się od krzaka żółtobrazowy kształt, stanął na sztywnych łapach na ścieżce z pyskiem skierowanym w stronę statku i zawarczał ostro. Cokolwiek poruszało się lub działało we wraku, czułe zmysły kojota na pewno by to wykryły, nawet z tej odległości.

- Naprzód!

Travis obszedł warczące zwierzę. Zatrzymując się po każdym kroku, poszło jego śladem. Z zarośli dał się słyszeć ostrzegawczy skowyt i pojawił się drugi kojot. Naginita poszedł za Travisem, ale Nalik'ideyu nie chciała zbliżyć się do zarytej w ziemi kuli.

Travis starannie badał statek wzrokiem, usiłując przypomnieć sobie plan jego wnętrza. Zamienić całą kulę w zasadzkę - czy było to możliwe? Co mówił Ashe o zasadach działania redaxu? Coś o falach o wysokiej częstotliwości, stymulujących ośrodki mózgowo i nerwowe.

A jeśli ktoś zostałby przed owymi promieniami osłonięty ekranem? To rozdarcie boku - sam musiał przedostać się przez nie tej nocy, kiedy nastąpiła katastrofa. Uszkodzenie znajdowało się niedaleko od kosmicznej śluzy. W pobliżu śluzy znajdowało się pomieszczenie magazynowe. Jeśli ono ani jego zawartość nie zostały zmiażdżone, chyba znalazłoby się tutaj coś, co może się przydać. Skinął w kierunku Jil-Lee.

- Podaj mi rękę. Chcę dostać się na górę.

- Po co?

- Chciałbym zobaczyć, czy skafandry kosmiczne są całe. Jil-Lee spoglądał na Trávisa w oszołomieniu, a Manulito postąpił do przodu.

- Nie potrzebujemy ich, by poruszać się tutaj, Travis. Możemy oddychać tym powietrzem.

- Nie chodzi tu o powietrze ani o otwartą przestrzeń. - Travis posuwał się w umiarkowanym tempie. - Te skafandry izolują prawdopodobnie przed jeszcze innymi czynnikami.

- Masz na myśli emisję redaxu! - wykrzyknął Jil-Lee. - Dobrze, ale, zostań tutaj, młodszy bracie. To ryzykowna wspinaczka, a ty nie wróciłeś jeszcze do pełni sił.

Travis musiał się z tym pogodzić i czekał. Manulito i Lupe wspięli się w kierunku wyrwy i weszli do wnętrza statku. Przynajmniej zostali ostrzeżeni dzięki doświadczeniom Bucka i Deklaya i będą przygotowani na to, że wewnątrz nawiedzają dziwne duchy.

Jednak kiedy wrócili, ciągnąc za sobą skafander kosmiczny, obaj byli bladzi, pot lśnił na ich czołach, a ręce drżały. Lupe usiadł na ziemi przed Travisem.

- Złe duchy - powiedział, nadając starą nazwę współczesnemu zjawisku. - Tam naprawdę kłębią się duchy i czarownice.

Manulito rozpostarł skafander na ziemi i oglądał go ze starannością świadcząca o znajomości rzeczy.

- Ten jest nieuszkodzony - stwierdził. - Nadaje się do noszenia. Travis wiedział, że

wszystkie skafandry zostały zrobione na miarę. A ten był przeznaczony dla szczupłego mężczyzny średniego wzrostu. Pasowałby na niego, czyli na Trávisa Foxa. Ale Manulito już wprawnie odpinał zapięcia.

- Wypróbuję jego działanie - oznajmił.

Travis, patrząc na trudną drogę wspinaczki do wejścia na statek, musiał zgodzić się, że pierwszy test powinien przeprowadzić ktoś aktualnie bardziej sprawny.

Zamknięty w hermetycznym skafandrze, z bulwiastym hełmem przymocowanym w odpowiednim miejscu, Apacz ponownie wspiął się na statek. Jediną możliwość porozumiewania się z nim stwarzała lina, którą się owiązał, a jeśli wszedłby powyżej pierwszego poziomu, musiałby zostawić ją za sobą.

Przez kilka pierwszych chwil nie czuli alarmujących szarpnięć liny. Odliczywszy do pięćdziesięciu, Travis pociągnął ją niepewnie, by stwierdzić, że lina jest mocno do czegoś przymocowana. Najwidoczniej Manulito przywiązał ją i wspiął się do kabiny sterowniczej.

Czekali nadal z całą cierpliwością, na jaką mogli się zdobyć. Naginłta, chodząc w górę i w dół w pewnej odległości od statku, skomlał co jakiś czas, a ostrzeżenie samca powtarzała jak echo jego towarzyszka na zboczu wzgórza.

- Nie podoba mi się to - wyrwało się Travisowi, kiedy postać w hełmie znowu pojawiła się w wyrwie. Poruszając się powoli w niewygodnym odzieniu, Manulito zszedł na ziemię, z trudem rozpiął zapięcie nakrycia głowy i stał, biorąc głębokie, napełniające płuca oddechy.

- No i co? - zapytał Travis.

- Nie wiedziałem żadnych duchów - powiedział Manulito i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Skafander jest duchoszczelny! - Klepnął ręką w rękawiczce po okryciu na piersi. - Poza tym - o ile znam się na tych statkach - niektóre z przekaźników działają nadal. Myślę, że dałoby się z tego zrobić pułapkę. Moglibyśmy zwabić Czerwonych do środka, a potem... - wykonał ręką ruch do góry...

- Przecież nie znamy się na silnikach - odparł Travis.

- Czyżby? Posłuchaj, Fox. Nie jesteś jedynym, kto mógłby posiadać przydatną wiedzę. - Radosny uśmiech znikł z twarzy Manulita. - Sądziś, że jesteśmy tylko dzikusami, jakby sobie tego życzyli ci jajogłowi autorzy projektu? Bawili się z nami w sztuczki z redaxem. My także więc możemy wykonać kilka sztuczek. A ja? Ja uczęszczałem na politechnikę. Czy to też jest jedna z tych rzeczy, o których już zapomniałeś, Fox?

Travis pośpiesznie przełknął ślinę. Rzeczywiście, dopiero w tej chwili przypomniał sobie o tym. Od początku zespół Apaczów był starannie dobrany i zbadany, nie tylko pod kątem możliwości przetrwania, lecz także pod kątem pewnych indywidualnych umiejętności. Podobnie jak zaletą było archeologiczne wykształcenie Trávisa, tak samo wykształcenie techniczne Manulita stanowiło wartościowy wkład, chociaż nieco innego rodzaju. Jeśli na początku zastosowany bez ostrzeżenia redax stłumił tę wiedzę, to być może już teraz jego skutki zaczynały ustępować.

- Skoro tak, to czy potrafisz z tym coś zrobić? - zapytał zapalczywie Travis.

- Mogę spróbować. Jest szansa, że uda się przynajmniej zastawić pułapkę w kabine sterowniczej. A tam właśnie zaczną szperać i węszyć. Niemniej pracować w tym skafandrze nie będzie łatwo. Może najpierw spróbowałbym zniszczyć redax?

- Najpierw musimy podzielać nim na naszego jeńca - postanowił Jil-Lee. - Później pozostanie trochę czasu do nadejścia Czerwonych.

- Mówisz tak, jakby było wiadomo, że przyjdą - wtrącił Lupę. - Skąd ta pewność?

- Pewności nie mamy - zgodził się Travis. - Niemniej z dotychczasowych doświadczeń

wynika, że można na to liczyć. Kiedy dowiedzą się, że tutaj jest rozbity statek, postanowią go zbadać. Nie pozwolą sobie na zignorowanie nieprzyjacielskiej osady po tej stronie gór. Według ich mniemania, stanowiłaby przecież stałe zagrożenie.

Jil-Lee kiwnął głową.

- Plan jest skomplikowany i może zawieść. Ale uwzględnia wszelkie niespodzianki, które potrafiliśmy przewidzieć.

Przy pomocy Lupe'a Manulito wyplątał się ze skafandra. Oparł go troskliwie o skałę i powiedział:

- Myślałem o tym skarbcu w wieżach. Może udałoby się znaleźć tam nową broń...

Travis zawahał się. Nadal drżał na myśl o otwarciu tajemnych pomieszczeń za owymi lśniącymi murami, co mogło wyzwolić nowe niebezpieczeństwo.

- Jeśli zabralibyśmy stamtąd broń, a potem przegralibyśmy walkę... - wysunął pierwsze ze swych zastrzeżeń i z zadowoleniem dostrzegł wyraz zrozumienia na twarzy Jil-Lee.

-.. .oznaczałoby to włożenie broni prosto w ręce Czerwonych - zgodził się starszy Indianin.

- Zaryzykujemy... - zaproponował Manulito. - Przypuśćmy, że rzeczywiście uda nam się schwytać w zasadzkę któregoś z inżynierów. Nie będzie to oznaczało jeszcze, że przełamaliśmy ich obronę. Może się okazać, że potrzeba tu czegoś znacznie większego kalibru.

Kiedy Travis poczuł znowu mdłości, jakich doznał podczas pobytu w wieży, wiedział, że Manulito mówi rozsądnie. Niewykluczone, że będą musieli otworzyć ową puszkę Pandory przed końcem tej kampanii.

Przez następne dwa dni obozowali w pobliżu rozbitego statku. W tym czasie Manulito w kosmicznym skafandrze penetrował nawiedzone korytarze i kabiny, przygotowując plan pułapki. W nocy rysował wykresy na kawałkach kory i omawiał możliwości tego lub tamtego urządzenia, czasami używając określeń technicznych, których jego towarzysze nie rozumieli. Ale Travis był bardzo zadowolony, że Manulito wie, co robi.

Trzeciego dnia rano wśliznął się pomiędzy nich Nolan, cały zakurzony, z wymizerowaną twarzą. Można było poznać wyraźnie, że odbył trudną podróż. Travis podał mu najbliższą menażkę i wszyscy patrzyli, jak pije małymi łykami, zanim zaczął mówić.

- Idą tu... z dziewczyną.

- Miałeś jakieś problemy? - zapytał Jil-Lee.

- Tatarzy przenieśli swój obóz, co było na pewno słuszne, ponieważ Czerwoni namierzali tamten poprzedni. A teraz przemieścili się bardziej na zachód. - Wytarł usta wierzchem dłoni. - Widzieliśmy także twoje wieże, Fox. To miejsce pełne potężnych sił!

- Nie ma żadnych śladów świadczących o tym, że grasowali tam Czerwoni?

Nolan potrząsnął głową.

- Według mnie mgły nie pozwalają dojrzeć wież z samolotu. Tylko jedno...

Travis odprężył się. Czas znowu dał im możliwość wytchnienia. Spojrzał w górę, by zobaczyć, że Nolan uśmiecha się słabo.

- Ta dziewczyna jest krewniaczką górskiej pumy - oznajmił. - Naznaczyła Tsoaya pazurami tak, że wygląda teraz jak zakolczykowany roczniak zaraz po znakowaniu.

- A ona nie jest ranna? - zapytał Travis.

Tym razem Nolan zachichotał otwarcie.

- Ranna? Nie. Mieliliśmy dużo roboty, by nie dopuścić do tego, żeby ona zraniła nas, młodszy bracie. Jest także sprytna, bo przez całą drogę znaczyła szlak marszruty, nie wiedząc, że jest nam to na rękę. Czy nie dlatego wybraliśmy z powrotem najłatwiejszą drogę? Tak, ona planuje ucieczkę.

Travis wstał.

- A więc skończmy z tym szybko!

W jego głosie pobrzmiwał ostry ton. Nigdy do końca nie zaaprobował tego planu. Teraz stwierdził, iż coraz trudniej jest mu myśleć o zabraniu Kaydessa do statku. Uważał, że nie powinien pozwolić, by została poddana czyhającemu tam cierpieniu. Wiedział jednak, że dziewczynie nic się nie stanie i że będzie obok niej wewnątrz kuli, razem z nią przeżywając horror niewidzialnych zjawisk.

Chrzęst żwiru w wąskim wejściu do doliny ostrzegł znajdujących się przy obozowym ognisku. Manulito ukrył już kosmiczny skafander. Kaydessa musi się wydawać, że całkowicie powrócili do stanu dzikości.

Pierwszy przyszedł Tsoay z czterema równoległymi szramami od zadrapań na lewym policzku. A za nim Buck i Eskelta, popychający schwytaną, poganiający ją z demonstracyjną szorstkością, która nie zamieniała się w rzeczywistą brutalność. Długie warkocze dziewczyny rozplotły się, jeden rękaw był rozdarty i odsłaniał nagie, szczupłe ramię. Wojowniczy duch nie opuścił jej jednak.

Wepchnęli ją w krąg czekających mężczyzn. Stała mocno, z rozstawionymi nogami, spoglądając na wszystkich z jednakowym wyrazem twarzy, dopóki nie zobaczyła Tralisa.

Wówczas jej gniew stał się bardziej zapalczywy i zawzięty.

- Bydlę! Świński ryj! Parszywy wielbłąd! - wykrzykiwała w jego kierunku po angielsku, a następnie powróciła do swojej własnej mowy, a jej głos wznosił się i opadał. Ręce miała związane za plecami, lecz język nie był niczym skrzepowany.

- Oto ta, której usta miotają pioruny i błyskawice - powiedział Buck do Apaczy. - Trzeba ją umieścić z dala od drewna, bo jeszcze wywoła pożar.

Tsoay zasłonił uszy rękami.

- Może sprawić, że człowiek ogłuchnie, o ile nie potrafi zrobić mu krzywdy w inny sposób. Pozbądźmy się jej jak najprędzej.

Mimo tych szyderczych uwag, ich oczy wyrażały szacunek. W przeszłości często niepokorny jeniec, zuchwale przeciwstawiający się tym, którzy go schwytali miał więcej względów u wojowników Apaczy - cenili bowiem odwagę. *Pinda-lick-o-yi*, tacy jak Tom Jeffords, który wjechał do obozu Cochise'a i usiadł pomiędzy swoimi zaprzysiężonymi wrogami, by z nimi pertraktować, zyskał przyjaźń samego wodza, chociaż z nim walczył. Kaydessa wywarła większe wrażenie na swoich porywaczach, niż mogła przypuszczać.

Teraz Travis musiał odegrać swoją rolę. Złapał dziewczynę za ramię i popchnął ją w kierunku wraku.

Wydawało się, że niektóre z duchów opuściły jej szczupłe, napięte ciało i weszła do środka, nie walcząc więcej. Tylko wtedy, gdy zobaczyła statek w całej okazałości, zachwiała się. Travis usłyszał, że zatrzymała oddech, zaskoczona.

Tak jak planowali, czterej Apacze - Jil-Lee, Tsoay, Nolan i Buck - rozproszyli się na wzgórzach wokół statku. Manulito poszedł założyć już skafander kosmiczny i przygotować się na każdą ewentualność.

Travis nadal popychał Kaydessę stanowczo do przodu. W tej chwili nie wiedział, co jest gorsze: wchodzić do statku, spodziewając się uderzenia grozy, czy też spotkać się z nią nieoczekiwanie. Był już gotów odmówić wejścia, nie dopuścić, aby dziewczyna, wlokąca się ponuro pod jego eskortą, napotkała to niewidzialne, lecz potężne niebezpieczeństwo.

Jedynie wspomnienie wież i obawa, że Czerwoni znajdą i wykorzystają trzymanego tam skarb sprawiły, że szedł dalej. Pierwszy wspiał się do rozdarcia Eskelta. Travis przeciął liny krępujące przeguby Kaydessy i uderzył ją lekko pomiędzy łopatki.

- Idź do góry, kobieto! - Jego niepokój sprawił, że rozkaz ten zabrzmiał ostro i dziewczyna zaczęła się wspinać.

Eskelta znajdował się już w środku, kierując się w stronę kabiny, którą postanowili zgodnie z rozsądkiem wybrać na więzienie. Planowali, że doprowadzą Kaydessę do tego punktu, a następnie odegrają scenę owdarcia ich przez strach i pozwolą jej uciec.

Odegrają scenę? Travis nie wszedł jeszcze na dwie stopy w głąb korytarza, a już wiedział, że z jego strony nie będzie potrzeba wiele udawania. To, co opanowało statek, nie atakowało ostro, raczej przenikało do umysłu i ciała, jakby z każdym oddechem wchłaniał truciznę, która rozchodziła się w jego żyłach wraz z uderzeniami serca. Nie potrafił jednak w żaden sposób nazwać tego, co odczuwał, poza tym, że była to potworna, omdlewająca trwoga, z każdym krokiem ciężąca mu coraz bardziej.

Kaydessa krzyknęła. Tym razem już nie z wściekłości, ale z taką mocą, że Travis stracił równowagę, zachwiał się i oparł o ścianę. Odwróciła się z wykrzywioną twarzą i skoczyła na niego.

To naprawdę przypominało próbę pokonania dzikiego kota. Musiał z trudem chronić swoje oczy, twarz i ranny bok, by nie zrobić z kolei krzywdy dziewczynie. Wdrapała się

szybko, pobiegła w kierunku wyrwy w ścianie i zniknęła. Travis złapał oddech i zaczął czołgać się w stronę dziury. Wówczas pojawił się Eskelta i podniósł go pośpiesznie.

Dotarli do przejścia, ale nie wyszli na zewnątrz. Travis nie orientował się, czy powinien już zejść, a Eskelta był posłuszny rozkazom, by nie wychodzić na zewnątrz zbyt wcześnie.

Poniżej okolica była pusta. Nie dostrzegł śladu ani Apaczy, chociaż ukryli się gdzieś tutaj, ani Kaydessy. Travis zdumiał się, że tak szybko znikła z pola widzenia.

Nadal czując się nieswojo z powodu emanacji wewnątrz statku, pozostali w ukryciu do chwili, w której Travis uznał, że uciekinier ma dobrą, pięciominutową przewagę na starcie. Kiwnął, dając tym sygnał Eskelcie.

Kiedy dotarli do poziomego gruntu, Travis poczuł ciepłą wilgoć na dłoni chroniącej ranę i wiedział, że krwawi. Wymamrotał coś w proteście przeciwko temu pechowi, bo zdał sobie sprawę, że nie da rady wyruszyć w drogę. Kaydessa będzie śledzić podczas całej wędrówki przez przełęcz, w kierunku równin, gdzie powinien przejąć ją patrol Czerwonych. Należało także strzec ją przed możliwymi niebezpieczeństwami. Planował, że weźmie w tym udział.

Teraz będzie z niego tyle pożytku, co z kulawej szkapy. Mógł jednak wystać zastępstwo. Wypowiedział w myśli wezwanie i z zarośli pojawiła się głowa Nalik'ideyu.

- Idźcie oboje i biegnijcie razem z nią! Strzeżcie jej! - wypowiedział te słowa szeptem, pomyślał je z żarliwą intensywnością i skierował wzrok w żółte oczy na spiczastym pysku kojota. Wyczuł zgodę i zwierzę zniknęło. Travis westchnął.

Zwiadowcy Apaczy byli ostrożni i czujni, lecz kojoty potrafiły pod tym względem przewyższyć każdego człowieka. Mając Na-lik'ideyu i Naginłę towarzyszących jej w ucieczce, Kaydessa będzie dobrze strzeżona. Prawdopodobnie nawet nie zauważy swych strażników i nie zorientuje się, że biegną obok po to, by jej strzec.

- Dobrze zrobiłeś - powiedział Jil-Lee, wychodząc z ukrycia. - Ale co się stało z tobą? - Podszedł bliżej, odciągając rękę Trávisa od jego boku. Zanim przybył Lupę, by zdać sprawozdanie, Travis został znowu opasany bandażem, owiniętym ciasno wokół niższych żeber i pogodził się z tym, że pozostanie daleko w tyle za pierwszym oddziałem.

- Wieże - powiedział do Jil-Lee. - Jeśli nasz plan się powiedzie, możemy ująć oddział Czerwonych tutaj. Ale mamy jeszcze schwytać ich statek i dlatego potrzebujemy pomocy. Znajdziemy ją w wieżach albo przynajmniej pozostaniemy na straży, jeśli powrócą z Kaydessa tą ścieżką.

Lupę zszedł z grani. Uśmiechał się.

- Ta kobieta potrafi myśleć. Najpierw uciekła ze statku jak królik ścigany przez wilka. Potem zaczęła się zastanawiać. Wspięła się - podniósł jeden palec w kierunku znajdującego się za nim zbocza - weszła za skałę, by zaobserwować z ukrycia sytuację. Kiedy Fox i Eskelta wyszli ze statku, znowu zaczęła się wspinać. Kiedy pokazał się Buck, skierowała się na wschód, tak jak chcieliśmy.

- A teraz? - dopytywał się Travis.

- Trzyma się wysoko położonych szlaków. Rozumuje prawie tak, jakby była Indianinem z Ludu na wojennej ścieżce. Nolan uważa, że na noc skryje się gdzieś wysoko. Upewni się co do tego.

Travis zwilżył językiem wargi.

- Nie ma żywności ani wody.

Wargi Jil-Lee ułożyły się w uśmiech.

- Dopilnują, żeby natknęła się na jedno i drugie, niby przypadkowo. Jak wiesz,

zaplanowaliśmy wszystko dokładnie, młodszy bracie.

Travis wiedział, że to prawda. Kaydessa będzie bez swojej wiedzy prowadzona przez "przypadkowo" pojawiających się tu i tam Apaczy - co wystarczy, by kierować ją we właściwą stronę.

- Poza tym, jest teraz także uzbrojona - dodał Jil-Lee.

- Jakim cudem? - zapytał Travis.

- Spójrz na swój własny pas, młodszy bracie. Gdzie jest twój nóż?

Travis, zaskoczony, spojrzał w dół. Pochwa jego noża była pusta, a on nie potrzebował tego narzędzia od czasu, kiedy wyciągnął je, by pokroić mięso podczas porannego posiłku. Lupe zaśmiał się.

- Miała w ręku stal, kiedy wyszła z tego statku-widma.

- Zabrała mi go podczas szarpaniny! - Travis był wyraźnie zaskoczony. Uznał atak szalu odegrany przez tatarską dziewczynę za wybuch trwogi, która niemal pozbawiła ją zmysłów. A jednak Kaydessa miała dość sprytu, by zabrać jego nóż! Czy jest to jeszcze jeden przykład na to, że maszyna mentalna ma mniejszy wpływ na jedną rasę niż na drugą? Wyglądało na to, że podobnie jak Apacze nie ulegali przywoływaczowi Czerwonych, Tatarzy nie byli tak wrażliwi na redax.

- To silna kobieta, warta wielu koni. - Eskelta zastosował dawną miarę wartości żony.

- Tak! - zgodził się zapalczywie Travis, po czym zaniepokoił go coraz szerszy uśmiech na twarzy Jil-Lee. Pośpiesznie zmienił temat.

- Manulito urządzi zasadzkę w statku.

- To dobrze. On i Eskelta zostaną tutaj, a ty z nimi.

- O, nie! Musimy iść do wież - zaprotestował Travis.

- Sądziłem - przerwał mu Jil-Lee - iż uważasz, że broń dawnych kosmitów jest zbyt niebezpieczna, byśmy mogli jej użyć.

- A jeśli zostaniemy zmuszeni, by jej użyć? Musimy się upewnić, że Czerwoni, zmierzając w naszym kierunku, nie weszli do wież.

- To brzmi rozsądnie. Ale ty, młodszy bracie, nigdzie dzisiaj nie pójdziesz, jutro chyba także nie. Jeśli rana otworzy się ponownie, możesz mieć poważne kłopoty.

Travis musiał pogodzić się z tym, mimo swoich obaw i niecierpliwości. A następnego dnia, kiedy wyruszył, dowiedział się tylko, że Kaydessa ukryła się na noc w pobliżu zbiornika wodnego i bez wytchnienia posuwała się z powrotem przez góry.

Trzy dni później Travis, Jil-Lee oraz Buck przybyli do doliny wież, Kaydessa znajdowała się na pomocnym pogórzu, dwukrotnie zawracana przez zwiadowców z drogi wiodącej na zachód, do banitów. A zaledwie pół godziny wcześniej Tsoay za pomocą lusterka zawiadomił o tym, co powinno stanowić pożądaną wiadomość: helikopter Czerwonych krążył tak jak w dniu, w którym myśliwi wjechali w góry. Była więc duża szansa, że uciekiniarka zostanie wkrótce wyśledzona i schwytana.

Tsoay napotkał także złożony z trzech Tatarów oddział, obserwujący helikopter. Lecz po tym, jak śmigłowiec zatoczył szeroki łuk, wsiedli na konie i odjechali w szybkim tempie, jakie tylko ich wierzchowce mogły rozwinąć w tak nieprzyjaznym terenie.

Na fragmencie gładkiej ziemi Buck naszkicował trasę i studiował ją, Czerwoni będą musieli pójść tym szlakiem w poszukiwaniu rozbitego statku. Drogę tę obsadzili już wartownicy Apaczy. A za pośrednictwem łańcucha komunikacyjnego, o skutkach, jakie wynikną z zastawienia pułapki, zostanie poinformowany oddział działający w wieżach.

Najtrudniejsze okazało się oczekiwanie. Możliwość zaistnienia tak wielu nie dających

się przewidzieć wypadków sprawiała, że nie potrafili myśleć bez ulegania emocjom. Cierpliwość Trávisa wyczerpała się całkowicie, kiedy następnego ranka przyszła wiadomość, że patrol Czerwonych zgarnął Kaydessę, przyciągniętą przez maszynę mentalną.

- Teraz - broń z wieży! - odpowiedział Buck na sprawozdanie rozkazem skierowanym do Trávisa. A ten wiedział, że nie może już dłużej odkładać tego, co nieuniknione. Tylko działanie pozwalało mu oderwać się od dręczącej wizji Kaydessy powtórnie schwytej w okowy, których tak nienawidziła.

Mając po jednej stronie Jil-Lee, a po drugiej Bucka, wspiał się przez okno wieży i stanął, mając naprzeciw siebie błyszczący filar.

Przeszedł przez komnatę i położył obie ręce na elastycznym słupie, nie mając pewności, czy dziwny środek transportu zadziała i tym razem. Usłyszał świszczące oddechy pozostałych, kiedy jego ciało znowu zostało przyssane przez kolumnę i przeniesione w dół studni. Za nim podążył Buck, a ostatni przybył Jil-Lee. Wtedy Travis poprowadził ich wzdłuż podziemnego korytarza do pomieszczenia, w którym znajdował się stół i odtwarzacz.

Usiadł na ławce, bawiąc się stosem krążków taśmy. Wiedział, że pozostali dwaj patrzą na niego z wrogim niemal napięciem. Wrzucił krążek do odtwarzacza, z nadzieją, że uda mu się właściwie zinterpretować otrzymane wskazówki.

Spojrzał w górę na ścianę naprzeciwko. Trzy... cztery kroki, właściwy ruch - a następnie otwarcie...

- Ty wiesz?! - zapytał Buck.

- Domyślam się.

- Co robimy?

Travis przesunął się w kierunku stołu.

-To.

Travis wyszedł zza stołu i podszedł do ściany. Wyciągnął obie ręce, oparł płasko dłonie na zielono-niebiesko -fioletowej płaszczyźnie i przesunął nimi powoli. Pod jego dotykiem materiał ściany był chłodny i twardy, zupełnie różny od wrażenia czegoś żywego, jakie wywoływała powierzchnia filaru. Chłodny do chwili, gdy...

Jedna dłoń, trzymana na wysokości ramienia, natrafiła na właściwe miejsce. Przesuwał drugą rękę w przeciwnym kierunku, aż jego ramiona znalazły się na jednym poziomie z barkami. Teraz mógł nacisnąć na owe ciepłe punkty. Travis spiął się i mocno nacisnął powierzchnię wszystkimi czterema palcami.

Na początku, kiedy przez jedną czy dwie sekundy nic się nie wydarzyło, Travis myślał, że źle odczytał taśmę. Potem, na wprost przed jego oczami, ciemna linia przecięła poziomo ścianę. Nacisnął z większą siłą, aż palce na wpół zdrętwiały mu z wysiłku. Linia poszerzała się powoli. Wreszcie pojawiła się szczelina, wysoka na jakieś osiem stóp, a szeroka na ponad dwie, i otwarcie takim już pozostało.

Zza niego dochodziło światło, zimny siny blask - niczym w chmurny zimowy dzień na Ziemi - a wraz z nim napłynęło chłodne powietrze arktycznej pustyni. Oszczędzając swój nadal obandażowany bok, Travis przecisnął się przez otwór jako pierwszy i wszedł do wypełnionego blaskiem i chłodem pomieszczenia.

- Uuuch! - usłyszał okrzyk Jil-Lee. Mógłby sam go powtórzyć, gdyby nie to, że był zbyt zdumiony tym, co widzi, by w ogóle wydusić z siebie jakikolwiek dźwięk.

Światło płynęło z szeregu prętów umieszczonych wysoko ponad ich głowami w naturalnej skale stanowiącej dach owego magazynu, bo rzeczywiście był to magazyn. Znajdowały się tam uporządkowane szeregi skrzyń. Niektóre z nich były tak wielkie, że mogłyby pomieścić czołg, inne zaś nie większe od pięści mężczyzny. Na ich bokach znajdowały się symbole, błyskające tym samym niebiesko-zielono-fioletowym światłem jak ściany na zewnątrz.

- Co...? - zaczął Buck, po czym zadał inne pytanie, niż początkowo zamierzał. - Gdzie zajrzemy w pierwszej kolejności?

- Zaczniemy od najdalszego końca. Travis ruszył wzdłuż środkowej nawy pomiędzy rzędami spieczonych łupów z innych czasów i innego świata - lub światów. Ta sama taśma, która dała mu klucz do otwarcia drzwi, podkreślała znaczenie czegoś składowanego na samym końcu, obiektu lub obiektów, które muszą zostać użyte jako pierwsze. Zastanawiał się nad tą taśmą. Uczucie niepokoju, niemal rozpacz przebijało przez trajkot obcych słów, sekwencje następujących po sobie diagramów i obrazów. Wiadomość mogła zostać zapisana pod wpływem jakiegoś wielkiego zagrożenia.

Na skrzyniach stojących w rzędach na podłodze w ogóle nie było kurzu. Prąd zimnego, świeżego powietrza wiał w rytmicznych odstępach czasu wzdłuż wielkiego pomieszczenia. Nagromadzone dobra nie pozwalały im dostrzec następnej nawy, a jedynym dźwiękiem były odgłosy ich własnych stóp. Wyszli na pustą przestrzeń zamkniętą ścianą i Travis ujrzał to, co było tak istotne.

- Nie! - Wyrwało mu się w mimowolnym proteście. Jego sprzeciw zabrzmiał dostatecznie głośno, by odbić się echem.

Sześć - aż sześć wysokich wąskich skrzyń stało wprost przy ścianie, a stamtąd patrzyło na niego pięć par ciemnych oczu, taksując go chłodno. Byli to ludzie ze statków kosmicznych - ludzie, którzy śnili się Menlikowi - wysmukli, ubrani w obcisłe niczym druga skóra odzienie w znajomych kolorach niebieskości, zieleń i fioleto. Pięciu z nich znajdowało się tutaj, żywych... - obserwujących... oczekujących...

Pięciu mężczyzn - i sześć skrzyń. Ten drobny fakt sprawił, że czar prysnął. Spojrzał powtórnie na szóstą skrzynię z prawej strony. Spodziewał się, że znajdzie tam kolejną parę oczu i fakt, że natrafił jedynie na pustkę, zaniepokoił go. Następnie przesunął wzrok niżej i zobaczył coś leżącego na podłodze - czaszkę, płataninę kości, postrzępioną materię, którą czas przemienił w zakurzone szmaty. Cokolwiek zachowywało w całości piątkę gwiazdnych ludzi,

zawiodło w przypadku szóstego z nich.

- Oni żyją! - wyszeptał Jil-Lee.

- Nie sądzę - odparł Buck. Travis postąpił jeszcze jeden krok naprzód, wyciągnął rękę i dotknął przezroczystego wierzchu najbliższego sarkofagu. Nie nastąpiła najmniejsza zmiana w wyrazie oczu stojącego we wnętrzu obcego, żadnego znaku, że skoro Apacze mogli go dostrzec, on odwzajemni ich zainteresowanie. Pięć spojrzeń, które z początku tak mieszały przybyłych, nie podążało za ich ruchami.

Travis wiedział jednak! Czy jakiś przekaz na taśmie stał się jasny pod wpływem widoku uśpionych, czy też jakaś niematerialna pozostałość celu, dla którego znaleźli się w tym stanie. Wiedział, po co stworzono to pomieszczenie i zgromadzono jego zawartość, dlaczego zostało zbudowane. Znał też powód, dla którego jego sześciu strażników zostało pozostawionych w charakterze więźniów i czego chciano od każdego, kto zjawiał się po ich przybyciu.

- Oni śpią - powiedział cicho. - Są w stanie przypominającym głęboką hibernację.

- Masz na myśli to, że można ich przywrócić z powrotem do życia?! - wykrzyknął Jil-Lee.

- Może teraz już nie, upłynęło chyba za dużo czasu, lecz zamiar był taki, że muszą poczekać, aż zostaną ożywieni.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Buck.

- Nie wiem na pewno, ale sądzę, że trochę rozumiem. Dawno temu coś się wydarzyło. Mogła to być wojna pomiędzy całymi systemami gwiazdnymi, większa i gorsza niż cokolwiek, co możemy sobie wyobrazić. Myślę, że ta planeta była ich placówką, a gdy już przestały przybywać tu statki z dostawami, kiedy wiedzieli, że przez jakiś czas mogą pozostawać odcięci od świata, musieli skończyć działalność. Zgromadzili tutaj zapasy oraz maszyny, po czym zapadli w sen, by oczekiwać przybycia pomocy...

- Pomocy, która nigdy nie nadeszła - powiedział cicho Jil-Lee. - A czy istnieje szansa, że jeszcze teraz udałoby się ich ożywić?

Travis wzdrygnął się.

- Wolałbym z niej nie korzystać.

- Nie. - Ton Bucka był ponury. - Zgadzam się z tobą, młodszy bracie. Nie są to tacy sami ludzie, jak ci, których znamy, i nie sądzę, że byliby dobrymi sojusznikami, *dalaanbiyat'i*. Ci gwiazdni ludzie posiadają bardzo dużo go' ndi, ale nie jest to moc Ludu. Tylko szaleniectwo lub głupiec próbowałby zakłócić ich odpoczynek.

- Prawda przemawia przez ciebie - zgodził się Jil-Lee. - Jak myślisz, gdzie pośród tego całego składowiska - odwrócił się od śpiących kosmitów i spojrzał na przepełnione pomieszczenie - odnajdziemy coś, co mogłoby posłużyć nam tu i teraz?

Travis i w tej sprawie miał tylko strzępki informacji, na których mógł się oprzeć.

- Rozejdźmy się - powiedział do nich. - Szukajcie znaków przedstawiających koło otaczające cztery kropki ułożone jakby na końcach rombu,

Dwaj Apacze odeszli, Travis został jeszcze przez chwilę, by spojrzeć w ponure, przenikliwe oczy gwiazdnych ludzi. Hę lat planetarnych minęło od chwili, kiedy zamknęli się szczelnie w tych skrzyniach? Tysiąc, dziesięć tysięcy? Ich imperium nie istniało już od dawna, a przecież tutaj wciąż znajdują się strażnicy, czekający na przywrócenie do życia, by dalej pełnić swe tajemnicze obowiązki. Było to tak, jakby rzymski garnizon w dawno temu zajętej przez Saksonów Brytanii został poddany hibernacji, by czekać na powrót swych legionów. Buck miał rację, dzisiaj nie było możliwości porozumienia pomiędzy Ziemią, a tymi nieznanymi. Muszą dalej spać i nic nie powinno zakłócić ich spokoju.

A jednak kiedy Travis także odwrócił się i poszedł wzdłuż nawy, cały czas coś ciągnęło go, by tam powrócić. Czuł, jakby te oczy przywoływały go, by powrócił i uwolnił śpiących. Cieszyło go, że może zniknąć za rogiem i że nie mogą dłużej widzieć, jak plądruje ich skarbiec.

-Tutaj!

Był to głos Bucka, lecz odbijał się tak dziwnie w wielkim pomieszczeniu, że Travis nie potrafił stwierdzić, z której części magazynu dochodzi. Buck musiał wołać wiele razy, zanim Travis i Jil-Lee dołączyli do niego.

Znajdował się tam ów złożony z koła i kropek symbol, błyszczący na boku skrzyni. Wyciągnęli ją ze stosu i ustawili na wolnej przestrzeni. Travis ukląkł, by przesunąć rękami po jej wierzchu. Pojemnik był zrobiony z nieznanego stopu, twardego, nietkniętego mimo upływu lat - może niezniszczalnego.

Znowu jego palce znalazły to, czego nie mogły odkryć oczy - wgłębienia na krawędziach, wgłębienia o dziwnych kształtach, do których niezbyt dobrze pasowały końce jego palców. Nacisnął z całą siłą ramion i barków, a następnie podniósł wieko.

Apacze patrzyli na zestaw przegródek, z których każda zawierała lufę i uchwyt, przypominające, ogólnie rzecz biorąc, rewolwer z ich świata i czasów, lecz wystarczająco odmienne, by wskazać zasadniczą różnicę. Z niezmierną ostrożnością Travis wyciągnął jeden z przytrzymującego go imadła. Broń była lekka, lżejsza niż jakikolwiek automat, z jakim się kiedykolwiek zetknął. Miała długą lufę - dobre osiemnaście cali - i kształt uchwyty przystosowany do dłoni kosmity. Karabin nie pasował do jego ręki, nie było spustu, a zamiast niego w niższej części lufy przycisk, do którego można było dosięgnąć wyciągniętym palcem.

- Do czego to służy? — zapytał Buck pragmatycznie.

- Nie jestem pewien. Lecz jest to na tyle ważne, że na taśmie powinna znajdować się specjalna wzmianka.

Travis przekazał broń Buckowi i wyciągnął ze skrzyni następną sztukę.

- Nie mogę dojrzeć, którądy się to ładuje - powiedział Buck, badając broń ostrożnie, z uwagą.

- Zapewne nie miota zwyczajnych pocisków - odrzekł Travis. - Musimy przetestować ją na zewnątrz, by sprawdzić, czym dysponujemy.

Apacze wzięli tylko trzy sztuki broni, przed wyjściem zamykając skrzynię. Kiedy wycofywali się przez szczelinę drzwi, Trávisa znowu nawiedziła fala nieodpartej, zaborczej mocy, jakiej doświadczył, kiedy czekali w zasadzce na gończy oddział Czerwonych. Zrobił krok lub dwa do przodu, po czym zdołał chwycić się krawędzi stołu z odtwarzaczem i oparł się o niego.

- Co się stało?

Obaj, Buck i Jil-Lee spoglądali na niego. Najwyraźniej żaden z nich nic podobnego nie odczuwał. Minęła chwila, zanim Travis mógł cokolwiek odpowiedzieć. Czuł się wolny. Wiedział jednak, jakie jest tego źródło - to z pewnością nie była reakcja na przywoływacz Czerwonych! Zjawisko brało się stąd właśnie - był to przymus realizowania rzeczywistych celów placówki, ostatnia próba stawienia oporu przez uśpionych. To miejsce zostało urządzone w jednym jedynym celu: by chronić i zachować starożytnych władców Topazu. A może sama obecność Ziemiaków, którzy wtargnęli tu nieproszeni wyzwoliła jakieś siły, uruchomiła niewidzialną instalację.

Teraz Travis odpowiedział po prostu:

- Oni chcą się wydostać...

Jil-Lee obejrzał się w kierunku szczeliny drzwi; Buck nadal obserwował Trávisa.

- Przyzywają cię? - zapytał.
- W pewnym sensie - przyznał Travis. Uczucie presji jednak już zniknęło, był wolny. - Ale teraz już przeszło.
- To nie jest dobre miejsce - skonstatował ponuro Buck. - Dotykamy czegoś, czego nie powinni trzymać w swych rękach ludzie z naszej Ziemi. - Odłożył broń.
- Czy Lud nie chwycił za strzelby zabrane *Pinda-lick-o-yi* w swojej obronie, kiedy było to konieczne? - zapytał Jil-Lee. - Robimy tylko to, co musimy zrobić. Po zobaczeniu tego - wskazał brodą szczelinę - chciałbyś, żeby szperali tutaj Czerwoni?
- W każdym razie - powiedział powoli Buck. - jest to wybór mniejszego lub większego zła, a nie wybór pomiędzy złem a dobrem.
- Przekonajmy się więc, jak potężne jest to zło! - Jil-Lee skierował się w stronę korytarza prowadzącego do filara.

Było późne popołudnie, kiedy przeszli przez kłębiące się mgły doliny pod łukiem, za którym znajdował się poprzednio obóz tatarskich banitów. Travis skierował długą lufę broni w stronę małego krzaczka, odnalazł głąz i nacisnął przycisk. Nie istniał inny sposób, by dowiedzieć się, czy broń jest naładowana, poza wypróbowaniem jej.

Rezultat tego działania okazał się natychmiastowy - i przerażający. Nie było słychać żadnego odgłosu, nie było widać ani śladu pocisku... promienia gazu... czegokolwiek, co mogło zostać wyemitowane w reakcji na ruch jego palca. Ale krzak zniknął! Pozostał po nim czarny ślad w formie poszarpanej sylwetki z wystygłego popiołu!

- Oddech Naye'nezyani, niewiarygodnie potężny! - Buck jako pierwszy przerwał pełną grozy ciszę. - Tutaj naprawdę jest zło!

Jil-Lee podniósł swoją strzelbę - jeśli można to nazwać strzelbą - wycelował w skałę, na której znajdowała się sylwetka krzaka i wypalił.

Tym razem stali się świadkami postępującego rozpadu, kruszenia się skały, jakby jej materia była piaskiem zmywanym przez wodę rzeki. Pozostała kupa szerniałego gruzu - nic więcej.

- Nie można zwrócić tego przeciwko żywym istotom - zaprotestował Buck z przerażeniem.

- Nie zrobimy tego - obiecał Travis - ale użyjemy tej broni przeciwko statkowi Czerwonych, by rozwalić go na kawałki. To sprawi, że skorupa żółwia zostanie rozbita i dobierzemy się do jego mięsa.

Jil-Lee kiwnął głową.

- To są słowa prawdy. Teraz jednak podzielam twoje obawy co do tego miejsca, Travis. To diabelska broń i nie można dopuścić, by wpadła w ręce tych, którzy...

- Użyją jej w bardziej niefrasobliwy sposób niż my? - chciał wiedzieć Buck. - Zachowujemy to prawo dla siebie, ponieważ uważamy nasze pobudki za szlachetniejsze? Takie myślenie to obłudne kręctwo. Wykorzystamy te środki, bo musimy, ale potem...

Potem magazyn powinien zostać zamknięty, a taśmy zawierające wskazówki, jak dostać się do środka, zniszczone. Jakaś część umysłu Trávisa nie zgadzała się z tą decyzją, chociaż wiedział, że jest ona słuszna. Wieże stanowiły zagrożenie, znane mu doskonale. A jeszcze bardziej zniechęcająca, niż ryzyko, jakie podejmowali obecnie, była myśl, że skarb jest trucizną, której nie można zniszczyć, lecz która może rozprzestrzenić się z Topazu na Ziemię.

Przypuścmy, że Konferencja Zachodnia odkryje ten magazyn i zbada jego bogactwa. Skorzysta z nich? Jak to zauważył Buck, czyjeś ideały mogły świetnie dostarczyć powodów do

użycia przemocy. W przeszłości Ziemię nękały wojny religijne, w których jedna strona fanatycznie sprzeciwiała się poglądom drugiej. Te walki były pozbawione jakiegokolwiek sensu, natomiast kończyły się fatalnie. Czerwoni nie mieli żadnego prawa do tej nowej wiedzy - nie mieli go także oni. Trzeba to wszystko zamknąć, by nie dopuścić tu głupców i fanatyków.

- Tabu.

Buck wymówił to słowo z naciskiem, który potrafili docenić. Wędzę należy umieścić za niewidzialnymi barierami tabu i to może okazać się skuteczne.

- Znaleźliśmy tylko trzy, więcej broni nie było! - stwierdził Jil-Lee.

- Więcej broni nie było! - zgodził się Buck, a Travis powtórzył to, dodając:

- Znaleźliśmy groby ludzi z kosmosu, a broń znajdowała się przy nich. Pożyczyliśmy ją z powodu wielkiej potrzeby, ale musi zostać zwrócona zmarłym, w przeciwnym razie będą kłopoty. Tylko my możemy jej użyć przeciwko fortecy Czerwonych, ponieważ znaleźliśmy ją jako pierwsi i wzięliśmy na siebie gniew duchów, których spokój został zakłócony.

- Dobrze pomyślane! Taką właśnie odpowiedź dała Ludowi. Wieże są grobami, w których spoczywają zmarli. Kiedy zwrócimy im broń, będą stanowiły tabu. Co wy na to?

- Zgoda!

Buck wypróbował swoją broń na młodym drzewku i zobaczył, że obróciło się w nicłość. Żaden z Apaczów nie chciał nosić dziwnej broni przy ciele, jej moc sprawiała, że się bali. Nie był to oręż, który mógł wzbudzić zachwyty wojownika. A kiedy powrócili do swojego tymczasowego obozu, położyli wszystkie trzy sztuki na kocu i przykryli je. Nie mogli jednak zapomnieć tego, co się stało z krzakiem, skałą i drzewem.

- Jeśli ich mała broń wywołuje takie skutki - zauważył Buck tego wieczoru - to jaki był odpowiednik naszego ciężkiego uzbrojenia? Chyba potrafili podpalać świąty!

- Może to właśnie gdzieś nastąpiło - rzekł Travis. - Nie wiemy, co położyło kres ich imperium. Stołeczna planeta, którą znaleźliśmy podczas pierwszej podróży, nie była zniszczona, ale została pośpiesznie ewakuowana. Nie zabrano nawet mebli z żadnego budynku.

Przypomniał sobie walkę, jaką stoczyli tam, on i Ross Murdock oraz skrzydlaty tubylec, kiedy zaatakowały ich niby-małpy. Skrzydlaty wojownik wykorzystał swoją przewagę, by wzlecieć w powietrze i zbombardować wrogów pudłami, które porwał ze stosów...

- A ci tutaj pograżyli się we śnie, by przeczekać jakieś niebezpieczeństwo - czas katastrofy. Nie sadzili, że to już na zawsze - dumiał Buck.

Travis pomyślał, że nie uda mu się uwolnić od wzroku uśpionych, kiedy sam zaśnie dzisiejszej nocy, ale stało się wręcz przeciwnie. Spał ciężkim snem i trudno było mu wstać, kiedy Jil-Lee obudził go, by stanął na warcie. Ocknął się jednak całkowicie, kiedy zobaczył czworonożny kształt wynurzający się z cieni. Napił się wody ze strumienia i otrząsnął się energicznie pod prysznicem z kropel.

- Naginita! - przywitał kojota. Jakies problemy? Mógłby wykrzyknąć to pytanie, lecz nałożył cugle swojej niecierpliwości i zaczął porozumiewać się w jedyny możliwy sposób.

To, o czym przyszedł zakomunikować kojot, to nie był jakiś problem, lecz wiadomość, że ta, której miał strzec, zawróciła w góry. Idzie z nią czterech innych. Nalik' ideyu nadal obserwowała ich obóz, a jej towarzyszy przybył po dalsze rozkazy.

Travis przykucnął przed zwierzęciem, wziął jego pysk w dłonie. Naginita znosił jego dotyk ze słabym skomleniem wyrażającym niezadowolenie. Travis starał się nawiązać z nim kontakt, patrząc głęboko w ślepie zwierzęcia.

Ludzie idący teraz z Kaydessą zostaną poprowadzeni dalej, zabrani na statek. Ale Kaydessie nie może stać się najmniejsza krzywda. Kiedy dotrą do pewnego miejsca w pobliżu -

Travis myślał o skale za przełęczą -jeden z kojotów powinien pobiec do statku. Niech znajdujący się tam Apacze wiedzą...

Manulito i Eskelta także powinni zostać ostrzeżeni przez warty rozstawione wzdłuż szczytów, lecz dodatkowa czujność nie zaszkodzi. Ta czwórka z Kaydessą musi dotrzeć do pułapki!

Kojot pobiegł z powrotem w ciemność.

- Co to było? - Buck wy dostał się spod swojego koca.

- Naginita. Czerwoni połknęli przynętę, oddział złożony co najmniej z trzech ludzi oraz Kaydessa przemieszcza się w kierunku pogórza, zdążając na południe.

Nie tylko jednak nieprzyjacielski oddział znajdował się w ruchu. W świetle dnia lusterko wartownika z punktu obserwacyjnego na szczycie przesłało do obozu inne ostrzeżenie.

Przez górskie łąki jechali konno tatarscy banici, posuwając się w kierunku wejścia do doliny wież. Buck ukląkł przy kocu okrywającym broń kosmitów.

- Co teraz?

- Musimy im to wybić z głowy - odrzekł Travis, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób może zatrzymać tych zdeterminowanych jeźdźców.

Na niewielkich, silnych, stepowych koniach jechało ich dziesięcioro - dobrze uzbrojonych mężczyzn i kobiet. Travis przypominał sobie, iż zgodnie ze zwyczajem Ordy, w razie konieczności kobiety walczyły jak wojownicy. Wśród nich znajdował się Menlik - trudno byłoby nie rozpoznać łopocącej szaty wodza. Jadąc tak, śpiewali! Jeździec tuż za szamanem uderzał z wielką energią w bęben przymocowany obok siodła, jego potężne bum-bum, brzmiące jak wezwanie, Travis słyszał już kiedyś. Wywnioskował, że Mongołowie wprawiali się w odpowiedni nastrój przed jakimś rozpaczliwym wysiłkiem. A jeśli znajdowali się pod wpływem czarów Czerwonych, nie będzie z nimi żadnej dyskusji. Nie mógł już dłużej czekać.

Apacz zbiegł z półki skalnej znajdującej się w pobliżu wejścia do doliny, wyszedł na otwartą przestrzeń i stał w oczekiwaniu z bronią kosmitów opartą o przedramię. Miał zamiar, jeśli okaże się to konieczne, zademonstrować jej działanie.

- *Dar-u-gar!* - zabrzmiał wojenny okrzyk, który niegdyś budził grozę na znacznych obszarach ziemskiego globu. Wydobywał się jedynie z paru gardeł, lecz nadal wywoływał przerażenie.

Dwóch jeźdźców pochyliło dzidy, szykując się, by go zaatakować. Travis wycelował w drzewo rosnące w połowie drogi pomiędzy nimi i nacisnął guzik pełniący rolę spustu. Pojawił się błysk, mignęło światło, co oznaczało, że trafił bezbłędnie.

Jeden z koni stanął dęba i zarżał z trwogi. Drugi biegł dalej w tym samym kierunku.

- Menlik! - krzyknął Travis. - Wstrzymaj swoich ludzi! Nie chcę zabijać!

Szaman odkrzyknął coś, a wojownik z dzidą znajdował się już nieopodal unicestwionego drzewa. Obrócił głowę, by zobaczyć poczerńiałą ziemię w miejscu, gdzie przed chwilą stało. Upuścił dzidę i ściągnął cugle. Kula wystrzelona ze strzelby nie zatrzymałaby prawdopodobnie jego szarży, chyba że zostałby zabity lub raniony, ale to, co zobaczył przed chwilą, wprawiło go w osłupienie.

Koczownicy zatrzymali konie i zwrócili się w stronę Trávisa. Patrzyli na niego przymrużonymi oczami wilków, które uważali za swoich przodków. Jak wilki mieli spryt dzikiego zwierzęcia, a instynkt mówił im, by nie pędzić na złamanie karku w kierunku nieznanego niebezpieczeństwa.

Travis podszedł bliżej.

- Menlik, chciałbym porozmawiać.

Nastąpił wybuch gniewu jeźdźców. Na nic się jednak nie zdały protesty Hulagura i pozostałych. Szaman powściągnął swojego wierzchowca i podjechał do Apacza. Stanęli w odległości zaledwie kilku stóp od siebie - wojownik stepów i Ordy stanął naprzeciwko wojownika pustyni i Ludu.

- Zabraliście kobietę z naszej jurty - powiedział Menlik. Jego wzrok spoczywał raczej na broni kosmitów, a nie na trzymającym ją mężczyźnie. - Jesteście bardzo zuchwali, skoro znowu pojawiliście się na naszej ziemi. Ten, kto stawia stopę w strzemieniu, musi wskoczyć na siodło, ten, kto wyciąga szablę z pochwy, musi być gotów do jej użycia.

- Tutaj nie ma Ordy. Widzę tylko garstkę ludzi - odparł Travis. - Czy Menlik proponuje, by zaatakowała ona Apaczy? Ma chyba większych wrogów.

- Złodziej kobiet nie jest tym, przeciwko komu wyrusza cały regiment pod wodzą generała.

Trávisa znecierpliwiła tak ceremonialna rozmowa, zostało zbyt mało czasu.

- Słuchaj dobrze, szamanie! - Mówił teraz grzecznie. - Nie mam twojej kobiety. Ona przechodzi właśnie przez góry, kierując się na południe - wskazał głową - i prowadzi Czerwonych w zasadzkę.

Czy Menlik mu uwierzy? Travis zdecydował, iż nie musi informować go teraz, że Kaydessa nie odegrała swej roli w tej sprawie w sposób świadomy.

- A ty? - Szaman zadał pytanie, które Travis miał nadzieję usłyszeć.

- My - Travis podkreślił to słowo - maszerujemy teraz przeciwko tym, którzy ukryli się tutaj w swoim statku. - Wskazał północne równiny.

Menlik podniósł głowę, badając teren dookoła nich z niedowierzającym i pogardliwym wyrazem twarzy.

- A więc jesteś wodzem armii wyposażonej w magię, która pokona maszyny?

- Nie potrzeba armii, kiedy się dysponuje tym. - Po raz drugi Travis zademonstrował potęgę trzymanej broni, zamieniając w gruz wolno stojącą skałę. Menlik zmrużył oczy, lecz wyraz jego twarzy się nie zmienił.

Szaman dał znak swojemu małemu oddziałowi i Tatarzy zeszli z koni. Travis z zadowoleniem przyjął to posunięcie Apacz wykonał podobny gest i Jil-Lee oraz Buck z bronią na wierzchu wyszli z ukrycia, by go wspomóc. Travis wiedział, że Tatar nie może się w żaden sposób zorientować, iż jest ich tylko trzech, mógł równie dobrze myśleć, że w pobliżu znajduje się niewidoczny oddział Apaczów, uzbrojonych w podobny sposób.

- Chcesz rozmawiać - zatem mów! - rozkazał Menlik.

Tym razem Travis przedstawił sytuację bez słownych ozdobników.

- Kaydessa prowadzi Czerwonych do pułapki, którą zastawiliśmy za górami - czterech spośród nich jedzie razem z nią. Ilu pozostało w statku w pobliżu osady?

- Co najmniej dwóch znajduje się w lataczu, być może jeszcze ośmiu w statku. Ale nie ma sposobu, by dostać się tam do nich.

- Naprawdę? - Travis zaśmiał się cicho i przesunął broń na swym ramieniu. - Nie wydaje ci się, że to potrafi zgnieść skorupę tego orzecha, żebyśmy mogli dostać się do samego jądra?

Menlik rzucił szybkie spojrzenie w lewo, na drzewo, które przestało już być drzewem i zamieniło się w cienką warstewkę popiołu na spieczonej ziemi.

- Mogą kontrolować nas za pomocą maszyny mentalnej, tak jak to robili przedtem. Jeżeli pójdziemy z wami przeciwko nim, zostaniemy jeszcze raz schwytani w ich sieć, zanim dotrzemy do statku.

- Tak dzieje się w przypadku ludzi z Ordy, lecz nie Ludu - oparł Travis. - A jeśli spalilibyśmy ich maszyny? Czy nie stalibyście się wówczas wolni?

- To nie to samo, co spalić drzewo. Może to zrobić piorun z nieba.

- Czy piorun - zapytał spokojnie Buck - zamienia także skałę w rzeczny piasek?

Oczy Menlika zwróciły się w kierunku drugiego przykładu potęgi broni kosmitów.

- Dajcie nam dowód, że to zadziała przeciwko ich maszynom!

- Jaki dowód, szamanie? - zapytał Jil-Lee. - Czy mamy unicestwić górę, żeby cię przekonać? Teraz chodzi o czas.

Nagle Travisowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Powiedziałeś, że obecnie helikopter znajduje się w akcji. A co, jeśli ten obiekt weźmiemy na cel?

- Ta broń zdoła zmieść latacz z nieba? - Menlik otwarcie podawał w wątpliwość tę koncepcję.

Travis zastanawiał się, czy aby nie zagalopował się zbyt. Musieli jednak pozbyć się tej szpiegującej maszyny, zanim wyruszą na równinę. A pokazowe zniszczenie helikoptera byłoby najlepszym dowodem, że nowa broń Apaczy jest niezwyciężona.

- W odpowiednich warunkach - odrzekł stanowczo - tak.

- A jakie to miałyby być warunki? - zapytał Menlik.

- Musi znaleźć się w zasięgu rażenia. Powiedzmy, poniżej poziomu sąsiedniego szczytu, gdzie może leżeć człowiek, czekając na odpowiedni moment, by otworzyć ogień.

Milczący Apacze stanęli naprzeciwko milczących Mongołów i Travis mógł zakosztować tego, co mogło okazać się klęską, Helikopter należało jednak unieszkodliwić, zanim ruszą w kierunku statku i osady.

- Powiedz, specjalisto od pułapek, w jaki sposób zamierzasz zwabić latacz?

Pytanie Menlika stanowiło otwarte wyzwanie.

- Znasz tych Czerwonych lepiej niż my - odparował Travis. - Jakbyś ty ich zwabił, Synu Niebieskiego Wilka?

- Powiedziałeś, że Kaydessa prowadzi Czerwonych na południe, ale na potwierdzenie tego mamy jedynie twoje słowa - odrzekł Menlik. - Chociaż jakie osiągnąłbyś korzyści, gdybyś skłamał w takiej sprawie. - Wzruszył ramionami. - Jeżeli mówisz prawdę, to helikopter będzie krążył nad pogórzem, w miejscu, gdzie grupa weszła w góry.

- A co mogłoby skłonić pilota do węszenia głębiej? - zapytał Apacz.

Menlik znów wzruszył ramionami.

- Nie ma na to sposobu. Czerwoni nigdy nie wypuszczają się zbyt daleko na południe, obawiają się wyżyn. Mają ku temu dobre powody. - Jego palce na rękojeści szabli zadrżały. - Wszystko, co mogłoby sugerować, że ich oddział ma jakieś problemy sprowadzi ich bliżej, bo zechcą zapewne sprawdzić, co się dzieje.

- Powiedzmy, ogień i dużo dymu? - zasugerował Jil-Lee.

Menlik powiedział coś przez ramię do swojego oddziału. W odpowiedzi słychać było gwar, głosy dwóch lub trzech mężczyzn wybijały się ponad resztą.

- Jeśli zostanie skierowany w odpowiednią stronę - zgodził się szaman. - Kiedy chcecie wyruszyć, Apacze?

- Niezwłocznie!

Nie mieli jednak skrzydeł, a piesza wędrówka przez surowy kraj stanowiła trudną przeprawę. Nie dało się nic zrobić tak od razu, jak zapowiadał Travis. Godziny nocne spędzali na przedzieraniu się przez skały, a wczesny ranek wypełniły przygotowania. Cały czas istniało zagrożenie, że helikopter przerwie swoją misję polegającą na krążeniu ponad sceną operacji, choć Menlik zapewniał, że kiedy jakiś oddział czerwonych władców znajduje się daleko od swej dobrze bronionej bazy, latacz wyrusza wraz z nimi.

- Może przekazują sobie wiadomości za pomocą krótkofalówki lub czegoś podobnego - powiedział Buck.

- Powinni dotrzeć do statku w ciągu dwóch dni... najwyżej trzech... jeśli będą iść szybko - stwierdził Travis w zamyśleniu. - Dobrze byłoby - jeśli ten latacz stanowi ogniwo w jakiejś jednostce dowodzenia - zniszczyć go, zanim jego załoga odbierze i przekaże jakikolwiek raport o tym, co się tutaj dzieje.

Jil-Lee zamruczał. Przyglądał się wzgórzom ponad płachtą, w której Menlik i dwóch Mongołów gromadzili chrust.

- Tam... tam... i tam... - trzykrotnie wskazał brodą. - Jeśli pilot zanurkuje, by rzucić na to okiem, nasz krzyżowy ogień zniszczy jego śmigła.

Odbyli ostatnią naradę z Menlikiem, a następnie wspięli się na wybrane przez Jil-Lee stanowiska. Wartownicy na punktach obserwacyjnych przekazali za pomocą luster informacje, że Tsoay, Deklay, Lupe i Nolan znajdują się teraz w drodze i mają połączyć się z pozostałymi trzema Apaczami. Jeśli i kiedy zasadzka Manulita zatrzaśnie się za Czerwonymi w zachodnim statku, wiadomość zostałaby przekazana. Apacze wyruszą wtedy, aby przypuścić szturm na nieprzyjacielski fort na prerii. I jeśli uda się zniszczyć przywoływacz, który może znajdować się w helikopterze, Menlik i jego jeźdźcy będą im towarzyszyć.

I oto stało się tak, jak przewidział Menlik: osa z otwartej przestrzeni wlatywała pomiędzy wzgórze. Menlik przyklęknął i uderzał krzemieniem o stal. Krzesał ogień, który, jak mieli nadzieję, skłoni pilota do bliższego zbadania tego miejsca.

Chryst zajął się i ukazał się dym, gęsty i biały. Najpierw tworzył pojedyncze smugi, a potem zamienił się w matowy słup, stanowiący sygnał, którego nie sposób było przeoczyć. Uchwyt broni w rękach

Travisa stał się śliski. Apacz oparł koniec lufy na skale, próbując opanować narastające napięcie.

Aby umknąć przywoływacza, który mógł znajdować się w helikopterze, Tatarzy pozostali w dolinie poniżej punktu obserwacyjnego Apaczy. Kiedy helikopter zbliżył się, Travis ujrzał dwóch mężczyzn w jego kokpicie. Jeden z nich nosił hełm identyczny z tym, jaki widzieli na głowie myśliwego Czerwonych pewien czas temu. Władza Czerwonych nad siłami mongolskimi, przez długi czas niekwestionowana, powinna sprawić, że stali się zbyt ufni w swoje siły. Travis pomyślał, że nawet jeśli dostrzegli jednego z oczekujących Apaczy, nie uznają tego za znak ostrzegawczy, aż do momentu, kiedy będzie już za późno.

Ognisko rozpalone przez Menlika poskutkowało i śmigłowiec zmierzał wprost w jego kierunku. Maszyna pojawiła się w pobliżu ognia po raz pierwszy, lecąc zbyt wysoko, by Apacze uznali, że zdołają zniszczyć jej śmigło. Potem jednak pilot powrócił, lecąc niżej, dzięki czemu znalazł się tylko kilka jardów powyżej tłącego się chrustu, na jednym poziomie ze snajperami.

Travis nacisnął przycisk na lufie, celując w szybko obracające się łopaty. Rozpędzony helikopter leciał dalej, lecz co najmniej jeden ze strzelców wyborowych, jeśli nie wszyscy trzej, trafił. Maszyna wpadła we wzbijający się ku niebu dym i rozbiła się tuż obok jego źródła.

Czy ich przywoływacz działał, sprawiając, że Mongołowie pędzili na pomoc Czerwonym uwięzionym we wraku?

Travis patrzył, jak Menlik biegnie w kierunku maszyny, podchodzi do połamanej pokrywy kokpitu. Ale w ręce trzyma naga, błyszcząca w słońcu broń. Mongoł otworzył drzwiczki, dźgnął w środek szablą, a wydany przezeń ryk triumfu był nieartykułowany i dziki niczym wilczy skowyt.

Na dole gromadziło się coraz więcej Mongołów... Hulagur... jakaś kobieta... zbierali się wokół helikoptera. Tym razem do wnętrza rozbitej maszyny wpadła włócznia. Odpłata za długi czas zniewolenia dokonała się.

Apacze zeszli z wzgórz, czekając, aż Menlik opuści miejsce, w którym rozgrywała się dzika scena. Hulagur wyciągnął ciało mężczyzny w hełmie i Mongołowie ścigali wyposażenie, które miał na sobie, rozbijając je kamieniami i nadal wznosząc wojenne okrzyki. Szaman podszedł do przygasającego ogniska, by spotkać się z Apaczami.

Uśmiechał się, jego górna warga unosiła się, tworząc krzywiznę przywodzącą na myśl zwycięski grymas tygrysa śnieżnego. Zasalutował.

- Oto dwaj, którzy więcej nie będą chwytać ludzi! Teraz wierzymy wam, *andas*,

towarzysze walki, kiedy mówicie, że możecie wyruszyć na ich fort i zmieść go z powierzchni ziemi.

Hulagur stanął za szamanem z nowoczesną bronią automatyczną w ręce. Rzucił jaw powietrze, złapał, śmiejąc się i wykrzykując coś w swoim języku.

- Zabraliśmy wężom dwa zęby - przetłumaczył Menlik. - Może ta broń nie jest tak groźna jak twoja, ale kąsa głębiej, szybciej i z większą siłą niż nasze strzały.

Niewiele czasu zajęto Mongołom ogołocenie helikoptera i Czerwonych ze wszystkiego, co mogło się przydać. Jednocześnie z rozmysłem niszczyli pozostałe wyposażenie wraku. Wykonali jedno ważne posunięcie: połączenie pomiędzy zdużającym na południe oddziałem poszukującym a kwaterą główną Czerwonych - jeżeli taką rolę odgrywał helikopter - zostało teraz przerwane. Przestały też istnieć "oczy" nad otwartym terytorium równin. Atakujący oddział wojenny mógł wyruszyć przeciwko statkowi w pobliżu osady Czerwonych, wiedząc, że muszą pilnować jedynie kontrolowanych przez maszynę mongolskich zwiadowców. A penetrowanie nieprzyjacielskiego terytorium w takich warunkach było starą, bardzo starą grą, w której Apacze brali udział od wieków.

Podczas gdy czekali na sygnały ze szczytów, założono obóz i wysłano Mongoła, by sprowadził pozostałych banitów i wszystkie dodatkowe wierzchowce. Menlik przyniósł Apaczom porcję suszonego mięsa, które zostało przetransportowane metodą stosowaną przez Orde - pod siodłem, by zmiękło przed zjedzeniem.

- Już nie musimy się czaić jak szczury lub mieszczuchy w czarnych dziurach - powiedział do nich. - Teraz pojedziemy tam na koniach i porachujemy się z tymi tam - wet za wet!

- Nadal dysponują innymi przywoływanymi - przypomniał Travis.

- A ty masz to, co stanowi odpowiedź na wszystkie ich maszyny - odparł na to Menlik.

- Wyślą przeciwko nam twoich własnych ludzi, jeśli będą mogli - ostrzegł Buck.

Menlik ściągnął górną wargę.

- To także prawda. Lecz teraz stracili już oczy na niebie i mają niewielu ludzi. Uniemożliwi im to patrolowanie w zbyt dużej odległości od obozu. Mówię wam, *andas*, z tą waszą bronią człowiek mógłby rządzić światem!

Travis spojrział na niego ponuro.

- Dlatego właśnie stanowi ona tabu!

- Tabu? - powtórzył Menlik. - Na czym mianowicie polega ten zakaz? Czy nie nosicie jej otwarcie, nie używacie, kiedy uznacie za stosowne? To nie jest broń twojego ludu?

Travis potrząsnął głową.

- To broń zmarłych ludzi - jeśli w ogóle można nazwać ich ludźmi. Wzięliśmy ją z grobowca gwiazdnej rasy, która władała Topazem, kiedy nasz świat był tylko terenem łowieckim dzikusów noszących skóry zwierząt i zabijających mamuty włóczniami o kamiennych ostrzach. Została zabrana z grobu i jest przeklęta. Używając jej, wzięliśmy tę klątwę na siebie.

Głęboko w oczach szamana pojawiło się dziwne światło. Travis nie wiedział, kim lub czym był Menlik, zanim został mentalnie cofnięty w czasie, by pełnić rolę szamana Ordy. Mógł być inżynierem lub naukowcem - i głęboko w jego wnętrzu jakieś pozostałości tego wykształcenia odrzucały zapewne wszystko, co mówił Travis, jako dziwaczny przesąd.

Apacz jednak mówił w pewien sposób prawdę. Ta broń była obciążona klątwą, podobnie jak wiedza zgromadzona w magazynie w wieżach. Jak Menlik zdołał już zauważyć, klątwę tę stanowiła moc, potęga, dzięki której można było zawładnąć Topazem, a potem do-

trzeć przez gwiazdy aż do Ziemi.

Kiedy szaman odezwał się znowu, wymawiał słowa półszepem.

- Potrzeba potężnej klątwy, by utrzymać z dala od tego zachłanne ludzkie ręce.

- Kiedy Czerwoni zginą lub zostaną bezbronni - zapytał Buck - klątwa ta chyba na nic się już nie przyda?

- A jeśli z nieba przybędzie następny statek, aby zacząć wszystko od początku?

- Na to także znajdziemy odpowiedź, kiedy będziemy musieli ją mieć - odrzekł Travis. Zapewne w magazynie ukryto jeszcze inną broń, wystarczająco potężną, by zniszczyć statek kosmiczny na niebie, ale teraz nie musieli się o to martwić.

- Broń z grobowca. Tak, to z pewnością czary umarłych. Powiem to moim ludziom. Kiedy wyruszamy?

- Gdy dowiemy się, czy pułapka na południu spełniła swoją rolę, czy też nie - odpowiedział Buck.

Raport przyszedł w godzinę po wschodzie słońca następnego ranka, kiedy Tsoay, Nolan i Deklay weszli do obozu. Wojenny wódz zrobił nieznaczny gest jedną ręką.

- Udało się? - Travis chciał otrzymać słowne potwierdzenie.

- Udało się. *Pinda-lick-o-yi* ochoczo weszli do statku. A potem wysadzili go razem ze sobą w powietrze. Manulito świetnie się spisał.

- A Kaydessa?

- Kobieta jest bezpieczna. Kiedy Czerwoni zobaczyli statek, zostawili maszynę, by pilnować więźnia. Ten mechaniczny przywoływacz łatwo było zniszczyć. Jest teraz wolna i idzie przez góry razem z *mba 'a*, a. z nią Manulito i Eskelta. - Przeniósł wzrok ze swoich pobratymców na Mongołów. - Dlaczego jesteście tutaj z nimi?

- Czekaaliśmy, ale wreszcie doczekaliśmy się - powiedział Jil-Lee. - Ruszamy na północ!

Leżeli wzdłuż krawędzi olbrzymiego zagłębienia, wydrążenia w ziemi tak wielkiego, że nie mogli dostrzec drugiego brzegu. Travis domyślał się, że musi to być dno dawnego jeziora, a może nawet odnogi dawno wyschniętego morza. Teraz jednak zagłębienie wypełniały kłębiące się fale złotej trawy, której ciężkie kłosa kłaniały się w przepływających podmuchach wiatru. W tej ogromnej przestrzeni, jakąś milę przed nimi, widniały obłe kopuły - czarne, szare, brązowe. Przełamywały żółtą powierzchnię nieregularnymi owalami skupionymi wokół srebrnej kuli statku kosmicznego. Był to większy pojazd niż ten, w którym przylecieli Apacze, lecz miał ten sam kształt.

- Stado koni... na zachodzie. - Nolan oszacował rozciągający się przed jego oczami obraz ze znanstwem doświadczonego jeźdźcy. - Tsoay, Deklay, to zadanie dla was!

Kiwnęli głowami i zaczęli się czołgać. Odległość pomiędzy nimi a końmi, które należało dogonić, wynosiła dwie mile lub więcej.

Dla Mongołów z tych kopulastych jurt konie stanowiły bogactwo, samo życie. Przybiegną zapewne, by zbadać przyczynę niepokoju wśród pasących się koni. W ten sposób otworzą drogę do statku i znajdujących się tam Czerwonych. Travis, Jil-Lee oraz Buck, uzbrojeni w broń kosmitów, mieli stanąć na czele tego ataku - przebić się do samego jądra statku, aż zamieni się on w sito, z którego wytrząsną wroga. Dopiero kiedy zostaną zniszczone znajdujące się w nim instalacje, Apacze będą mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony Mongołów, grupy banitów czekających z dala na prerii albo ludzi z jurt.

Trawa zafalowała i tuż przed Travisem wystawił z niej nos Na-ginita. Apacz przekazał mu rozkaz, wysyłając kojoty z grupą jadącą na koniach. Widział, jak zwierzęta potrafiły polować na dwurożce, równie dobrze poradzą więc sobie z końmi.

Kaydessa była bezpieczna, wynikało to jasno z faktu, że kojoty godzinę wcześniej dołączyły do atakującego oddziału. Dziewczyna razem z Eskeltą i Manulitem znajdowała się w drodze powrotnej na północ.

Travis przypuszczał, że nic nie zmąci jego zadowolenia, skoro i ich niepewny plan powiódł się tak, jak się to stało. Kiedy jednak myślał o tatarskiej dziewczynie, przypominał sobie jedynie jej wykrzywioną twarz, tuż przy jego twarzy w korytarzu statku i zgięte drapieżnie palce podniesione, by rozedrzeć mu policzek. Miała dobry powód, aby go nienawidzić, a mimo to miał nadzieję, że...

Nadal obserwowali stado koni oraz kopuły. Dostrzegli tam ludzi poruszających się w pobliżu jurt, ale obok statku nie było śladu życia. Czy Czerwoni zamknęli się tam, powiadomieni w jakiś sposób o dwóch klęskach, które osłabiły ich siły?

- Ach! - Nolan wstrzymał oddech.

Jeden z koni podniósł głowę i zwrócił ją w kierunku obozu, a cała jego postawa wyrażała podejrzliwość. Apacze dotarli zapewne do miejsca pomiędzy stadem a kopułami, stanowiącego punkt docelowy. A mongolski strażnik, który siedział ze skrzyżowanymi nogami, gdy tymczasem lejce wierzchowca zwisały obok jego ręki, podniósł się na nogi.

- Ahhhuuuu! - dawny okrzyk wojenny Apaczy, który rozbrzmiewał na pustyniach, w kanionach i południowo-zachodnich ziemskich równinach, by zmrozić krew w żyłach wroga, rozdarł równie przerażająco powietrze Topazu o barwie miodu.

Konie zakreśliły, pędząc pod górę i oddalając się od osady. Od trawy oderwała się jakaś postać, z wyciągniętymi ramionami rzuciła się ku jednemu z wierzchowców, schwyciła rozwianą grzywę i wciągnęła się na nie osiodłany grzbiet. Mógł tego dokonać jedynie jeździec

najwyższej klasy. Ów wspaniały kowboj poprowadził teraz stado do przodu, w asyście podskakujących i warczących kojotów.

- Deklay. - Jil-Lee rozpoznał śmiałego jeźdźca. - To była jedna z jego sztuczek na rodeo.

Sytuacja pomiędzy jurtami wyglądała tak, jakby ktoś podniósł gnijącą kłodę, aby odsłonić mrowisko, i doprowadził tym do szału mrówki. Mężczyźni wybiegli z jurt, większość z nich pędziła w kierunku pastwiska. Jeden lub dwóch wskoczyło na konie, które musiały pozostać w osadzie. Główny wojenny oddział Apaczów przemykał cicho poprzez trawy w kierunku statku.

Trzech Apaczy wyposażonych w broń kosmitów przetestowało już jej zasięg, eksperymentując na wzgórzach, lecz obawa przed wyczerpaniem się energii lub czegokolwiek, co zasilało działanie broni ograniczyła te próby. Teraz skradali się w kierunku krańca nagiej ziemi pomiędzy nimi a drabinką wjazdu do pojazdu. Wkroczenie na tę otwartą przestrzeń oznaczałoby wystawienie się na dzidy i strzały lub nowocześniejsze uzbrojenie Czerwonych.

- Miejmy nadzieję, że osiągniemy go z tego miejsca. Buck położył swoją broń na zgiętym kolanie, unieruchomił długą lufę i nacisnął wyzwalający przycisk.

Zamknięte drzwi wjazdu załśniły, a następnie rozmyły się w czarną dziurę. Ktoś za plecami Trávisa wydał wojenny okrzyk.

- Ognia - rozwalić ściany na kawałki!

Travis nie potrzebował rozkazu Jil-Lee. Już wysłał niewidzialne niszczycielskie promienie w kierunku najlepszego celu, jaki mógł sobie wymarzyć - srebrzystej kuli. Jeśli kula była wyposażona w broń, nie istniało takie działo, które można by obniżyć tak, by osiągnąć strzelców na poziomie ziemi.

Pojawiły się dziury, nieregularne otwory w materiale, z jakiego był zrobiony statek. Apacze zamieniali ścianę kuli w koronkę. Nie mogli jednak stwierdzić, jak głęboko promienie penetrują wewnątrz pojazdu.

W jednej z dziur coś się poruszyło i rozległ się terkot karabinu maszynowego. Rozpryski ziemi i żwiru uderzyły w ich twarze - ten ogień mógł posiekać ich na kawałki! Dziura powiększyła się, rozległ się krzyk... i ucichł.

- Nie będą się palić, by spróbować tego jeszcze raz - ze stoickim spokojem zauważył stojący za plecami Trávisa Nolan.

Nadal metodycznie niszczyli statek. Nigdy już nie wyruszy w przestrzeń kosmiczną - nie było tutaj ludzi, którzy by to potrafili, ani materiałów, by naprawić takie zniszczenia.

- To przypomina zagłębianie noża w tłuszcz - powiedział Lupe; właśnie przyczołgał się do Trávisa. - Kawałek po kawałku!

- Naprzód! - Travis wyciągnął rękę w lewo i pociągnął za ramię Jil-Lee.

Nie wiedział, czy było to możliwe, czy też nie, ale wpadł na podniecający pomysł, by połączyć ich siły ogniowe i przeciąć kulę na pół, z łatwością, która tak podobała się Lupe'owi.

Popędzili przez zasłony traw, kiedy ktoś za nimi krzyknął ostrzegawczo. Travis rzucił się na ziemię, przeturlał i ustawił w nowej pozycji strzeleckiej. Nad jego głową świsnęła strzała - Czerwoni zrobili to, czego Apacze się spodziewali - wzywali do walki kontrolowanych przez siebie Mongołów. Trzeba wzmóc atak na statek albo Indianie będą musieli się wycofać.

W wyniku ich skoncentrowanych wysiłków pojawiły się nowe dziury w poszyciu pojazdu. Przyciskając strzelbę mocno do brzucha, Travis podniósł się na nogi i biegł zygzakiem poprzez nagą ziemię do najbliższego z tych otworów. Kolejna strzała uderzyła w statek, chybiając celu o odległość jednej stopy i nie czyniąc żadnej szkody.

Wszedł do środka, omijając poszarpane odłamki, które świeciły blado i wydawały zapach ozonu. Promienie emitowane przez broń kosmitów mocno uszkodziły zarówno zewnętrzną skorupę, jak i warstwę izolacyjną. Przez drugą, mniejszą wyrwę przedostał się do korytarza, wystarczająco podobnego do tego we własnym statku, by wydawał mu się znany. Pojazd kosmiczny Czerwonych, oparty na ogólnym planie opuszczonego statku obcych, nie mógł wykazywać specjalnych różnic.

Travis usiłował stłumić swój ciężki oddech i wsłuchać się w to, co dzieje się wokół. Usłyszał chaotyczne krzyki i buczenie czegoś, co mogło być systemem alarmowym. Mózgiem statku była kabina sterownicza. Nawet gdyby Czerwoni nie śmieli podnieść go teraz, to stanowiła ona serce ich linii komunikacyjnych. Podążył korytarzem, usiłując wyobrazić sobie swoje położenie w stosunku do centralnego ośrodka sterowania.

Apacz otwierał pchnięciem ramienia każde mijane drzwi i dwukrotnie raził promieniami instalacje wewnątrz kabin. Nie miał pojęcia o ich zastosowaniu, lecz całkowita destrukcja każdej bez wyjątku maszyny była działaniem rozsądnym i podyktowanym przez logikę.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Travis obrócił się, zobaczył Jil-Lee, a za nim Bucka.

- Do góry? - zapytał Jil-Lee.

- I w dół - dodał Buck. - Tatarzy powiedzieli, że pod spodem znajduje się wydrążony w ziemi bunkier.

- Rozdzielmy się i zniszczmy, co się da - zasugerował Travis.

- Zgoda!

Travis ruszył do przodu. Minał kolejne drzwi i pośpiesznie zawrócił, gdyż zdał sobie sprawę, że prowadzą do maszynowni. Raził ze strzelby dwa długie przewody, tnąc urządzenia na kawałki. Światła nagle zgasły, buczenie alarmów ucichło. Jeśli nie cały statek, to przynajmniej jego część była martwa. Teraz myśliwy i jego cel utonęli w ciemnościach. Sprzyjało to jednak zamiarom Apaczy.

Travis znalazł się znów na korytarzu. Przemykał się w dziwnie martwej atmosferze. Krzyki ucichły, jakby nagła awaria maszyn oszołomiła Czerwonych.

Usłyszał cichutki dźwięk. Skrzypienie buta na drabince? Cofnął się do kabiny. W jednej chwili błysk światła rozjaśnił korytarz - zbliżająca się postać używała latarki. Travis wyciągnął nóż jedną ręką i odwrócił go, aby użyć ciężkiej rękojeści do ogłuszenia ofiary. Ten drugi śpieszył się teraz, widocznie szedł, by zbadać wypaloną maszynownię. Do Indianina dochodził dźwięk jego przyspieszonego, chrapliwego oddechu. Teraz!

Apacz opuścił strzelbę, podniósł lewe ramię i Czerwony zachłysnął się, kiedy Travis uderzył rękojeścią noża. Nie był to precyzyjny cios - musiał uderzyć po raz drugi, zanim mężczyzna przestał walczyć. Potem, używając rąk zamiast oczu, pozbawił bezwładne ciało leżące na podłodze broni automatycznej oraz latarki.

Z bronią Czerwonego u pasa, miotaczem promieni w jednej ręce i latarką w drugiej, Travis, przyczajony, posuwał się do przodu. Istniała szansa, że ci u góry wezmą go za swego powracającego towarzysza. Znalazł drabinkę prowadzącą na wyższy poziom i zaczął się wspinać. Co jakiś czas przystawał, by nasłuchiwać.

Poczuł wstrząs, a następnie rozległ się dźwięk. Drabinka pod nim zachwiała się i cała kula zatrzęsała się słabo. Musiał nastąpić jakiś wybuch na poziomie ziemi lub poniżej. Może we wspomnianym przez Bucka bunkrze?

Travis przylgnął do drabinki, czekając, aż wibracje ustaną. Z góry słychać było krzyki, dopytywania... W pośpiechu wszedł na następny poziom i schował się, w ostatniej chwili

unikając światła drugiej latarki błyskającego z głębi studni. Znowu usłyszał wołanie, a potem strzał; huk eksplozji głośno rozległ się w zamkniętej przestrzeni.

Wspiąć się na górę, by znaleźć się w tym świetle z czekającym powyżej strzelcem byłoby czystym szaleństwem. Czy mogła tu być jeszcze jedna droga wiodąca do góry? Travis wycofał się do jednego z korytarzy odchodzących promieniście od studni. Krótka inspekcja kabin położonych wzdłuż drogi, którą szedł, powiedziała mu, że dotarł do części, gdzie znajdowały się kwatery mieszkalne. Ich rozkład był znajomy, kabina sterownicza znajduje się zapewne na następnym poziomie.

Nagle Apacz przypomniał sobie o czymś: na każdym poziomie powinien znajdować się otwór ewakuacyjny, którym można było dotrzeć do przestrzeni izolacyjnej pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną warstwą poszycia statku. To ułatwiało dokonywanie napraw. Jeśli zdołałby odnaleźć taki otwór i wspiąć się na następny poziom...

Światło padające w dół studni pozostało nieruchome. Usłyszał dobiegający z niej trzask kolejnego strzału. Travis znajdował się jednak w wystarczającej odległości od drabiny; mógł zaryzykować zapalenie własnej latarki, żeby poszukać odpowiednich drzwi w powierzchni ściany. Z biciem serca przyjrzał się otoczeniu - miał szczęście! Rosyjskie i zachodnie statki były do siebie podobne.

Kiedy otworzył panel, zapalił latarkę i znalazł szczeble, po których można było się wspiąć, a powyżej ciemny otwór wychodzący na następny poziom. Poprawił broń kosmitów tkwiącą za szarfą pasa. Trzymając latarkę w zębach, Travis podjął wspinaczkę, starając się nie myśleć o głębokiej czeluści poniżej. Cztery... pięć... dziesięć szchebli i mógł już dosięgnąć następnych drzwi.

Palce Apacza ślizgały się po nich w poszukiwaniu zapadki zwalniającej. Ale nie znalazł nic. Zaciskając pięść, uderzył pod niewygodnym kątem i omal nie stracił równowagi, kiedy panel odpadł od jego uderzenia. Drzwi otworzyły się i przedostał się do środka.

Ciemność! Travis na chwilę włączył latarkę i zobaczył dokoła siebie przekaźniki systemu dowodzenia. Wykonał obrót i wysłał wiązkę promieni, niweczącą oczy i uszy statku - o ile zniszczenia dokonane dotychczas tego nie zrobiły... Nagle z lewej strony błysnął ogień z broni automatycznej, i na jego ramieniu poniżej barku pojawiła się wypalona plama.

Reakcja Trávisa była całkowicie odruchowa. Obrócił miotacz promieni, mimo że jego umysł wysyłał gorączkowy sygnał: nie! Bronić się za pomocą broni automatycznej, noża, strzały - tak, lecz nie w ten sposób. Przywarł do ściany.

Jeszcze chwilę wcześniej znajdował się tutaj człowiek - przedstawiciel jego własnego gatunku, chociaż posiadający inne poglądy. A teraz, ponieważ mięśnie Trávisa podświadomie wykonały to, czego je nauczono podczas szkolenia na wojownika, leżały przed nim tylko strzepy. Tak łatwo zadać śmierć, nie mając w rzeczywistości takiego zamiaru. Broń, którą trzymał w rękach, naprawdę była diabelskim darem, i słusznie się jej obawiali. Taka broń nie mogła dostać się w ręce ludzi - żadnych ludzi, bez względu na to, jak dobre mieli intencje.

Travis oddychał głęboko. Miał ochotę wyrzucić miotacz, pozbyć się go. Ale zadanie, w którym miał go użyć we właściwy sposób, nie zostało jeszcze wykonane.

Przedostał się jakoś do kabiny sterowniczej, by do końca unieszkodliwić statek i uwolnić się od źródła ciężkiego poczucia winy i przerażenia, które znalazło się w jego rękach. Ten przedmiot można zniszczyć, trudniej będzie pozbyć się pamięci. Żadna z ludzkich istot nie może w przyszłości dźwigać ciężaru takich wspomnień.

Rytmiczne dudnienie bębnow sprawiło, że krew pulsowała szybciej, docierając falami do mózgu. Oczy mężczyzny zabłyśły, a jego mięśnie napięły się, jakby miał strzałę na cięciwie

łuku lub zaciskał palce wokół rękojeści noża. Ogień strzelał wysoko i w jego świetle ludzie podskakiwali i obracali się w szalonym tańcu, a ostrza szabel chwytaly i odbijały czerwony blask płomieni. Szaleni, dzicy Mongołowie byli pijani zwycięstwem i wolnością. Za nimi znajdowała się srebrna kula statku, ziejąca czarnymi dziurami swojej śmierci, która była także śmiercią przeszłości - dla nich wszystkich.

- Co teraz?

Do Trávisa podszedł Menlik, a z każdym poruszeniem szamana dzwoniły jego amulety i czarodziejskie przedmioty. Na twarzy szamana nie pozostało nic z dzikiej zapalczowości, wyglądało na to, że oddalił się o wiele kroków od życia Ordy, jakby wyłoniła się zeń inna osoba, a pytanie, które postawił, zadawali sobie wszyscy.

Travis czuł się, jakby uszło z niego całe powietrze. Osiągnęli swój cel. Garstka czerwonych władców nie żyła, ich maszyny zostały spalone. Nie istniała już tu żadna władza, ludzie byli wolni umysłem i ciałem. Co mieli zrobić z tą wolnością?

- Po pierwsze - myślał głośno Apacz - należy zwrócić to.

Trzy sztuki broni kosmitów zostały zawinięte w kwadratowy kawałek mongolskiej tkaniny i ukryte z dala od oczu ciekawskich, ale niełatwo było wyrzucić je z umysłu. Tylko kilku innych, Apaczy i Mongołów, widziało ten oręż. Strzelby muszą zostać zwrócone, zanim ich moc stanie się znana wszystkim.

- Zastanawiam się, czy w przyszłości - dumał Buck - ktoś nie powie, że ściągnęliśmy na pomoc piorun z nieba, tak jak to zrobił Morderca Piorunów. Ale tak trzeba. Musimy zwrócić broń i uczynić tabu z doliny i tego, co tam się znajduje.

- A co będzie, jeśli zjawi się kolejny statek - wasz statek? - zapytał przebiegle Menlik.

Travis wpatrywał się w ludzi siedzących przy ognisku za szamanem. Jego senny koszmar wypłynął znowu... Co się stanie, gdy rzeczywiście przybędzie statek, przywożąc na swym pokładzie Ashe'a, Murdocka, ludzi, których lubił, przyjaciół? Czy wtedy także będzie strzegł wież i wiedzy, jaką w sobie kryły? Potarł dłonią czoło i powiedział powoli:

- Dopiero wówczas podejmiemy odpowiednie decyzje - wtedy, kiedy się to stanie i jeśli się to stanie.

Ale czy mogą, czy zrobią to? Zapragnął gorąco, żeby do tego nigdy nie doszło, przynajmniej nie za jego życia, a potem poczuł gorycz wygnania.

- Podoba nam się to czy nie... - Przemawiał do innych czy też, usiłował stłumić swój własny sprzeciw? - ...nie możemy nigdy dopuścić, by to, co leży pod wieżami, zostało poznane ... znalezione... użyte... Chyba że przez ludzi, którzy będą mądrzejsi i bardziej powściągliwi niż my obecnie.

Menlik wyciągnął swą szamańską różdżkę, zakręcił nią w palcach i spod opuszczonych powiek obserwował trzech Apaczy, próbując ocenić ich na nowo.

- W tej sytuacji uważam, że taką straż powinny pełnić obie strony, także moi ludzie. Jeśli bowiem zaczną podejrzewać, że tylko wy pilnujecie owych mocy i ich tajemnicy, staną się zazdrośni, zaczną was nienawidzić. Może dojść do rozdźwięku między nami - wojna... napady... To wielki kraj, a żadna z naszych grup nie jest liczna. Czy musimy od dziś rozdzielić się ostatecznie, skoro jest tu miejsce dla wszystkich? Jeśli te starodawne rzeczy są złem, strzeżmy ich razem.

Oczywiście miał rację. Powinni odważnie spojrzeć prawdzie w oczy. Zarówno dla Apaczy, jak i dla Mongołów jakkolwiek statek spoza tego świata, bez względu na to, z której strony przybędzie, oznacza zagrożenie. Muszą tutaj zostać i zapuścić korzenie. Im prędzej zaczną myśleć o sobie jako o wspólnocie, tym lepiej. A propozycja Menlika stwarzała

możliwość takiej więzi.

- Dobrze mówisz - powiedział Buck. - Powinniśmy to robić wspólnie. Jest nas trzech, którzy o tym wiedzą. Niech waszych będzie także trzech, ale dokonaj dobrego wyboru, Menlik!

- Zaufaj mi! - odrzekł szaman. - Zaczynamy tutaj nowe życie, nie ma dla nas powrotu. Tak, jak powiedziałem: kraj jest szeroki. Nie ma pomiędzy nami konfliktów i być może nasze dwa ludy staną się jednym, przecież tak bardzo się nie różnimy... - Uśmiechnął się i wskazał ręką na ogień i tancerzy.

Pomiędzy Mongołami pojawił się jakiś człowiek. Z odrzuconą do tyłu głową podskakiwał i obracał się, wydając z siebie ostry wojenny okrzyk. Travis poznał Deklaya. Apacz, Mongoł - obaj bywają napastnikami, jeźdźcami, myśliwymi, wojownikami, kiedy pojawi się taka potrzeba. Nie, nie ma wielkiej różnicy. Obaj znaleźli się tutaj w wyniku podstępu i teraz nie mieli obowiązku lojalności wobec tych, którzy ich tu przysłali.

Może klan i Orda połączą się, może rozdzielią - czas to pokaże. Lecz tu będzie istniała więź w postaci wspólnej straży i postanowienia, że to, co śpi w wieżach, nie zostanie zbudzone za ich życia i jeszcze przez długi czas!

Travis uśmiechnął się trochę krzywo. Nowa religia, pewnego rodzaju kapłaństwo chroniące świętą, zakazaną wiedzę... w czasach, kiedy całe nowoczesne życie i cywilizacja wyrosły już z tej ciemnoty. Ponure myśli przestały jednak go trapić. Pojawiła się nowa przygoda.

Wyciągnął rękę i zebrał pęk miotaczy, patrząc to na Bucka, to na Menlika. Potem wstał, dźwigając je w swoich ramionach i czując jeszcze większy ciężar w środku.

- Idziemy?

Zwrócić broń - to stało się najważniejsze. Może wówczas zaśnie spokojnym snem i przyśni mu się, że jedzie po szerokich przestrzeniach Arizony o świcie, pod błękitnym niebem, a twarz owiewa mu wiatr przynoszący zapach pinii i szałwi. Ten wiatr nigdy już nie będzie go pieścił ani podnosił na duchu, nigdy nie poznają go jego synowie, ani synowie jego synów. Pozostanie mu nadzieja, że z czasem sny te zbledną i znikną - a nowy świat przysłoni ten stary. I tak będzie lepiej, powiedział do siebie Travis buntowniczo i z determinacją. Tak będzie lepiej!